

Chłędowski Kazimierz

PO NITCE BO KŁĘBKA

I.

Piętnastego maja tysiąc osiemset pięćdziesiątego. roku, o trzeciej godzinie po południu, wielkie powstało koło gmachu policji we Lwowie zbiegowisko; do bramy cisnęło się kilku obszarpanych żydów i żydówek, a na ulicy pełno małych żydziaków, chłopców od szewca, stróżów kamienicznych i przekupek pytało się, co się stało? — Kominiarz spadł z dachu i zabił się! przywieźli go — mówił jakiś czeladnik ślusarski.

— Nie wierzcie mu, łże! — dodał majster szewski z poblizkiego kramu — żołnierze bili się w szynku i jeden drugiego pchnął bagnetem... moja żona przecież wody mu poniosła, bo w szynku była tylko wódka! — Ale patrzcie-no kumie, że tam do środka samych tylko żydów wpuszczają! — odezwał się jakiś przedmieszczanin.

Nowiny jednak ulicznej gawiedzi były fałszywe. Rzecz się miała zupełnie inaczej:

do komisarza policji pana Mordnera przybiegł żyd i żydówka, oboje wybladli i

przełęknieni, że ich sąsiadka na ulicy Sykstuskiej pod numerem , Sara Liebenfeld, nagle umarła.

Komisarz czempredzej przywdział mundur, włożył czapkę z orzełkiem i wsiadł z

jednym jeszcze podrzędnym urzędnikiem i dwoma policjantami do powozu; na koźle

jechał żyd, co wiadomość przyniósł, a za fjakrem zaczęła biedz cała ciekawa

tłuszcza.

Stanęli na ulicy Sykstuskiej przed numerem sidemset sześćdziesiąt osiem Dwóch policjantów nie wpuszczają nikogo do bramy, i tylko kilka osób, które wskazał komisarz, towarzyszyło mu do wnętrza domu.

Żyd szedł naprzód do oficyn. Niemiła atmosfera uderzyła komisarza, wschody wąskie, brudne, ściany od wieków wapna nie widziały. Na pierwszym piętrze była mała sionka, a z niej wchodziło się na prawo do owego żyda, który wiadomość przyniósł do policji, na lewo do Sary Liebenfeld. O ile drzwi na lewo obdarto wyglądały, o tyle wejście do Sary, stosunkowo do całego otoczenia, dosyć przyzwoitą, miało fizjonomję, zamek był dobry, a oprócz tego wisiał skóbel do kłódki.

Sara leżała na łóżku, powykrzywiana i pokurczona, koło niej pełno porozrzucanych pierzyn. Była to już stara kobieta, usta nadzwyczaj posiniały, a cała twarz okropny przedstawiała widok. Pokój wyglądał wcale schludnie i czysto, komoda, ze dwie szafy z różnymi rzeczami, kilka srebrnych lichtarzy, srebrna cukiernica na stole, świadczyły nawet o pewnej zamożności właścicielki. Komisarz jeszcze z policji posłał był po sędziego karnego i po lekarza. Obadwaj teraz przyszli.

Sędzia pan Kręcikiewicz był to trzydziestokilkoletni, wysoki barczysty mężczyzna, mocny brunet, ogorzały z pewnym dzikim i brutalnym wyrazem na twarzy, do czego się w znacznej części przyczyniały duże, naprzód występujące wąsy. Pan

Ignacy był w swoim rodzaju nadzwyczaj starannie ubrany, chociaż gustu bynajmniej nie było widać w jasno niebieskiej krawatce, aksamitnej kamizelce w wielkie palmy i kratkowanym surducie ze świecącymi guzikami. Pan lekarz Pręcicki, widocznie dobre człowieczysko, Bogu ducha winien, nie kontent był, że mu przerwano poobiednią drzemkę i zawołano go do sądowej komisji. Lekarz zbliżył się do Sary, wziął ją za rękę, ruszył ramionami, mówiąc: „zimna zupełnie” — i spojrzał na sędziego, jak gdyby chciał mu powiedzieć, że teraz kolej na niego. - Sędzia też zasiadł do stolika; człowieczek, co z komisarzem przyjechał, wyciągnął z kieszeni papier i atrament, i z pokorą przed pryncypałem położył. Zaczęto spisywać protokół i przesłuchiwać domowników. Sara wyszła dzisiaj o dwunastej w południe, około pierwszej wróciła i za chwilę słyhać było, że jęczała z bólu; sąsiadka sądziła, że Sara ma kurcze, więc zaczęła domowych używać środków, choroba jednak tak gwałtownie się wzmagała, że sąsiadka głowę straciła i nie wiedziała, czy biec po doktora czy nie, obawiając się chorą samą zostawić. Po chwili przyszła inna żydówka i pobiegła po znajomego lekarza, ale go nie zastała, a gdy napowrót przyszła, już Sara nie żyła. Żyd sąsiad zapytany, czy był kto dzisiaj u Sary i z kim miała interesa, odpowiedział, że z domowników nikogo obcego u Sary nie widziano. Mieszkała ona w tym pokoju ze dwa lata, sąsiedzi ją lubili, bo była zamożna i nieraz pożyczyła kilka reńskich na mały procent, a

dzieciom przynosiła precli z miasta. Czemu się trudniła? nie wiadomo; prawdopodobnie tu i ówdzie faktorowała i to jej dochód przynosiło.

Wiedziano

zresztą, że ma znajome panie, którym faktoruje, więc sądzono, że się z faktorstwa utrzymywała.

Wdową była oddawna, dzieci nie miała, i z nikim w bliższej nie żyła zażyłości.

Sędzia pytał się dalej, czy nie wiadomo, aby w ostatnich czasach miała jakie

zmartwienie, albo czy nie żyła z kim w niezgodzie, lub czy kto do niej nie miał

jakiejś urazy.

Ale i te pytania pozostały bez odpowiedzi. Sara była mało mówiącą, tem mniej zaś

zwierzała się przed sąsiadami, o ile że ci byli bardzo ubodzy i ona rzadko do

nich przychodziła.

W lecie jeździła zwykle do kąpiel, do Szczawnicy; niczego sobie nie żałowała,

ubierała się wykwintnie, a gdy w sobotę

na wałach wystąpiła, to niejedna elegantka nie miała tak pięknej atłasowej

salopy i takich piór u aksamitnego kapelusza.

Gdy sędzia widział, że się nic więcej od świadków nie dowie, kazał im się

wydalić, i zaczęto spisywać inwentarz rzeczy, znajdujących się w pokoju, a

przedewszystkiem szukać, czy się coś nie znajdzie, coby mogło wyjaśnić zdanie

lekarza, utrzymującego, że są wszystkie znamiona otrucia; obdukcja zresztą

miała potwierdzić zdanie pana Pręcickiego.

— W ogóle jeżeliby skonstatowano, że Sara umarła otruta — mówił sędzia — to nie

mamy dotąd najmniejszego poszlaku, po którymbyśmy dalsze mogli przedsięwziąć

poszukiwania. Czy gdzie nie ma trucizny? — zakomenderował sędzia.

— Jest, jest — odezwał się pomocnik komisarza policji, przewracając rzeczy w komodzie.

— Co jest? — pytał z ciekawością sędzia.

— Są pieniądze, banknoty.

— To nie trucizna — odezwał się z niesmakiem pan Ignacy — ile pieniędzy?

Zaczęto liczyć, było dziewiędziesiąt osiem złotych

— Musiała zmieniać setkę — zauważył komisarz.

— Niekoniecznie — dodał sędzia — mogła właśnie zbierać, aby mieć setkę;

tembardziej, że Żydzi częściej zbierają, aniżeli zmieniają setki.

— Nie mówię bez zasady — odpowiedział trochę obrażony komisarz

— banknoty są

zupełnie nowe; gdyby były stare, albo mieszane stare i nowe, przypuściłbym że je

zbierała powoli, z różnych stron, od różnych ludzi; dziewięćdziesiąt ośm

banknotów nowych razem, musi mnie naprowadzać na myśl, że zmieniała setkę i to

zmieniała ją w kasie albo na głównej trafice.

— A gdyby zmieniła u urzędnika mającego z kasy nowe banknoty, to pańska teoria w

niweczby się obróciła? — z ironicznym uśmiechem zapytał sędzia.

— Gdyby to było po pierwszym miesiącu, przypuszczałbym; dzisiaj mamy wszakże

piętnastego, to urzędnicy nie mają tyle nowych banknotów. Zresztą urzędnicy

częściej setki na drobniejsze banknoty zmieniają, aniżeli przeciwnie.

— Niech będzie na pańskim — zakończył rozmowę sędzia — czy zmieniane, czy nie

zmieniane, nie wiele nam na tem

zależy; szukajmy lepiej, czy nie znajdziemy jakich śladów trucizny.

Komisarz ruszył ramionami jak gdyby chciał pomyśleć, że z tym człowiekiem nie ma

co mówić i przypatrywał się dalej poszukiwaniom.

Śladu trucizny nigdzie nie było, papierów żadnych nie znaleziono, na stole

leżała tylko karteczka białego papieru, a na niej ołówkiem popisane cyfry.

Komisarz zaczął się przypatrywać cyfrom z ciekawością.

Miała całą setkę — pomyślał sobie komisarz nic już nie mówiąc sędziemu —

albowiem dzieliła sto przez trzy i pół nadto musiała mieć do czynienia z jakąś

większą sumę pieniędzy, bo na karteczce cyfra dziesięścięcy kilkakrotnie jest

napisana, widocznie z upodobaniem tę cyfrę pisała i ciągle się do niej wracała.

Te dwie cyfry sto i dziesięć tysięcy muszą mi powiedzieć przyczynę dlaczego się otruła,

albo dlaczego została otruta, w tych dwóch cyfrach musi być klucz do zagadki; a

choć pan sędzia za wielkimi rzeczami szuka i chce koniecznie znaleźć

cyankali albo arszenik, i do tego może jeszcze z etykietą apteki Mikolasza, to

ja z mojami cyframi prędzej dojdę do celu.

Pan komisarz wnioskował dalej, że Sara sama się otruć nie mogła, gdyby bowiem

miała już oddawna powód do odebrania sobie życia, toby się nie była truła w

południe, przy drzwiach otwartych; dajmy jednak na to, że dostała dzisiaj jakąś

wiadomość, w skutek której sobie życie postanowiła odebrać, to znów trudno

przypuścić, aby tak prędko dostała trucizny, i zresztą znów byłaby drzwi na

klucz lub zasówkę zamknęła, a majątkiem swoim rozporządziłaby.

Poszukiwanie w pokoju się skończyło i nic takiego nie znaleziono, coby mogło

jakie takie rzucić światło w pojęciu pana sędziego na śmierć żydówki; szósta

godzina się już zbliżała, a pan sędzia widocznie się spieszył i kończył czemprędzej wszelkie sądowe formalności, aby się uwolnić od

urzędowych

obowiązków.

Trupa żydówki wyniesiono więc do szpitala, pokój Sary
opieczętowano, pan sędzia
ukłonił się swoim towarzyszom, kazał zająć doróżce i czempredzej
gdzieś
pojechał; komisarz jednak został jeszcze na wschodach i wdał się w
konwersację z
żydem sąsiadem. Jemu się koniecznie zdawało, że owa setka będzie
punktem wyjścia
do odkrycia prawdy.

Pytał się więc jeszcze, czy nie widziano Sary aby zmieniała pieniądze,
a gdy i w
tej mierze nie zaspokoił swojej ciekawości, zapytał się, kto jest
właścicielem
domu i gdzie mieszka właściciel. Wskazano mu przyległą kamienicę.

Komisarz
poszedł do gospodarza, a dowiedziawszy się od niego, że Sara
rzeczywiście od
dwóch lat od niego pokój odnajmywała, pytał się, czy regularnie
czynsz płaciła?

— Gospodarz odpowiedział, że zawsze drugiego przynosiła pieniądze.

— Ile płaciła za pokój?

— Ośm złr. miesięcznie.

— Czy przynosiła zawsze tylko ośm złr., czy też pan jej kiedy
wydawałeś z
dziesiątki, pięćdziesiątki a może setki?— pytał się podejrzliwie
komisarz.

— Najczęściej przynosiła ośm złr.— odpowiedział gospodarz —
trafiało się wszakże
kilka razy, że przynosiła setkę, i ja jej setkę zmieniłem.

— Setkę! — powtórzył z radością komisarz — a nie przypomina pan
sobie jak było
tego miesiąca?

— Owszem! przypominam sobie bardzo dobrze: tego miesiąca
przynosiła mi jeden
banknot na pięć złr. a trzy na jeden.

— Nie uważałeś pan, czy miewała dużo pieniędzy przy sobie?

— Nie mogę służyć panu komisarzowi, przynosiła pieniądze w portmonetce, nie miałem nigdy sposobności zajrzeć tam, czy więcej było banknotów. Gospodarz zresztą nic więcej o Sarze nie wiedział, jak to co sąsiedzi sędziemu byli powiedzieli, komisarz więc podziękował mu za dane wyjaśnienia i zchodził na ulicę nie bardzo zadowolony ze swych poszukiwań. Zmysł jednak policyjny nasuwał mu ciągle myśl o nowych banknotach, o setce i o cyfrze dziesięciu tysięcy, i tych trzech punktów oparcia postanowił nie spuszczać z oka przy dalszym śledztwie.

II.

Gdy komisarz wyszedł od gospodarza domu gdzie mieszkała Sara, znalazł się naprzeciwko restauracji Kanafarka. Komisarz znał się dobrze z właścicielem tego gastronomicznego zakładu, zresztą zmęczył się długim poszukiwaniem, więc rad był napić się szklanek piwa. A piwo u Kanafarka nie złe być musiało, bo na jednej szybie w oknie namalowany był kufel z szlachetnym jęczmiennym napojem, a biała piana wspinała się bardzo wysoko. Na drugiej tafli różowa szynka, okolona parą, kiełbasek z chrzanem, wabiła gości do środka. Nadto przyklepiona była na opłatku karteczka z napisem : „We czwartek i w niedzielę flaczki," czegoż więc jeszcze było potrzeba do uszczęśliwienia podniebienia, nieprzyzwyczajonego zresztą do ostryg i pasztetów, ale widzącego ideał gastronomicznego szczęścia, w smarzonej, kiełbasie z kapustą.

U Kanafarka dwa były pokoje: jeden większy przeznaczony dla gości pospolitszych, albo takich, którzy czasem tylko przychodzili, drugi w głębi był owym sanctuarium, do którego można się było wtedy dopiero dostać, gdy się w tej traktjerni jadało przynajmniej trzy kwartały; byli tam bowiem goście, pamiętający jak pan Kanafarek kupił nowe obrusy i cały serwis fajansowy, co znaczy przynajmniej lat dziesięć według dzisiejszego kalendarza. Teraźniejsze obrusy odpowiadały zupełnie całemu urządzeniu, ścianom uwędzonym w ten sposób, że w nich możnaby było znaleźć kopalnię nikotyny, obrazom ściennym, z których jeden przedstawiał naturalnie rozbójników w Abruzzach, a drugi miłosną parę płynącą w gondoli w Wenecji, i połamanym stołkom stojącym po" kątach, znanych dobrze przychodzącym tam gościom. Obecnie siedział w pierwszym pokoju jakiś stary mężczyzna w tabaczkowym surducie, z nosem wskazującym wysoki stopień alkoholu. Przy drugim stole spłowiąły i wynędzniały młodzieniec patrzył się w kufel piwa przed nim stojący, i liczył ile tam jeszcze łyków się znajdzie. Całe towarzystwo zdawało się należeć do klasy niższych urzędników, nie mających pieniędzy, bo na stołach prócz ośmiocentowego piwa nie było widać żadnych innych przysmaków, jeden tylko rozrzutnik pieścił się rogalkiem posypanym solą i kminkiem. Na widok pana komisarza większa część gości powstała, snadź liczyła się do jego znajomych, a p. Kanafarek wybiegł czempędzej z drugiego pokoju, złożył ręce

poniżej piersi i kłaniał się uniznienie wchodzącemu gościowi. Pan Kanafarek jak gdyby na przekór wszystkim szynkarzom i traktjernikom będącym zwykle więcej jak średniej tuszy, nadzwyczaj był szczupły i mały, a tak żółto, pokornie i sucho wyglądał, tak ruszał ciągle ramionami i ręce składał na piersi, że aż litość brała człowieka, że takie nędzne stworzenie chodzi po bożym świecie. Figurka ta odbijała od pana komisarza, który wprawdzie nie należał do olbrzymów, ale w każdym razie dobrego był wzrostu, oko miał żywe, krótko ostrzyżone włosy, duże faworyty, wąsy golił i robił wrażenie silnego dobrze zakonserwowanego mężczyzny, około lat czterdziestu.

— Jak się pan ma, panie Kanafarek?

przywitał się komisarz z pewną poufałością z gospodarzem.

— Ot bieda panie komisarzu, odezwał się mały gospodarz spoglądając w oczy swego gościa do góry, jak gdyby szukał na suficie, czy wróble pomiędzy belkami się nie zagnieździły? Bieda! interes źle idzie, nie mogę dojść do zamożniejszych gości, wszystko to co pan widzi u mnie, nie ma dudka w kieszeni, kurczy się, kuli, zje rosół, sztukę mięsa z solą, bułkę, popija cienkiem piwkiem — i kwita, a gdy pierwszy nadchodzi, to nie jeden z nich prosi się, żeby mu skredytować do drugiego miesiąca, a człowiek widząc, że mu głód patrzy z twarzy, kredytuje chociaż sam nic nie ma. Źle panie komisarzu, jak tak pójdzie dalej, to trzeba będzie zamknąć interes i pójść gdzie na służbę za kelnera, żeby przecie jakotako te dzieci wychować, a Bogu dzięki jest ich dosyć.

— Bo pan jakoś dużo masz dzieci?..

— Dziewięcioro, a pięcioro umarło, szkoda ich, bo szklanek i dzieci nigdy nie zawiele!..

Komisarz widocznie innego był zdania, ale nic nie mówił.

— Napijemy się piwa panie gospodarzu, może masz jaki niezły ser?

— Jest, jest, doskonały, właśnie świeży, chociaż wiem, że na nim stracę, bo po

panu komisarzu pewnie z tydzień nikt sera nie zażąda, bo to same hołysze... —

powiedział Kanafarek, spoglądając z pogardą na swoich gości.

Pan komisarz usiadł w drugim pokoju, koło niego gospodarz i zaczęli nanowo

przerwaną pogadankę.

— Znałeś pan tę otrutą żydówkę? — pytał komisarz.

— Widywałem ją, od dawna... Przed kilkunastoma laty chodziła z zapalkami i z

mydełkami po biurach, a jeszcze jak mój brat był młody, to jej nieraz na

pierwszego za paczkę zapalek w biurze dał dwa krajcary więcej, biedne było

stworzenie!.. Od kilkunastu lat zrobiła się z niej pani, pewnie znalazła jakiego

gacha, bo była nieszpeta, i już więcej z mydełkami nie chodziła, ale stroiła

się w atłasy i aksamity. Mowią, że i faktorstwem się trudniła, ale ja nigdy nie

zauważyłem, aby komu jaki interes zrobiła. Cóżescie tam panowie znaleźli, czy

się sama otruła, czy może ją kto gładko na tamten świat wytransportował ?..

— Niewieleśmy się dowiedzieli, bo wysłano tego Kręcikiewicza, a pan wiesz

panie Kanafarek, że gdzie on, tam i interes źle idzie...

— Oj ! wiem ja to wiem ! — mówił z głębokim westchnieniem gospodarz. — Przecież

chciał się żenić z córką mego brata, co jest oficjałem przy sądzie.

— Wiem... wiem...

— Ale pan może nie wie, co mi ten hultaj narobił?

— No cóż takiego?

— Ot widzi pan, jak Kręcikiewicz chodził jeszcze na prawo, to była sobie biedna chłopczyzna, pokorna i potulna, łokcie były wytarte; ale że się dobrze uczył, więc też miał przystęp do poczciwych ludzi. Otóż jakimś tam sposobem poznał się z Julcią, najstarszą córką mego brata, pan ją zna, dziecię jak anioł, szkoda że uboga!.. Dziewczyzna wpadła mu w oko, a że już kończył prawo i do sądu miał wstąpić, więc też mój brat i bratowa nie bronili mu przychodzić do siebie, koniec końców tak się zrobiło, że się młodzież pokochała i przyszło do tego, że moi Braterstwo powiedzieli mu, że jeżeli zda egzamin i miejsce wsadzie dostanie, to się z Julcią będzie mógł ożenić. Mnie to także trochę schlebiało, iż będę miał sędziego w familji, więc go protegowałem. Ba! ale chłopiec nie miał o czym zdawać egzaminu, lekcji miał nie wiele, często bez kolacji trzeba było iść spać i narażać się na to, że cygany się będą śniły. Żał mi się zrobiło chłopaka, więc powiedziałem mu, żeby przychodził do mnie na obiad, bo juścić chciałem dać Julci dobrze wykarmionego męża.

— I długo jadał u pana?

— Trzy lata i dwa miesiące! to kapitał panie komisarzu, bo już w sądzie był bezpłatnym praktykantem, a jeszcze go karmiłem i to nie lada czem! Chłopak nie pytał na to, że co jemu daję, to w części moim dzieciom odejmuję, ale jadł dużo i przebierał. Sztukimięsa z solą, jak ci oto goście ani pokosztował, ale zawsze mu dawaj polędwicę a wieprzową pieczeń, albo sznycle wiedeńskie, a bułki to tak

połykał jak pigułki...

— I za to wszystko dobrego słowa nawet nie powiedział ? — pytał się z uśmiechem

komisarz.

— Nie powiedział ani Bóg zapłać! ale jak tylko został adjunktem i dostał pensję,

to i o Julci i o wiedeńskich sznyclach zapomniał, i ani się pokazał. Co więcej

panie komisarzu, ojca Julci, który się dostał pod jego władzę, chciał gdzieś

przenieść na powiat, bo go sumienie dręczyło patrzeć się ciągle na biednego

człowieka, tylko że się temu pan prezes sprzeciwił, a mnie gdy spotka na ulicy,

to się odwraca ku ścianie i czyta afisze albo kartki pogrzebowe, a jak niema

afiszów, to rachuje gwiazdy na niebie, żeby się tylko ze mną nie przywitać... A

ktoby się to był spodziewał, że w tym potulnym chłopcu takie niedobre serce,

choć ja już po kilku miesiącach od czasu, jak się zaczął u mnie

stołować, pomiarkowałem, że w nim coś złego być musi, bo to proszę pana, widział

dobrze, że u mnie w domu bieda, że sprawić buciki na ośmnaście nóg to nie

żarty!.. a pomimo to nie oszczędzał mnie, ale jadł co mógł najlepszego. Nieraz

mi na myśl przychodziło, powiedzieć mu, że sobie zanadto pozwala, i że ja sam

codziennie wieprzowej pieczeni nie jadam, ale jakem sobie pomyślał na Julcię, na

to lube dziecko, tak już nic nie mówiłem, tylko kazałem dawać żarłokowi co

chciał, i znosiłem cierpliwie krzyż pański.

— Dziwię się pańskiej cierpliwości...

— Człowiek myślał, że na dobrą glebę sieje, a to panie skała, piasek, rumowisko,

co kto chce najgorszego. Zeszłego roku mój brat chciał prosić o zapomogę, myślał, że mu Kręcikiewicz będzie pomocnym; gdzież tam ?.. odprawił biedaka z kwitkiem...
— Niepotrzebnie go prosił, — zauważył komisarz.
— Jak bieda, a dzieci nie mają. co jeść, to człowiek nie do jednej się rzeczy nakłoni!
— Czy on zawsze jeszcze ma stosunek z tą adwokatową Kurylską ?..
— Zawsze panie, zawsze, to djabeł panie w pięknym ciele ta kobieta, a mąż panie pocziwina, ale cóż, kiedy z nią nic poradzić nie potrafi, on wszystko znosi, aby tylko jakotako dzieci wychować...
Kanafarek tak się rozgadał, że nie byłoby końca tej pogadance, szczęściem, że kufel komisarza był już wypróżniony do dna i sera nie było na talerzu, więc komisarz wstał i zaczął wciągać rękawiczki.
— Ej panie Kanafarek, pan co wszystko wiesz, a jakoś nic mi nie umiałeś powiedzieć o żydówce...
— Com wiedział, tom powiedział, ale ja się tutaj może coś dowiem od moich gości, w takim razie dam znać panu komisarzowi...
Komisarz się zadumał, koniecznie chciał co do żydówki dójść prawdy, choćby na przekór sędziemu, którego po pogadance dzisiejszej z Kanafarkiem jeszcze bardziej niż dawniej nienawidził. Zresztą komisarz spodziewał się w tych czasach awansu na komisarza pierwszej klasy i podwyższenia pensji, a może i inne cele miał jeszcze na oku, rozwikłanie więc zawilej sprawy byłoby mu pomogło do tych widoków.
— Pamiętajże mi pan donieść, — mówił jeszcze odchodząc komisarz.

— Jak tylko będę wiedział coś ważnego... powiem mojej żonie, to i ona może się od kobiet co dowie, bo to panie kobiety zawsze więcej wiedzą, aniżeli mężczyźni;

Kanafarek odprowadził komisarza aż do drzwi do sieni. Drzwi były we framudze, tak że kto stał koło bramy w sieni, do framugi zajrzeć nie mógł.

Komisarz się wstrzymał we framudze, bo przy bramie zobaczył grupę ludzi rozmawiających, a wyraz „Sara” doleciał do jego uszu. — Zatrzymaj się pan ze mną trochę

panie Kanafarek, muszę posłuchać, bo tam coś mówią, co mnie może obchodzić.

Komisarz z Kanafarkiem stanęli we framudze.

Przy bramie stał stróż kamieniczny, stróżowa, przekupka co naprzeciwko bułki sprzedawała i jakiś malutki człowieczek dziwacznej postaci. Była to figurka z półtrzecia może łokcia wysoka, w długim, oczywiście na kogo innego robionym surducie, w białym cylindrze na głowie i z cienką laseczką w rękę. Z boku w kieszeni surduta widać było rożek od chustki do nosa.

Człowieczek ten błędnym okiem wodził naokoło siebie, a od czasu tylko do czasu zdawał się z nateżoną uwagą słuchać opowiadań zgromadzonego około siebie towarzystwa. Był to znany w całym mieście „Kasperek”, ludzie go mieli za obłąkanego, ale on miewał często chwile, w których mówił wcale rozsądnie;

zresztą siedział całe życie, a przynajmniej od lat wielu w dzień na wschodach do teatru skarbkowskiego, i jadł to, co mu dał kucharz z kasynowej kuchni.

— Proszę mi takich niedobrych kotletów nie dawać! — gniewał się raz Kasperek na

kucharza, wynoszącego mu ja-
kieś resztki z objadu do sieni.— Wasza traktjernia się psuje!.. jak
mnie tak
truć będziecie, to u was więcej jadać nie będę.
Kucharz się roześmiał, ale wyniósł dobrego kotleta, na co Kasperek
zgrabnie się
ukłonił, powtarzając: to co innego!... to co innego!
Wieczorem stał Kasperek pod drzwiami teatralnymi i słuchał śpiewu
na scenie, a
na noc szedł do komórki pod wschody, gdzie miał w ciemnym kącie
skład całego
majątku.
Lecz powróćmy do pogadanki przy bramie.
— To powiadacie, że u niej już była komisja? — pytał się stróż
kamieniczny.
— Była... siedzili tam ze trzy godzin i znaleźli podobno u niej wielkie
majątki;
ale powiadają, że ona się sama nie otruła, ale że ją ktoś otruł.
— Dobrze jej tak... za dziecko! — wtrącił Kasperek, budząc się
niejako z
zamyślenia.
— Za jakie dziecko? — podchwycił stróż.
— Za dziecko — krótko odpowiedział Kasperek, i zaczął nucić
marsza z Łucji z
Lamermoru.
— Ej, co go tam słuchacie! — ode-
zwał się na to inny towarzysz do stróża, rzucając wzrok pogardliwy na
Kasperka.
Komisarz jednak dobrze sobie zanotował wyrazy małego człowieczka,
a sądząc, że
jest na tropie nowej jakiejś wiadomości, z wielką się dalej
przysłuchiwał uwagą.
Gdy jednak rozmowa przy bramie nie wracała już do ciekawego
tematu, szepnął
komisarz stojącemu z nim we framudze Kanafarkowi, żeby się zbliżył
do
rozmawiających i delikatnie zapytał się Kasperka, o jakim on to
dziecku

wspominał.

Pan Kanafarek nie omieszkał natychmiast wykonać polecenie i podszedł ku bramie.

— No cóż tam Kasperku, jak się macie, dobrze się panu powodzi? — pytał się Kanafarek.

— Do usług pana dobrodzieja... bon jour, bon jour, Monsieur. — Kasperek bowiem będąc oddawna lokatorem schodów w teatrze, kędy się idzie do kasyna, nie raz miał sposobność pochwycić kilka frazesów francuzkich, któremi potem szczyił się przy każdej sposobności.

— Słyszałeś panie Kasperku o nieszczęściu, jakie się wydarzyło naprzeciw-ko?... że żydówkę otruli — pytał dalej gospodarz.

— Słyszałem, panie dobrodzieju — odpowiedział Kasperek, grzecznie się kłaniając i widocznie starając się naśladować w tej mierze najlepszego tancmistrza, jakiego kiedykolwiek widział przez dziurkę od klucza.

— Bardzo ją żałujesz panie Kasperku, znałeś ją?

— Znałem ja ją dobrze, niech pokutuje za dziecko.

Znowu wspomina o dziecku pomyślał komisarz.

— Cóż to za dziecko, za które ma pokutować — pytał Kanafarek.

— Ot bzdurstwo panie dobrodzieju — odpowiedział Kasperek, i zaczął świstać walca

z Dinory, obracając się na niekoniecznie zgrabnym obcasie.

— Ale przecież — powiedzcie mi Kasperku o tem dziecku — bo to ciekawe.

— Albo to jedno dziecko — tra-la-la-la — to była odpowiedź Kasperka.

Traktjernik widząc, że nic się od niego nie dowie, zaczął wykonywać odwródo

framugi, tem bardziej, że mały człowieczek nie miał jakoś ochoty wdawać się w

dłuższą dysputę, ale grzecznie się znów uklonił i zabierał się w dalszą podróż.

Towarzystwo przed bramą się rozeszło, komisarz pożegnał swego znajomego i udał się ku policji, aby zbierać dalsze informacje. Komisarz szczerze nienawidził sędziego, nieprzyjaźń ta nie od dzisiaj się datowała, pochodziła przede wszystkim z tego, że sędzia starał mu się przy każdej sposobności pokazać swoją sędziowską wyższość, i każdy błąd policyjny, któryby komisarz popełnił, po tysiąc razy podnosił, i bawił się nim z taką przyjemnością, jak kot świeżo złapaną myszą. Komisarz był człowiekiem ubogim, w karierze swojej jedynie widział polepszenie losu, więc każda złośliwość, którą mu przełożeni okazali, tem bardziej go boleć musiała, o ile, że się obawiał, aby mu nie szkodzono w awansie. Zemścić się na Kręcikiewiczu za wszystkie czasy, pokazać mu swoją wyższość pod względem policyjnego sprytu, oto była obecnie jedyna myśl pobudzająca go do jak najenergiczniejszej czynności, do której mu ważny wypadek prawdopodobnego morderstwa, wyborną nastroczał sposobność. Komisarz marzył po drodze z Sykatuskiej ulicy do policji, o awansie, o wyższej pensji. Gdybym obecnie miał już złr. myślał komisarz, nie byłbym wstępował do Kanafarka, ale byłbym poszedł do domu.... do Julci, nie potrzebowałbym się tak nisko kłaniać sędziemu i ograniczać się o najmniejszym wydatku. Do tych tysiąc dwustu złr. doprowadzi mnie jednak zmieniona setka żydówki i notatka z cyframi na jej stole znaleziona; sędziemu nie powiem nic, aż będę u końca mego dochodzenia, niech sobie błądzi po

manowcach, powiem mu tylko tyle, ile wymaga po mnie powinność
urzędowa, co

zależy jednak ód sprytu, to będzie moją osobistą własnością.

Gdy tak komisarz rozmyślał, ujrzał się przed bramą policji, dwóch
policjantów

będących na straży, stanęło prosto jak pod linję.

— Był kto u mnie w sprawie żydówki? pytał się komisarz niższego
urzędnika,

wchodząc do swego biura.

— Nie było nikogo, nie ma żadnych wiadomości.

Komisarz zaczął przeglądać księgę policyjną, w której notowano
ludzi, będących

pod policyjnym zarzutem.

III.

Wiemy, że pan Kanafarek, któregośmy poznali w przeszłym rozdziale,
miał brata

oficjała przy sądzie, Kalasantego Kanafarka, człowieka ubogiego ale
pocziwego,

mającego około pięćdziesięciu lat.

Wejźmy do biura pana Kalasantego, a oryginalny przedstawi nam
się widok.

W ciemnym pokoju z kratami w oknach, stały na około duże aż pod
sklepienie

sięgające szafy, a raczej półki i przegródki z prostych, białym
pokostem

pomalowanych desek. W każdej przegródce leżał stos aktów
wielkimi znaczonych

numerami, a pan Kalasanty tak doskonale te wszystkie numera umiał
na pamięć, że

trzeba mu było tylko numer powiedzieć, a on trafił w tej chwili do
odpowiedniej

półki i do odpowiedniego aktu.

Na środku stał wielki stół pozakładany różnemi papierami, a przy
biurku za-

walanem atramentem, w którym było pełno szufladek, siedział pan
Kalasanty. Nie

wiele już niestety włosów pokrywało głowę pana oficjała, a włosy
przeznaczone

pokrywać tylną część głowy, musiały z konieczności pełnić także i obowiązki nad czołem, i starając się jako tako z obydwu stron przykryć łysinę, łączyły się w środku głowy w rodzaj węzełka starannie zakręcanego, aby przypadkowo dwa kosmyki nie rozerwały się i nie powróciły tam, gdzie miały właściwie swoje przeznaczenie.

W twarzy pana Kalasantego malowała się wielka poczciwość, ale też i wielka

bieda; czoło miał wzdłuż i wszerz porane zmarszczkami, policzki zapadnięte,

usta wybladłe, a fajka na długim cybuchu okrywała go obłokiem dymu świadczącego,

że tytuń w niej się znajdujący, umarłegoby wskrzesić potrafił.

Pan Kalasanty miał gęsie pióro za uchem i uważnie coś szukał w aktach — w tem

nadeszła wysoka chuda figura w sieraczkowym długim surducie z metalowemi

guzikami — oczywiście woźny.

— Pan sędzia przysłała po akta — zaanonsował się woźny.

— Trudno się na wszystkie strony ro-

zerwać — odpowiedział z cicha Kalasanty a głośniej dodał: zaraz! zaraz!

Trzeba wiedzieć, że komisarz policji znalazł był w policyjnych księgach

wzmiankę, jakoby Sara Liebenfeld miała jakiś proces przed kilkunastoma laty, o

czem dał znać sędziemu, a sędzia znów kazał Kalasantemu szukać aktów w tej

sprawie, i po nie właśnie przysłał woźnego.

Kalasanty wyjął wielką księgę z półki, na której był napisany rok ., otworzył

literę L. i zaczął szukać nazwiska Liebenfeld...

— Jest! — krzyknął po chwili zadowolniony oficjał — numer .; aha! gdyby

pan sędzia był powiedział numer, to byłbym był znalazł od razu, ale cóż kiedy to

tym panom trudno numeru spamiętać, a my wszystko wiedzieć
musimy — gderał pan
Kalasanty i szedł prosto do jednej z licznych półek, z której wyjął akt
złożony
pod powyższym numerem.
Fan oficjał zapisał akt do książki, że go wydał i wręczył woźnemu.
Idźmy obecnie z woźnym do biura pana sędziego.
W długim korytarzu ciemnym a brudnym, jak gdyby cele mnisze
ciągnęły się
biura sędziów z tabliczkami nad drzwiami, na których wielkimi
literami wypisane
były nazwiska sędziów. Niemiły zapach stęchłych papierów
rozpościerał się po
całym zabudowaniu, a stróż kryminalny w długiej sieraczkowej
kapocie, z
ciemnoniebieskim kołnierzem, wymierzonymi krokami chodził od
ósmej z rana do
trzeciej po południu, i myślał — dalibóg że nie wiem o czym.
Raz się pytałem takiego stróża, o czym on właściwie może myśleć w
tych długich
godzinach.
Do dziesiątej, jedenastej, dopóki się wszyscy panowie nie poschodzili,
myślę o
tem — odpowiedział stróż — czy też wszyscy przyjdą? a od
jedenastej jeść mi się
chcieć zaczyna, więc nie dziw że myślę, czy żona zrobi dzisiaj dobre
pierogi.
Więc i nasz stróż zapewne myślał o pierogach.
Nad jednymi drzwiami wisiała czarna tabliczka z napisem:
„Wielmożny pan sędzia
Ignacy Kręcikiewicz”.
Woźny z papierami wszedł do tego pokoju, drzwi skrzypnęły
nielitościwie,
widocznie nie widziały oliwy od wieków.
— A co są akta? — pytał pan Ignacy
wchodzącego z zachmurzoną miną — ten Kanafarek tak wszystko
robi powoli, że rady
sobie z nim dać nie można. Woźny złożył akta na stole.

— Jakto, tyle wszystkiego? zawołać mi Kanafarka.

Biedny Kalasanty zdjął czempredziej płócienny rękawek jaki miał na rękawie od surduta, aby łokci nie wycierać, położył na półce nadkąszona suchą bułkę i biegł po schodach.

Kalasanty zawsze na drugie śniadanie jadał suchą bułkę za półtora centa, w niedzielę i święta pozwalał sobie bułkę z czarnuszką, która kosztowała o pół centa więcej.

Wchodząc do sędziego, oficjał trzy razy do drzwi zapukał.

— Mówiłem panu — groźnie zaczął mówić pan Kręcikiewicz — żeby wyszukać wszystkie akta w sprawie Sary Liebenfeld, a pan mi tutaj przysyłasz jakiś akcik najpóźniejszy.

— Bo więcej aktów w tej sprawie nie ma — z pokorą odrzekł Kalasanty — poprzednie akta zginęły.

— Co to znaczy zginęły? jak to zginęły? jak mogą akta zginąć w cesarsko-królewskim urzędzie! — ze wzmagającą się gwałtownością mówił pan sędzia.

Kalasanty ruszył ramionami za całą odpowiedź.

— Ja pana pociągnę do odpowiedzialności! akta kryminalne ginąć nie mogą.

— Przepraszam pana sędziego, ale akta te zginęły jeszcze przed tem, nim objąłem urzędowanie; właściwie bowiem ztemi aktami tak się rzecz ma, że Sara Liebenfeld była podejrzana, że ukradła ztąd akta w jakimś dawniejszym procesie o kradzież dziecka, nic jej jednak nie było można dowieść, więc procesu przeciw niej

zaprzesztano, i o tem właśnie pana sędziego przekona akt nr. ..

— A jakim sposobem Sara mogła być podejrzana o kradzież aktów z registry ?

— Kiedy, proszę pana sędziego, tyle dowiedziono, że te akta nie zginęły z registratury, ale z biura.

— Mówisz pan jakieś zagadki, jakim cudem żydówka mogła akta ukraść z biura ?

— Panu sędziemu zapewne niewiadodomo, że Sara dawniej sprzedawała zapalki i mydelka i pozwalano jej chodzić i roznosić zapalki po biurach — podej-
rzenie więc na nią padło, że przyszedłszy w ten sposób do biura, nikogo nie zastała i akta ukradła.

— Ot bajki, które sobie panowie registranci wymyślili, żeby nie być odpowiedzialnymi za zgubione akta. Możesz pan odejść, a na drugi raz proszę
prędzej wyszukiwać, co mi potrzeba.

Kalasanty się skłonił i wyszedł.

Pan sędzia wziął do ręki akt . . . Spisane tam było następujące pro memoria:

Ekonomowa Józefa Wilczyńska we wsi Rzopkowie pod Lwowem, znalazła w r. .

dziewczynkę mającą już z półtora roku. Dziewczynka była niemową, miała sukienkę

z białej piki zrobioną, a szyję miała obwiązaną białą chusteczką batystową z

cyfrą Z. i hrabską koroną. Wilczyńska uboga kobieta, wzięła ją do siebie.

Śledztwo zostało przeprowadzone, ale z początku do żadnego nie prowadziło

rezultatu, jedyną drogą, po której dojść było można do jakichkolwiek wniosków,

była chustka do nosa z cyfrą Z; właśnie jednak, gdy ją miano pokazywać różnym

szwaczkom lwowskim, czy przypadkowo która z nich nie pozna swojego haftu,

chustka wraz z aktami zginęła

z biura referenta, a wszelkie poszukiwania za sprawcą tej kradzieży stały się

bezowocne. Największe podejrzenie ciążyło na żydówce Sarze Liebenfeld, która w skutek długiego zwyczaju, wyrobiła sobie wstęp do biur roznosząc zapalki; Sarę pociągnięto do odpowiedzialności, ale pomimo rewizji sądowej w jej domu i najściślejszego badania, nic jej nie można było dowieść, z którego to powodu, wspomniana żydówka z pod śledztwa uwolnioną została. Śledztwo względem porzuconej dziewczynki starano się dalej prowadzić, ale również bezskutecznie. Przyczem robi się tę uwagę, że wspomniana ekonomowa po kilku latach bardzo zubożała, gdyż mąż jej umarł, a niemą dziewczynkę wzięła do siebie obywatelka ziemska pani Barbara Kolecka mieszkająca we Lwowie i wychowywała ją później jako własną córkę pod imieniem Marji. Tyle mówił akt. Sędzia się zastanowił, historia ta nadzwyczaj go obchodziła, albowiem znał pannę Marję, a chociaż słyszał nieraz opowiadających o jej pochodzeniu, przecież nigdy nie spotkał się w aktach z jej nazwiskiem i nie sądził, że w jej pochodzeniu kryje się jakaś tajemnicza historia. To go także uderzyło, jak dziwnym sposobem przyszedł na bliżej go obchodzącą sprawę i jaki musi być związek pomiędzy żydówką, co przed dwoma dniami została otruta, a dzieckiem znalezionym na Snopkowie, jeżeli w ogóle taki związek istniał, i nie był wywołany tylko przypadkowymi okolicznościami. Pannę Marję Kolecką znało całe miasto, bo słynęła z dobroczynności, a chociaż niema, przecież była uwielbianą przez osoby bliżej niej stojące. Sędzia widział

ją ze dwa razy u swej dobrej znajomej pani adwokatowej Cezaryny Kurylskiej, i widział, że pani Cezaryna bardzo ją nienawidzi — z jakiej przyczyny, tego się

nie domyślał. Pan Ignacy więc niemało się ucieszył, że będzie miał pani

Cezarynie powiedzieć coś interesującego, a że był u niej codziennym gościem,

więc zaraz dzisiaj po południu miał jej udzielić wiadomości w aktach wycytanej.

Pan Ignacy nie był bynajmniej sumiennym urzędnikiem, któremu chodzi o to, aby

niepotrzebnie nie kompromitował znajomych osób, on uważał urząd tylko jako

sposób do życia i bynajmniej nie myślał sumiennie odpowiadać powołaniu sędziego, ażeby sobie zyskać rozgłos zacnego człowieka. Jego ideałem było:

dojść jak najprędzej do dobrej pensji, zrobić majątek, w jakikolwiek sposób toby

się zrobić dało, prowadzić wygodne życie — i naturalnie bywać codziennie u pani

Cezaryny.

Świat dość głośno mówił o jego stosunku z piękną panią adwokatową, pan Ignacy

się jednak o to nie gniewał, owszem podchlebiało mu to, że w ogóle mówią o nim,

i że mu zazdroszczą stosunku z kobietą, do której nie jedno z serc lwowskich

młodzieniaszków od dawna wzdychało. Pan sędzia zresztą miał zahartowane sumienie

i nie przychodziło mu nawet na myśl, że krzywdę robi pocziwemu adwokatowi i

dzieciom pani Cezaryny, była to brutalna natura bez żadnego głębszego uczucia.

Marzył on zrana o tem, czy na obiad w restauracji, w której się stołował, będzie

soczysta polędwica i grzybki duszone, do których czuł nieprzezwykłą słabość,

a po południu kombinował, czy panią Cezarynę samą zastanie. Zresztą nic go nie obchodziło, świat na około niego mógł się zapaść, on byłby się spytał tylko, czy grzybki duszone zostały? Koledzy go też nie lubili, przyjaciół nie miał, a jak się obchodził z podwładnymi, widzieliśmy poprzednio, przyczem dodać jeszcze należy, że Kanafarek był ojcem Julji, w której on się dawniej kochał i z którą się miał żenić, dopóki sędzia nie został.

IV.

Zapoznajmy się jednak z panną Marją, o której kilkakrotnie wspominaliśmy, a mianowicie idźmy za nią na wieś w Stryjskie, gdzie ona przez lato zwykle bawi ze swoją przybraną matką. Wioska N. własność pani Koleckiej, leży już na samym podgórzu karpackiem, a oprócz rozległych obszarów urodzajnej ziemi, dużych nieprzetrzebionych jeszcze lasów, w ślicznem leży położeniu. Jest to kotlina ze wszystkich stron lesystemi otoczona pagórkami, środkiem płynie nie wielki strumyk, wzbierający jednak do groźnych rozmiarów podczas lipcowych i jesiennych deszczów; nad nim rozsiadły się schludne górskie chaty, wśród których prowadzi publiczna droga, a posuwając się w głąb wsi, wchodzi w coraz większe pagórki, tworzące koło niej dość głęboki wąwóz, zasypany śniegiem od grudnia do kwietnia. Nad wąwozem na pagórku stoi duży dwór murowany z werandą i małym pięterkiem. Stojąc na werandzie, ma się prawie przepaść przed sobą, przepaść ta jednak nie bardzo groźnie wygląda, gdyż spód jej tworzy przepyszna

łączka, okolona staremi dębami, a wał od dworu chociaż wysoki,
jednak
uszkarpowany, był zwykłym spacerem ulubionej kozy panny Marji,
białej jak śnieg,
zgrabnej jak wiewiórka, dzwoniącej małym dzwoneczkiem,
zawieszonym u szji na
pąsowej wstążce.

Tam mieszkała w lecie panna Marja, siedziała na schodkach werandy
czytając
książkę, albo drapała się razem z kozą po pagórku, wychodząc do
dworu a bukietem
kwiatów zerwanych na łące.

Strumyk oblewał łąkę, a ku wschodowi przecinał ją tak, że łąka ciągnęła
się daleko
pomiędzy pagórki jeszcze za strumykiem i kończyła się aż w lesistej
kniei.

Jednego pięknego dnia czerwcowego, kiedy natura najpyszniejszym
zielonym była
ubarwiona kolorem, a drzewa i pola wydawały się jak gdyby świeżo
co wyszły z pod
znakomitego pędzla, zeszła panna Marja na łączkę, a koza biegła
koło niej w baletniczych skokach. Marja zbierała kwiaty, a koza
znieńacka
przybiegała do niej, wydzierając jej z ręki co najpiękniejsze jaskry i
uciekała o
kilkadziesiąt kroków, ruszając brodą na znak że jej kwiaty
smakowały.

Nasza wieśniaczka na dalszy nawet dzisiaj wybrała się spacer, i
chciała się
dostać na drugą, stronę potoka, aby pójść ku lasowi, gdzie w cieniu
dużych dębów
przyjemniej było się przechadzać. Szeroki potok wszakże stał na
przeszkodzie, a
choć woda sączyła się tylko po kamieniach, przecież niepodobna
było przejść,
nie narażając prunelowych bucików. Więc panna Marja naznosiła
najprzód w

zgrabnych swych rączkach dużo kamieni i ze znajomością rzeczy
rzucała je do
wody, aby sobie zrobić dobre przejście. Koza widząc ile jej pani
potrzebuje
zachodów, aby przejść na drugą, stronę, jednym susem przeskoczyła
potok i
stała jak gdyby się urągała z nieporadności człowieka. Ale i Marja
osiągnęła cel
i znalazła się na przepysznej łące.
Rozglądając się w około wśród uroczej przyrody, szła Marja coraz
dalej i dalej,
a słupami wskazującymi drogę dla niej były jaskry, niezapominajki i
konwalje;
jak pszczołka więc z kwiatka na kwiatek płynęła po morzu świeżej
zieloności.
Pięknie jej było na tym najwspanialszym dywanie, jaki nam dała
natura. Marja
jasną była blondyną i miała niebieskie oczy, czystym kolorem idące w
zawody z
kolorem czerwcowego nieba. Nad okiem rozpościerały się wyraźne bo
ciemne brwi,
odbijające od jasnych włosów i białej twarzy. Była wysoką i dziwnie
zgrabną,
dziwnie giętką, zdawało się że wietrzyk wschodni ciągnący od lasu
uginą ją wraz
ze sterczącymi na pagórku kłosami żyta, i że jej postać faluje na łące
jak łan
pszenicy uginający się pod ciężarem kłosów.
Twarz jej była spokojną i niewinną jak natura ją otaczająca,
namiętność nie
złożyła jeszcze na niej tych cieniów i kresek cechujących twarz, po
których raz
tylko jej uragan przeleci. Gdy w pogodny dzień letni albo jesienny
znajdujemy
się w polu, gdzie ani kroki przechodzących ludzi, ani skrzypienie
wozu, ani
głuche warczenie młyńskiego koła nie przerwie ciszy, jaka się
rozpościera w

powietrzu, wtedy dziwnie uroczyste i wspaniałe uczucie ogarnia całe
nasze
jestestwo, natura tyle wtedy ma dla nas
uroku i powabu, tak potrafi nam zaimponować swoim wdzięcznym a
poważnym
milczeniem, że z prawdziwym żalem tylko i z niechęcią oddaliśmy się
od niej, aby
powrócić między niespokojnych ludzi i wejść znowu w zwyczajny
ruch. Spokój jakim
nas nieraz napawa milcząca natura, goi blizny pozostałe po ruchliwym
życiu i jak
balsam wschodni uspokajająco i łagodząco działa.
Podobny spokój, jaki oblekał milczące łono natury, osiadł na twarzy
Marji, a
wyraz jej twarzy dlatego działał tak silnie i taki przyciągał, bo
świadczył jak
różnym był duch co tę twarz ożywiał od chciwego, namiętnego,
zepsutego świata.
Marja nie uważała, że na jasnym, pogodnym niebie mała ukazała się
od zachodu
chmura; wysokie drzewa ją zasłoniły, słońce jak pierwej jasno
świeciło, więc
nasza wieśniaczka nie spieszyła się wracać ku dworowi ale cieszyła
się piękną
pogodą.
Powiedzieliśmy, że w głębi łączki była knieja; nad nią wiła się leśna
ścieżka
służąca ludziom z sąsiedniej wioski do przechodzenia w niedzielę na
mszę do
kościółka. Podczas gdy Marja na łące kwiaty zbierała, ścieżką powoli
przejeżdżał
jakiś
młody, przystojny mężczyzna, a widząc ładne zjawisko zatrzymał się,
uwiązał z
cicha karego konia do dębu, a sam podszedł cichaczem o kilkanaście
kroków
naprzód, aby się bliżej przypatrzeć wieśniaczce.

Był to dwudziestokilkoletni młodzieniec wysoki i silny, czarna,
lśniaca broda
nadawała mu pewnej buty i powagi nad wiek, stojącej niejako w
sprzeczności z
żywem okiem, czarnem jak węgiel a takim promiennym jak gdyby
nie było
wypiełgnowane w klimacie, w którym pół roku prawie widać tylko
blade słońce
albo szarą mgłę. Młodzieniec był w szarem letnim ubraniu, a biały
słomiany
kapelusz ocieniał promieniejące oko.
Zaczął on się za drzewem i z rozkoszą przypatrywał się dziewczynie.
Naraz koza
płoszyć się zaczęła, bo grzmot, który dotąd słyhać było w oddali,
naraż się
bardzo zbliżył, a chmura ukryta za drzewami raptem stanęła nad
łączką. Marja tak
była zachwyconą piękną, otaczającą ją naturą, że nie zważała
poprzednio na
zbliżającą się burzę, która od pół godziny musiała już huczeć w
pobliskich
górach. Wielkie krople deszczu, ciepłe a szerokie jak grosze zaczęły
padać.
Marja spojrzała naokoło siebie, czarne chmury w jednej chwili okryły
horyzont,
grzmoty i błyskawice posypały się w mgnieniu oka, a potok
przedzielający łąkę od
dworu niespodziewanie wezbrał, snadź że wielki deszcz już upadł w
górach, a
rwący i szybki górski strumyk wyprzedził nawet w pędzie burzę.
Marja przybiegła
czempredziej nad potok, ale kamienie z trudem poznoszone przykryły
się już
brudną, spienioną falą i o przejściu na drugą stronę ani mowy być nie
mogło.
Dziewczyna stanęła myśląc co dalej począć, koza także się zadumała
patrzac na

swoją panią i brodą potrząsając. Młody człowiek dobrze uważał z daleka kłopot dziewczęcia, pobiegł więc czempędzej po konia i przyklusował nad potok.

— Przepraszam panią — mówił młody człowiek — ale widząc kłopot pani zdaleka

przyjechałem, żeby się stać jej pomocnym.

Marja wdzięcznem skinieniem głowy odpowiedziała.

— Wprawdzie mężkie siodło, ale ja już będę uważał, aby się nie zsunęło... niech

pani usiądzie jak w krześle.

Dziewczyna szybko się zdecydowała,

zrobiła giest potakujący; zgrabnie założyła nóżkę w nizko spuszczone strzemie,

poczem jak wprawna amazonka bokiem usiadła w niewygodnem siodle do takiej jazdy,

chodziło jednak tylko o przeprawę na drugą, stronę, więc podróż nie była zbyt

niebezpieczną; chciała porwać za cugle, ale młody człowiek schwycił je w silną

dłoń, a trzymając drugą ręką siodło, wszedł z koniem do wody,

pomimo że Marja

składała rączki, aby tego nie robił, ale pozwolił jej samej przejechać.

Koza długo się namyślała, co ze sobą począć; ale widząc, że pani już na drugim

brzegu, zdecydowała się zgrabnym skokiem zmierzyć spieniony potok.

Niestety Marja słowami nie umiała podziękować grzecznemu nieznanomemu; jej

uśmiech jednak tyle mówił, że młodzieniec czuł się aż zanadto wynagrodzonym.

Marja była niemą... jak powiadano, niemą od urodzenia.

Na drugiej stronie potoku zsiadła nasza znajoma z niewygodnego siodła, podała

rękę młodemu człowiekowi, a wzrokiem i skinieniem ręki tak się umiała zapytać o

jego nazwisko, że nieznanomy natychmiast zrozumiał jej żądanie i przedstawił

się jej jako hrabia Mieczysław Zgodzki, bawiący od kilku dni u swego wuja

Kaliskiego, sąsiada pani Koleckiej.

Marja wskazała nowemu swemu znajomemu, aby ją do dworu odprowadził; Mieczysław

jednak był tak zmoczony, że w żaden sposób nie mógł młodej panience dalej

towarzyszyć, przeprosił więc ją bardzo, powiedział, że jej jutro będzie służył,

wsiadł na karego i popędził napowrót jak strzała.

Pani Kolecka, czterdziestokilko-letnia szlachetnych, rysów kobieta, zaniepokojona chodziła po werandzie i zdalekajuz groziła młodej dziewczynie.

— Maryniu! Maryniu! co ty wyrabiasz, tak się o ciebie obawiałam, co się z tobą

stało, porozsyłałam ludzi na wszystkie strony; idźże się dziecię przebrać jak

najprędzej, żeby ci ta oryginalna kąpiel nie zaszkodziła.

Marja wbiegła do pokoju, za nią koza wyskoczyła na werandę i zaczęła także robić

toaletę, bo tak się otrzępywała z deszczu, że pani Kolecka musiała daleko od

niej uciekać, aby mimowoli nie pójść za przykładem swojej wychowanicy.

Po chwili wróciła przebrana Marja w białej pikowej sukni, niebieską przepa-

sanej wstążką, i takąż we włosach aksamitką, a powróciła do pani Barbary z

tabliczką, na której już w krótkości opisała jej całe zdarzenie nad potokiem i

znakami jeszcze dodała, że jutro spodziewa się wizyty hrabiego Mieczysława.

Pan Mieczysław z pierwszego wejrzenia wcale się jej podobał, a wrażenie po

krótkiej burzy i zmoknięciu wcale zostało przyjemne.

Mieczysław tymczasem pędził do domu co koń wyskoczył, a „nieme zjawisko” tak mu

się podobało, że cały wieczór o niczem u wujostwa nie mówił, jak tylko o pannie Marji, o jej prześlicznych włosach, o brwiach czarnych w piękny łuk zagiętych, o ciekawej przeprawie przez potok i o tem, jak się z nią doskonale mógł porozumieć, pomimo że ona nie mówi.

— Jakie ma prześliczne ruchy! — powtarzał sobie Mieczysław — każdy jej gest taki harmonijny, tyle ma wdzięku i robi takie wrażenie, jak gdyby się najśliczniejsze słyszało akordy, muzykę z najsubtelniejszych składającą się tonów. Mieczysław tak się cieszył na jutrzejszą wizytę, że ściągnął na siebie żarciki i ucinki zgromadzonego u wujostwa towarzystwa, a nazajurz wstał co świt, jak gdyby już o szóstej zrana miał siadać na karego i pędzić do pani Koleckiej.

Nasz znajomy nie mógł się uspokoić; zaraz rano poszedł do ogrodu, tutaj mu wszakże było za ciasno, więc wyszedł w pole ku wsi, gdzie panna Marja mieszkała, i ciągle rozbierał filozoficzną kwestję: jak można być niemą a tak miłą zarazem?

Dotąd nie zdarzyło mu się nigdy w towarzystwie spotkać osoby niemej wykształconej i dobrze wychowanej, sądził więc, że niema musi koniecznie być babką pod kościołem.

Wreszcie nadeszła oczekiwana godzina; Mieczysław w lekkim powoziku wujostwa wyciągniętym kłosem jechał w odwiedziny, rozciekawiony, jak to pójdzie rozmowa z osobą niemą a tak piękną?

Ciekawość jego wszakże wkrótce mogła być zaspokojoną, w pół godziny bowiem już zajechał przed znajomą nam werandę.

Marja siedziała z panią Barbarą pod słupami, okolonemi ogromnemi drzewami

cytrynowemi i kwitnącemi rododendronami, które zasłaniały werandę od zachodu,
tamując zanadto śmiałe promienie ciekawego słońca.
Nasza młoda znajoma zdawała się dzisiaj Mieczysławowi jeszcze piękniejszą,
aniżeli dnia poprzedniego, miała na sobie blado-niebieską materjalną suknię z jasnoorzechową tiuniką, a we włosach jak zwykle niebieska aksamitka uroczy tworzyła wianuszek.
Pani Barbara wstała na powitanie gościa, podziękowała mu za wybawienie jej wychowanicy z wczorajszego kłopotu, a panna Marja potwierdziła wyrazy swej przybranej matki miłym uśmiechem i podaniem ręki Mieczysławowi. Pani Barbara zrazu prowadziła konwersację, Marja gościami tylko rozmawiała, tłumacząc się czasem szybko na tabliczce napisanemi słowami; umiała ona dobrze znaki tworzące rozmowę niemych, używała ich jednak bardzo rzadko, nawet mówiąc z panią Barbarą, uważając, że jest w nich coś komicznego, co ją nadzwyczaj raziło; najchętniej więc pisała to, co chciała powiedzieć, na tabliczce, a że tym sposobem rozmowa z nią była utrudniona, więc nauczyła się tak zwięźle i loicznie swe myśli wyrażać, że w kilku słowach napisała więcej, aniżeli niejedna z pań w towarzystwie się znajdujących mogła to samo powiedzieć w kilku minutach.
Zresztą Marja wykształciła sobie w wysokim stopniu mimikę i rzadko kiedy potrzebowała pisać odpowiedź, tak zręcznie bowiem umiała używać ruchów twarzy i rąk, że nietylko okazywała znak afirmacji i negacji, ale na najróżnorodniejsze

umiała odpowiadać pytania. Zresztą, osoby bywające często w jej towarzystwie stawiały jej już w ten sposób pytania, aby odpowiedź na nie jeżeli nie gościem, to przynajmniej w kilku napisanych słowach wyrazić się dała. Z drugiej strony Marja tak się stała domyślną, tak umiała nieomal zgadywać myśli ją otaczających, że po ich twarzy najczęściej zgadywała, co się chcą zapytać, i nieraz pytanie nie w zupełności jeszcze było powiedziane, a ona już odpisywała odpowiedź na nieodstępującej ją tabliczce. W skutek tej natężonej uwagi na wyraz twarzy osób ją otaczających, przyszła Marja do takiej doskonałości w poznawaniu usposobień i charakterów, że nieboszczyk Lawater mógłby być przed nią zdawać egzamin. Po niewidzialnym prawie dla innych osób ruchu oczu lub ust, po najmniejszym drgnięciu nerwów w twarzy, uchwyciła ona w lot myśli i uczucia. Przez dłuższe, a niestety konieczne w tej mierze doświadczenie, uzbierała sobie Marja mnóstwo spostrzeżeń o fizjognomji człowieka, wiedziała wybornie, kiedy końce powiek marszczą się i ściągają, kiedy zwykły u ludzi zmarszczek pomiędzy nosem a ustami silniej występuje, kiedy oko w jednej chwili się rozżarza albo blask swój traci, kiedy się robi pewne mimowolne poruszenia rękami, i znała dokładnie tysiąc innych zjawisk na spokojnej na pozór postaci dobrze wychowanego człowieka. Podczas gdy nie będąc zmuszonymi tak ściśle jak Marja zastanawiać się nad ruchami osób, które spotykamy, spostrzegamy tylko silniejsze na nich wrażenia i

nie zdołamy nawet uchwycić owe drobne
odcienia igrające ciągle na ich twarzy. Marja tak rozumiała się
doskonale na tej
niewidomej dla nas grze muszkułów i nerwów, że nieraz nie mogła
pojąć, jak pani
Barbara naprzykład nie uważała czegoś, co jej w oko wpadło
oddawna.
Jeżeli pani Barbara chciała wiedzieć, mieć o kimś wyrobione zdanie,
natychmiast
pytała się Marji, jej spostrzeżenia
bowiem nigdy nie zawiodły. Przy przyjmowaniu sług, Marja zawsze z
robótką w
kącicie przytomną być musiała, z niezawodną bowiem dokładnością,
umiała potem pani
Barbarze odpowiedzieć, co warta sługa, co się jej przedstawia.
Mając taką łatwość poznawania ludzi, nasza niema nadzwyczaj
szybko zawierała
przyjaźń, albo uczuwała do kogoś wstręt lub odrazę, ludzie co jej
bliżej nie
znali, byliby to brali za uprzedzanie się, za brak rozwagi, nie mogliby
bowiem
zrozumieć, że tam gdzie u zwykłych ludzi nie mogło się jeszcze
wyrobić zdanie,
ale dopiero sympatja i antypatja, u Marii już istniała ugruntowana
znajomość
człowieka.
To też Marja nie znała prawie owych przejściowych uczuć sympatji i
antypatji,
opierających się tylko na jakimś niezrozumiałem,
niewytłomaczonym jeszcze
wrażeniu, ale nie mających uzasadnionych przyczyn, ugruntowanych
na znajomości
serca ludzkiego. Marja tak szybko poznawała ludzi, że za ledwie
uczucie sympatji
lub antypatji powstać u niej mogło, już istniało przekonanie mniej lub
więcej
uzasadnione, jasne i dobitne, oparte na spostrzeżeniach, na faktach i
nie

przypuszczało żadnej wątpliwości. — Trzeba wie-
dzieć, że Marja pod tym względem nadzwyczaj była pewną swojego
zdania, nie
spotkała się jeszcze bowiem z człowiekiem, któryby mógł jej
wyrównać co do
poznawania ludzi i wrażeń na ich twarzach się malujących, a dla tego
coraz
bardziej nabierała tego przekonania, dochodzącego czasem do
zarozumiałości, że
jest nieomylną. Rzecz to zresztą naturalna, jeżeli bowiem nikt nie
potrafił w
niej zachwiać wiary w te spostrzeżenia, to tem łatwiej w prawdziwość
ich
uwierzyć musiała. Ona zaś o wiele trudniej, aniżeli inni mogła przyjść
do
przekonania, że to lub owo jej spostrzeżenie jest fałszywe, albowiem
mniej
aniżeli inni wypytywała się o drugich, a więcej myślała i więcej się
ograniczała
na własnych spostrzeżeniach.
Widząc lepiej aniżeli inni ludzie, jak często słowa z myślami stoją w
sprzeczności, stała się więcej podejrzliwą aniżeli inni, ta
podejrzliwość
wszakże nie miała siły rozpuścić w niej szeroko korzenie, albowiem z
drugiej
strony traciła grunt spotykając się z ową pewnością w poznawaniu
ludzi, z owem
przekonaniem, że tak być musi a nie inaczej. Zastanawiając się nad
ludźmi bardzo
wiele, umiała Ma-rja nadzwyczaj wysoko cenić dobroć serca, uczucie,
a wrodzoną, swą łagodnością i
szlachetnem sercem, potrafiła stokrotnie oddać okazaną jej sympatię.
Marja była bardzo uważająca i troskliwa o swoją, przybraną matkę, a
umiała
posunąć te cnoty do najwyższego stopnia, albowiem łatwo było jej
zgadywać nie
powiem już wszystkie życzenia, ale wszystkie myśli pani Barbary,
którą, znała

doskonale.

Lecz wróćmy do opuszczonego na chwilę towarzystwa.

Mieczysław w jednej chwili włożył się w sposób rozmowy, z konieczności

zaprowadzony w domu pani Barbary, a towarzystwo panny Marji sprawiało na nim

nowe, oryginalne wrażenie, wrażenie z którym się jeszcze nigdzie nie spotkał. Po

minąwszy już nawet, że Marja była piękną, i że wyraz jej twarzy w młodym

człowieku nadzwyczaj niepospolity wywoływał urok, to postać jej poruszała w

Mieczysławie jedno z najżywszych uczuć, to jest uczucie ciekawości.

Patrząc się

na tę idealną, spokojną twarz, w to oczy szlachetne i łagodne, pragnął koniecznie wiedzieć co one myślą i widzą, tembardziej, że nie słysząc głosu

Marji i jej rozmowy,

pozbawiony był jednego z najwybitniej szych objawów, po których poznajemy

człowieka. — Co ona myśli? — co chce powiedzieć? — te pytania ciągle zaprzętały

Mieczysława, do tego stopnia, że gdy Marja brała za tabliczkę, on już patrzył z

nateżoną uwagą, śledząc jej poruszenia ręki, aby się jak najprędzej dowiedzieć,

co ona chce powiedzieć.....

Ciekawość się tembardziej wzmagała, że odpowiedzi lub zapytania Marji były tak

treściwe i zdradzające tyle dowcipu i bystrości, że mimowoli musiały zająć i

uderzyć Mieczysława.

Pierwsza wizyta zwykle krótką bywa, na wsi łatwiej od tej reguły zrobić wyjątek,

a Mieczysław bardzo chętnie dzisiaj od wyjątków zaczynał, więc dał się zaprosić

na objad, a po objedzie panna Marja usiadła do fortepjanu, a grała z takim

uczuciem i taką precyzją, że chwilami niewielki muzyk nawet byłby zrozumiął
myśli rzucane w tonach fortepjanu. Hrabia lubił muzykę i znał się na niej
doskonale, niedziw więc, że był zachwycony nowo odkrytym talentem.

— Nie znam tego, co pani grasz — pytał się Mieczysław — to musi być uwertura do
jakiejś nieznajomej mi opery?

Marja się roześmiała i wskazała na siebie... a na tabliczce dopisała:
„może za
śmiało porównywać się z dziełem muzycznym, z operą, ale raz
zrobiwszy to
porównanie, trzeba przypuścić, że każdy człowiek ma kilka myśli
głównie go
charakteryzujących, ma swoją uwerturę...”

— Więc pozwól mi pani dalej prowadzić porównanie — odpowiedział Mieczysław — i
powiedzieć, że po tej uwerturze, którą dopiero co słyszałem, muszę mieć
nadzwyczaj wysokie wyobrażenie o samem dziele, o samej operze i
jeżeli w tych
akordach zostały złożone główne myśli charakteryzujące panią,
natenczas muszę
myśleć...

— Ciekawam, jak mnie pan osądzisz na podstawie tej uwertury, którą grałam? —
napisała Marja.

— Pani pozwoli, ale chcąc być sprawiedliwym sędzią, radbym drugi raz usłyszeć
to, coś pani grała; sądzić o człowieku, a tembardziej o takiej kobiecie
jak
pani, można tylko po dobrej rozwadze.

— Przestraszasz mnie pan swoją rozwagą — szybko napisała Marja.
Mieczysław spiekł raka jak piętnastoletnia panienska, a Marja chcąc
zadosyć-

uczynić jego żądaniu, jeszcze raz zaczęła grać swój własny utwór. W miarę tego,

jak Marja w różne wpadała tony, Mieczysław wydawał swoje wyroki.

— Główną cechą, pani jest łagodność i dobroć.

Marja główkę schyliła na znak podziękowania za komplement i przymróżyla oczy,

jak gdyby chciała powiedzieć, że się wstydzi w oczy mówionych pochlebnych spostrzeżeń.

— Pani jesteś namiętną.

Marja przerwała grę i napisała czempredzej: „jak na pierwsze spotkanie, wiele

powiedziane, pocieszam się jednak, że tylko gąsienice nie mają namiętności...”

Mieczysław się zaczął tłumaczyć, przeproszał. Marja mu wszakże dała do poznania,

że się zupełnie nie gniewa i grała dalej.

— Pani możesz być bardzo zazdrosną. Marja potakiwała głową.

— Czasem pani bywasz podejrzliwą.

— Same dobre przymioty odkrywasz pan we mnie — odpisała Marja i grać przestała.

Mieczysław prosił jej, żeby grała dalej, ale ona mu odpisała, że się obawia, aby

ją zanadto dobrze nie poznał.

— I cóżby w tem złego było, choćbym

panią bardzo dobrze poznał; wie pani, że w uwerturze znalazłem uczucie i dobroć,

czyż obok dobroci można znaleźć co złego?

— Bardzo wiele — rzuciła Marja na tabliczkę — sądzisz pan zanadto dorywczo!!

— Muszę tutaj stanąć we własnej obronie — odpowiedział

Mieczysław — zarzut

dorywczości w żaden sposób dzisiaj mnie spotkać nie powinien; badam panią

dawniej, aniżeli się pani tego spodziewasz: wczoraj więcej, jak godzinę

przypatrywałem się pani, zanim ranie pani widziałaś i przekonałem się dostatecznie, że pani kochasz naturę... to był pierwszy pewnik do osądzenia

pani; drugim pewnikiem był wyraz twarzy, a trzecim owa uwertura, którąśmy dopiero co rozbierali.

— Za mało pewników — odpisała Marja — muszę się pochwalić jeszcze jednym — i podała rękę Mieczysławowi prowadząc go do przyległego pokoju. Pokój ten był formalną malarską pracownią; kilka sztelarzy, pogruntowane płótna, rysunki, pędzle, farby, jak u artysty z powołania. Na ścianach wisiało kilka szkiców charakterystycznych głów męzkich i kobiecych, a Mieczysława uderzało w nich nie tyle wykończenie i właściwa delikatność kobiecemu pędzlowi, ile nadzwyczajna śmiałość rysunku i dziwnie uderzająca prawda. Zdawało mu się, że podobne postacie gdzieś widział, że się znał z niemi, że to są portrety osób, z którymi on od dawna miewał stosunki — tyle w nich było życia i prawdy. — Na sztelarzach już prawie na ukończeniu stało duże płótno przedstawiające znaną nam kozę na łące. Koza jednak była w oddali, a cały obraz uwydatniał tylko kilkanaście kwiatów i traw występujących na pierwszym planie, tak, że znać było, że obraz dla tych kwiatów malowany. Na tablicy był kredą zrobiony bukiet z podobnych kwiatów, ale widocznie nie podobał się mistrzyni, albowiem przemazała go wcale nieregularnymi kreskami.

— Tak piękne kwiaty i przemazane ? — pytał Mieczysław.

Marja podpisała pod niemi na tablicy: „bo zerwane.”

— A tam żyjące — dodał Mieczysław wskazując na olejny obraz.

Marja na znak potwierdzenia skłoniła głowę.

— Jeżeli pani pozwoli wrócić do naszej poprzedniej rozmowy, to malarska

pracownia daje mi jeszcze jeden dowód więcej, że w sądzie moim się nie pomyliłem.

— Nie wracajmy do poprzedniej pogadanki; pan dzisiaj jesteś w usposobieniu chwalenia i podziwiania — odpisała Marja wesoło się uśmiechając. Po przejrzaniu jeszcze innych w atelier znajdujących się prac, przeszli młodzi państwo do salonu, a potem na werandę, gdzie z bólem serca zobaczył Mieczysław, że słońce czerwonymi smugami już okrywało wierzchołki drzew, i że pierwsza wizyta i tak nadzwyczajnie się długo przeciągła, zawołał więc na przechodzącego służącego, aby mu kazał zaprzęgać, ale dawno tak nieszczerze nie wydawał tego rozkazu, jak obecnie.

— Pan się tak spieszy? — zapytała się pani Barbara, która nie towarzyszyła młodym do pracowni, ale siedziała na werandzie.

— Niech mi pani wierzy, że odjeżdżam tylko dlatego, albowiem jestem zawiele Europejczykiem i uważam na wizytowe formy.

— A więc bądź pan dzisiaj Amerykaninem i zostań na herbacie, — dodała pani Barbara, a Marja zdawała się potwierdzać jej zdanie, serdecznym bowiem przyjęła je uśmiechem. Mieczysław nie czekał powtórnego zaproszenia, ale czempredzej odwołał rozkaz zaprzęgnięcia koni.

Wieczór zapadł, podano herbatę, rozmowa przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, a hrabia bawił się jak nigdy, i nie mógł wyjść z podziwienia, jak się można z niemą osobą tak doskonale bawić.

„Powiedziałaś pan, że jestem namiętną, — pisała Marja po skończonej herbacie

Mieczysławowi, — mam rzeczywiście namiętność i lubię szalenie grę..."

Mieczysław z niedowierzaniem spojrział się na nią... a ona dopisała na tabliczce:

„w szachy”.

— Prześlicznie, — odpowiedział Mieczysław, — będąc w Paryżu należałem do klubu szachistów, a jeżeli mi wolno się pochwalić, to dwa razy wygrałem honorową stawkę...

Marja się tak na niego popatrzyła, jak gdyby chciała powiedzieć: przestraszasz

mnie pan, — ale mimo to wskazała służącemu szachy leżące na etażerze i ze

znajomością rzeczy wzięła się do gry.

Mieczysław trochę w tej mierze zarozumiał, zaczął ciągnięcia jakiejś zwykłej

partji, obliczonej na to, aby w siedmiu poruszeniach dać mata; Marja jednak

szybko spostrzegła niebezpieczeństwo i odporną partję umiała kilkoma

pociągnięciami zmienić w zaczepną, w ten sposób, że wkrótce znalazł się w

niebezpieczeństwie.

Hrabiego gra coraz bardziej animowała, rozczzerwienił się jak gdyby rzeczywiście

znajdował się w klubie szachistów, Marja jednak tak spokojnie i tak obojętnie

spoglądała, że w jej twarzy ani śladu nie było znać silniejszego wzruszenia, a

jako dzielny gracz i przekonany o swojej sztuce, rozbroiła prawie zupełnie swego

przeciwnika, pozabierała mu wszystkie znaczniejsze figury i zamatowała króla.

Poczem na zgodę podała rękę przeciwnikowi i z uśmiechem na ustach napisała mu

zapytanie:

„A kto namiętny?”

— Muszę się przed panią rumienić, — odpowiedział Mieczysław, —
tem bardziej, że
pani mi nie chcesz zapomnieć nieostrożnie wymówionego słowa...
„Zapominam” — odpisała Marja.
Mieczysław spojrział na zegarek, i był
już największy czas do wyjazdu, więc siadł czempędzej do stojącego
już przed
werandą, powozika, a na pożegnanie zobaczył przyjemny uśmiech
Marji, mó wiący
mu, że pierwsza wizyta chętnie była widziana, i zaproszenie pani
Barbary: może
pan nas więcej odwiedzisz.”
Zniecierpliwione konie, nie grając w szachy nudziły się i grzebały
ziemię, więc
też ruszyły z kopyta, a Mieczysław wcisnął się w głąb powozu i
patrzył się w
gwiaździste niebo, nie mogąc jeszcze skoncentrować myśli swych na
jeden
przedmiot, tak dalece te myśli błąkały się wśród lasu całodziennych
wrażeń,
zostawiających w jego umyśle postać, jakiej jeszcze nie znał, dziwnie
uroczą,
dziwnie sympatyczną...
— Jakaś szczególna poezja wieje od tej dziewczyny, — powtarzał
sobie Mieczysław,
— a ta poezja taka prawdziwa, taka jędrna, niezdradzająca bynajmniej
przesadnego
romantyzmu, że mógłbym Marję porównać z trzeźwym poematem
opisowym, z epopeją o
świeżych kolorach i silnych ruchach, otuloną w starożytną mgłę
zagadkowości.
Powiedziałbym, że brak mowy nadaje jej uroku i osłania ją właśnie
ową tajemniczą
osłoną, jak
gdyby zdjętą z jakiego bohatliadyera I albo Nibelungów...
— Trzeba tam wkrótce pojechać... — z tą myślą usnął Mieczysław.
V.

Jedna z najpotężniejszych dźwigni ludzkich jest ciekawość, u Mieczysława ciekawość stawała się silną podniętą uczucia. Po drugiej czy trzeciej wizycie rzucił sobie Mieczysław pytanie, czy się Marji podobał, a wtedy owa skromna z początku ciekawość, poczęła silnie do jego serca się dobywać, stawiając ciągle pytania, a tem samem coraz bardziej podniecając uczucie będące w zarodzie. Mieczysław nie spostrzegął się nawet z początku, że w tej przyjemności, którą znajdował w towarzystwie pięknej sąsiadki, może być coś więcej, aniżeli prosta ciekawość; uczucie wszakże wkradające się cichaczem, wchodzące do serca w lekkich aksamitnych pantofelkach, a nie w skrzypiących bucikach, daleko łatwiej zwykle przemyka się przez strażę, stojące u bram serca ludzkiego, a podporządkowane naczelnemu dowódcy — rozumowi. Uczucie przemycające się mimo czujnego strażnika, wchodzące do serca nie legalizując paszportu u owego wielkiego mędrca, którego rozumem zowią, śmiało potem gospodaruje w człowieku, ufne w swój spryt, w swoją odwagę, przedrzwiewające z rabina siedzącego tam gdzieś w głowie ludzkiej i zamyślonego o tak mądrych rzeczach, że nawet nie uważa na małego psotnika w aksamitnych pantofelkach. Pan „rozum” ma ważniejsze sprawy na myśli, sądzi wkradające się cichaczem do serca uczucie, pan „rozum” ważne plany układa, więc nas malutkich nie będzie uważał! — Tak myśląc wchodzi ten mały psotnik do serca, a że miły, młody i

przyjemny, więc wkrótce tam sobie pozyska przyjaciół, a mieszkańcy
serca
ludzkiego ani się nie pomiarkują, jak weszli pod przyjemny pantofelek
owego
niedawnego przybysza. „Rozum” tymczasem zatrudniony ważnymi
sprawami, ani myśli,
że w sercu inne rządy, inna władza, że jego supremacji tam już nie
uznają, i że
mu wypowiedziano posłuszeństwo. Dopiero gdy jednego pięknego
poranku rozum
posyła posłów, pisze listy i telegramy, aby serce wypeł-
niało jego rozkazy, a rozkazy nie są wypełniane, dopiero wtedy rusza
głową
starowina, szukając na nieposłusznego rokoszanina jakiej mądrej rady.
Rada już
jednak nic nie pomaga, serce zapanowało najzupełniej, klaszcze w
rączęta, śmieje
się ze starego rabina i pokazuje mu figę na palcach.
Strzeżcie się więc szanowne i poważne rozумы tych uczuć, co się nie
anonsują u
bramy, co nie posyłają wam wizytowej karty, zanim wejdą do
waszych komnat, ale
które czatują za drzwiami, i podczas gdy spokojnie odpoczywacie w
poobiedniej
drzemce, na palcach wchodzą w wasze krainy, trzymając palec na
ustach i zcicha
powtarzając:... sza... sza
Rozum Mieczysława także miał swoje poobiednie drzemki, nie
dziw więc, że gdy
po pół butelce szampana i po czarnej kawie założył na krzyż ręce w
wielkim
skórzanym fotelu, psotne jakieś uczucie nadające sobie nazwisko
„Marji”
cichaczem otworzyło angielskie zamki do serca Mieczysława i
zaczęło tam
gospodarować w najlepsze. Rozum się obudził, gniewał się, gderał
starowina,

powtarzał: „co mi tutaj ktoś obcy ma gospodarować," ale młody psotnik w głos się zaczął śmiać i nic sobie z niego nie robił.

A trzeba wiedzieć, że rozum Mieczysława miał swoje do gderania przyczyny, mógł całkiem naserjo zapytać się: do czego to prowadzi? co myślisz dalej robić przyjacielu?.. Ażeby wszakże zrozumieć te przyczyny i te powody, musimy cokolwiek wspomnieć o stosunkach Mieczysława, o jego życiu.

Rodzina Mieczysława, hrabstwo Z., mieli znaczny majątek w Stanisławowskiem, majątek najgorzej w świecie administrowany. Pani Klaudja matka Mieczysława prześlicznej była urody i wielkiej zacności kobieta, a pomimo że najpiękniejsza młodzież w kraju i za granicą składała jej hołdy, pani Klaudja przecież była bez zarzutu... Wychowana jednak w zbytkach, przyzwyczajona do tego, że wszystkie kaprysy fantazji winny być zaspokojone, potrzebowała bardzo wiele pieniędzy i nie umiała prawie cenić ich wartości. Wątlęgo zdrowia, mieszkała rzadko kiedy w kraju i po większej części przesiadywała w Wenecji, w Pizie albo we Florencji, żyjąc z włoską arystokracją i nie oglądając się bynajmniej, czy majątek w Stanisławowskiem zdoła wyrównać majątkom kolosalnym, fortunom odwiecznym, majoratom przy- noszącym po kilkakroćstotysięcy franków dochodu. Mąż pani Klaudji, hrabia Florjan, uwielbiał swoją żonę, patrzył się w nią jak w bóstwo, nie umiał jej nic odmówić, żył tylko dla niej, i pomimo kilkonastoletniego z nią pożycia,

śnił i marzył o niej jak kochanek, i był gotów każdej chwili pisać
sonety i
układać melodje imitujące jej dźwięczny głos, jej tchnienie. Przytem
był hrabia
Florjan niesłychanie zazdrosnym, zazdrosnym zawsze i wszędzie, bez
przyczyny....
Znając świat, wiedząc, na ile niebezpieczeństw narażoną być musi
kobieta tak
piękna, jak jego żona, nie miał spokojnego dnia, spokojnej godziny,
ale trapił
się ciągle myślą, że Klaudja może uleść pokusom otaczającego ją
świata, i ta
myśl nie dawała mu spokoju. Zazdrość pociągała za sobą, że hrabia
prawie nigdy
nie opuszczał swej żony, był przy niej zawsze za granicą i sam nie
zarządzał
majątkiem. Mieczysław bawił w młodocianym wieku przy rodzicach
we Florencji, w
siódmym jednak roku życia odwiózł go ojciec do Lwowa, do babki,
gdzie miał się
wychować i pobierać nauki w kraju, ażeby mógł później osiąść w
Stanisławowskiem
i przyprowadzić do porządku nadszarpaną
fortunę. Chłopczyna miał dopiero lat , a już stracił ojca... Przyczyna
śmierci
hrabiego Florjana osłonięta była jakąś niedocieczoną dla Mieczysława
tajemnicą.
Tyle tylko wiedział nasz znajomy, że ojciec zginął w pojedynku z ręki
Włocha
księcia Colonny. Pojedynek odbył się pod Wiedniem w Dornbach,
gdzie pani Klaudja
po śmierci męża zamieszkała, i w pół roku po jego śmierci umarła.
Dwa te
pogrzeby stanowiły jedyne, chociaż bardzo smutne wspomnienie z lat
młodocianych
Mieczysława, i stały jako czarny obraz zasłaniający mu wszelkie inne
młodociane

wspomnienia. Na pogrzeb ojca pojechał Mieczysław z babką, i pozostał już w Wiedniu aż do jej śmierci. Te pół roku pobytu u matki w dziesiątym roku życia, były najpiękniejszym klejnotem jego pamięci — niestety był to tylko blask szczęścia, przelatujący promyk zachodzącego słońca. — Obraz matki z tej epoki tkwił w jego sercu, była ona znekana, zmartwiona, nikogo u siebie nie przyjmowała, z nikim nie żyła, a jakaś niedocieczona rozpacz toczyła jej zdrowie, i kazała się szybkim krokiem przybliżać — strasznej katastrofie śmierci. — Dla czego mama taka smutna? — pytał się nieraz Miecio swej matki, zamiast odpowiedzi jednak spoczął tylko zwykle całus przywiązania na jego ustach, a łza zabłysła w czarnym pięknie jej oku. Zdrowie jej i tak wątłe, coraz bardziej nikło, i twarz jej przybierała dziwny wyraz cierpienia. W owych czasach pani Klaudja bardzo skromnie żyła, i ograniczała się we wszelkich wydatkach, dochody z dóbr w Stanisławowskim już nie nadchodziły, a któryś adwokat we Lwowie, miał sobie powierzone układanie się z wierzycielami, i wyratowanie przynajmniej jakiej resztki znacznej niegdyś fortuny. Jak przez sen przypominał sobie Mieczysław, że bardzo często zmuszona była matka sprzedawać klejnoty, aby módz zaspokoić większe swoje wydatki. Na dwa lub trzy miesiące przed śmiercią, zjawił się w jej domu, jakiś mężczyzna wysoki, z czarną brodą i okiem lśniącym bardziej jak garść najpyszniejszych brylantów. Mężczyzna ten przyjechał kareta, strzelec z białym piórem wszedł do

przedpokoju zapytać się czy pani hrabina przyjmuje. Mały Miecio
przypatrywał się
właśnie przez okno pięknym koniom i eleganckiej karecie, kiedy
matka wybiegła
z drugiego pokoju wybladła, przełęczniona, i syna wzięła konwulsyjnie
za rękę
odprowadzając go czempredziej od okna.— Wszedł służący i podał
bilet pani
Klaudji, która nie kazała gościa przyjmować, gość jednak nie zdawał
się zważać
na rozkaz kobiety, albowiem po chwilce śmiałym krokiem wszedł do
salonu. Matka
Mieczysława zadrżała, i przycisnęła syna do łona. Nastąpiła
gwałtowna wymiana
pomiędzy niemi kilku frazesów w języku włoskim, poczem
nieznajomy szybko
wyszedł, a wyraz jego był tak straszny, takie gwałtowne zdradzał
uczucia, że
dotąd jeszcze stał w pamięci Mieczysława.
— Czego ten pan chciał od mamy? — pytał się mały chłopczyzna.
— Ach! nic! nic — moje dziecię — miał do mnie interes pieniężny,
odpowiedziała
pani Klaudja, ale chłopiec widział, że temu panu bynajmniej nie
chodziło o
pieniądze.
Później powiedział Mieczysławowi służący matki, że owym
nieznajomym był książę
Colonna.
Wzruszenie spowodowane tą wizytą, coraz bardziej zdawało się
oddziaływać na
zdrowie pani Klaudji, i nie minęło kilka miesięcy, a Mieczysław
został sierotą w
całym tego słowa znaczeniu, nie miał bo-
wiem ojca, utracił matkę, a i babka, u której się wychowywał, w rok
później
umarła. Jego opiekunem pozostał stryj zamieszkały we Lwowie hrabia
Bernard
Zgodzki, skąpiec i dziwak, stetryczały stary kawaler.

Hrabia Bernard wziął w swoje ręce interesa majątkowe młodego bratanka, pomimo jednak prawdziwego pod tym względem starania, nie zdołał uratować z wielkiej niegdyś fortuny, jak tylko , zhr., a procent od tych pieniędzy miał służyć na pokrycie kosztów wychowania pupila. — Jedenastoletniego Miecia oddano na pensję, i od tego czasu nie słyszał on przyjacielskiego słowa, serdecznej rady, ale nad sobą, miał zawsze chłodne oko właściciela pensjonatu i steoretypowe jego zapytanie: „avez vous appris la leçon pour aujourd'hui?" — a około siebie kilku rozpustnych chłopaków, przemyśliwiających cały dzień nad tem, jakby módz się z pensjonatu wymknąć na kilka godzin, albo figla wypłatać panu profesorowi. W pensjonacie, do którego oddano młodego Mieczysława, była tylko młodzież bogatych rodziców, młodzież mająca jako tako spędzić czas do ośmnastego roku życia, a potem pojechać na wieś i uczyć się rozkazywać rządcom i ekonomom. Chłopcy nie chodzili do szkół publicznych, nie zdawali egzaminów, a cała ich nauka zależała na francuzkiej rozmowie, na okrucach historii wykładanych przez jakiegoś emeryta, który wiele umiał anegdotek, ale niewiele faktów prawdziwych, i na wielkiej dozie nauki religji wykładanej przez ojca jezuitę, a będącej jednym psalmem pochwalnym dla podstępного zakonu. Częstem bywa zjawiskiem, że złe wpływy daleko lepszy wywierają skutek na młodym umyśle, aniżeli by się to z porządku rzeczy dziać powinno, te złe wpływy bowiem

tak dziecku dokuczają, tak zmęczą młody niezezsuty umysł, że mimowoli umysł ten szuka pokrzepienia i z daleka ucieka od tego, co mu się nienawistnym stało.

Naturalnie nie można w tej mierze postawić pedagogicznej zasady, i taka zasada

byłaby niebezpieczną, gdyż nie każdy młodociany umysł ma tyle zastanowienia się,

tyle hartu, aby w ogóle mógł się zorientować w czynnikach działających na jego

życie, i odrzucić te, które na pozór może były przyjemniejsze, w skutkach jednak

smutną po sobie zostawiły pamięć. Sieroctwo jednak

zmusza do zastanawiania się i wcześniej młode rozwija umysły, to też nie dziw,

że Mieczysław z próżni, jaka panowała w pensjonacie, przecież jakie takie zdołał

wynieść wykształcenie, a mimo drwinek kolegów czytał wiele, już nawet dlatego,

że w książkach znajdował wierniejszych przyjaciół, aniżeli w ludziach.

Szczególne zamiłowanie miał Mieczysław do nauk ścisłych, do matematyki, chociaż

te nauki na pensjonacie najgorzej były wykładane.

Razu jednego chciał nasz młody matematyk robić doświadczenia chemiczne, szklanna

rukawa jednak z eksplodującą materią pękła, a pensjonacka sofa okryła się ogromną

plamą. Sprawa wytoczyła się przed stryja Bernarda, a że tutaj chodziło o

pokrycie kilkunastoguldenowego wydatku, więc biedny chłopak miał wiele kazań do

wysłuchania, i nakazano mu surowo, aby dał pokój chemji i fizyce.

Od tego czasu

chłopak jeszcze bardziej się przywiązał do swojej nauki, i gdzie mógł pożyczał

książki o fizyce, chemji i matematyce, i podczas gdy jego rówiennicy wieczorem

grali w karty choćby o orzechy, on przy nich rozczytywał się o prawach przyrody.

W dwudziestym roku życia wyszedł Mieczysław z pensjonatu, zaczęto mu procent od małego kapitałiku wypłacać do rąk i pozwolono mu naturalnie chodzić na uniwersytet, a że we Lwowie podówczas panowała moda chodzenia na wydział prawniczy, ten wydział bowiem miał stosunkowo najlepsze siły nauczycielskie, więc zapisał się na prawo i tylko czasem jeszcze wracał do swej fizyki i matematyki.

Dopóki Mieczysław był w pensjonacie, dopóty wobec swych kolegów i znajomych nie czuł poniżenia z powodu przykrych swych majątkowych stosunków, wszyscy chłopcy byli utrzymywani na równi, nie było więc powodu zazdrościć koledze piękniejszego surduta, albo nowego zegarka.

Na uniwersytecie jednak dawniejsi jego znajomi zaczęli rozrzutne prowadzić życie, a ztąd ile zrozumiana ambicja popychała i Mieczysława do daleko większych wydatków, aniżeli go na nie stać było. Wkrótce więc znalazły się długi, podpisy na wekslach, robione zresztą w tem przekonaniu, że gdy dojdzie do pełnoletności, to je będzie mógł wypłacić z przypadającej na niego schedy.

Wesołe koleżeńskie życie, jakaś akademicka miłośćka; wszystko to pociągało za sobą, że nasz młody uczony z pensjonatu coraz więcej nabierał ochoty do świetnego życia i trwonił swój szczupły mająteczek. Po wystąpieniu z uniwersytetu, po dojściu do pełnoletności i zapłaceniu drobnych i większych długów, pozostało całej fortuny trzy tysiące złr., przyszłości na tak małej

podstawie budować nie zdawało się Mieczysławowi podobnem, cóż więc było począć, jak sobie zabezpieczyć karierę?... „O tem pomyślimy potem,” powiedział sobie Mieczysław, a tymczasem chciał jak najlepiej spożytkować resztkę majątku i przynajmniej poznać świat... Skoro raz się zaprzęgnę do jakiejś mozolnej pracy, to nie będzie ani czasu ani możliwości myśleć o podróżach, — mówił Mieczysław, — trzeba więc korzystać z chwili i pojechać w świat... I rzeczywiście nie upłynęło kilka dni od powzięcia tej myśli, a już nasz bohater podziwiał piękności Luwru, już spędzał wieczory w wielkiej operze i całą siłą młodzieńczej fantazji ogarniał tysiące nowych przedmiotów, tysiące nowych zbierał spostrzeżeń. Szczupłe fundusze nakazywały mu jak największą oszczędność, bo wiedział, że od niej zawisło odkładanie na daleką metę powrotu do kraju. Prawie po akademicku, z małym ręcznym kuferkiem i laską z ołowianą, gałką, przejechał nasz podróżny całą południową Francję, Hiszpanję i Włochy i wrócił z resztkami swojej fortuny do kraju, a gdy dojeżdżał do Krakowa i pomyślał co będzie dalej, dreszcz przebiegł po jego ciele, bał się bowiem poniżenia, a nie ufał swoim siłom, nie nauczywszy się żadnej praktycznej pracy, nie mając wyobrażenia o tem, jak na chleb codzienny zarabiać należy. Do stryja Bernarda nie chciał się udawać, wiedział bowiem, że stary sknera za życia nic mu nie da, a zresztą choćby dał, to z

drugiej strony stało wszelkiej prośbie na przeszkodzie uczucie dumy,
nie
pozwalające się poniżyć nawet przed tak bliskim krewnym. Stryj
wprawdzie zawsze
mówił, że Mieczysławowi majątek zapisze, ale na starego dziwaka,
którego później
poznamy, niebardzo liczyć było można; w bliższych nawet i bardziej
przyjacielskich stosunkach, aniżeli z hrabią Bernardem, był
Mieczysław ze swoim
wujem panem K. to też wróciwszy z podróży udał się do
niego na wieś, częścią, ażeby wytchnąć i znów oswoić się z
krajowemi stosunkami,
częścią zaś ażeby się rozpatrzyć, co dalej począćby należało.
Pierwsza wizyta u panny Marji wypadła właśnie podczas tych wakacji
i dla tego
wspomnieliśmy, że budzące się w Mieczysławie uczucie,
niekoniecznie było w
zgodzie z rozumem, rozum bowiem doradzał jak najrychlej jąć się
pracy z całą
namiętnością i wytrwałością młodzieńca, miła zaś sąsiadka nie mogła
się
przyczyniać do urzeczywistnienia tych zamiarów.
Uczucie jednak tym razem wdarło się do serca po cichu, a rozsiadłszy
się i
rozgospodarowawszy się, kazało milczeć rozsądnym perswazjom.
Marja nie miała majątku, Mieczysław do żadnego praktycznego nie
wziął się
jeszcze zajęcia, więc choć przychodziły mu chwilami myśli, czyby się
o ciekawą
nie starać dziewczynę, to stała mu z drugiej strony przed oczyma
groza nagłej
rzeczywistości.
Ożenić się z niemą? — myślał Mieczysław, co ludzie na to powiedzą,
co poczną z
taką żoną, czy ona mnie za kilka miesięcy nie znudzi?
Mimo tej perswazji jednak nie miał si-
ły oprzeć się chęci odwiedzania Marji, i pod różnemi pozorami
przedłużał pobyt

swój u wujostwa, aby tylko mózgi robić wycieczki w sąsiedztwo. To też bawił na wsi do późnej jesieni, do czasu kiedy pani Barbara wybrała się na mieszkanie do Lwowa.

Uczucie, które z początku przybierało tylko suknie ciekawości, później rozrosło się jednak tak potężnie w sercu Mieczysława, że gdy się znów zaczął widywać z Marją we Lwowie, miał już najstalsze zamiary ożenienia się z nią, tembardziej, że najzupełniejszą w niej posiadał wzajemność.

Obawy, które miał z początku poznawszy niemą dziewczynę, że ona nie zdoła może na długo zainteresować jego fantazję, i że nie potrafi na zawsze uwięzić jego serce, zupełnie się płonnemi okazały. Marja rozwijała niepospolite zasoby wdzięku, rozumu, fantazji, dowcipu, i tak zdołała osidlić go swym czarującym spokojem, że mu się nieraz zdawało, iż ma przed sobą jakąś nadziemską istotę, istotę ludzką wprawdzie pokrytą ciałem, ale imponującą swem niebiańskim milczeniem i swą niebiańską słodyczą.

Marja była wieczną zagadką wzbudzającą ciekawość i podniecającą całą inteligencję człowieka do jej rozwiązania, patrząc się na Marję bowiem, miało się to przekonanie, że każdy frazes tej zagadki, każda myśl, w niej zawarta, szczególnym jakimś jest otoczona urokiem, i szczególne robi wrażenie. Jeżeli Marja była w towarzystwie wraz z innymi rówieśnikami, oczy się jedynie na nią zwracały, uwaga całego towarzystwa była wyteżona na jej odpowiedzi, pisane w krótkich treściwych frazesach.

Marja

górowała pięknnością nad wszystkie swoje towarzyszki, w dowcipie
żadna jej
zrównać nie zdołała, a przytem miała tyle sposobów ujęcia, swoją
uprzej mością,
grzecznością, że najzłośliwsze nawet panie siedzące na kanapie w
głębi salonu,
najlepiej się o niej zawsze wyrażały. W ruchach, w formach, w
obejściu miała
tyle wdzięku, że każda chwila schwycona z jej wystąpienia w
towarzystwie, mogła
była służyć za studjum dla takiego Lessinga albo Winkelmana.
Patrząc się na nią, studjując ją stawał się Mieczysław lepszym,
bardziej serjo
patrzył się na świat, praca go więcej cie szyła, słowem czuł każdej
chwili jak
dobroczynny wpływ ta kobieta na niego wywiera, ile jej ma do
zawdzięczenia.
Wracając do kraju był Mieczysław trochę rozpróżnionym, nie
byłby może znalazł
tyle energii do pracy, gdyby nie był poznał istoty, zmieniającej mu
pracę w
przyjemność, ofiarującej mu siebie za nagrodę tej pracy. Marja
zdawała się
Mieczysławowi jakąś tajemniczą księgą, w której wiecznie można
było czytać, a
nigdy nie wyczerpało się obszernej treści, którą wiecznie można było
studjować,
a zawsze odbywało się w niej coś nowego, jakiś nowy urok, jakieś
nowe nieznane
światło. A wszystko w niej było tak różnem od tego, co się u
zwykłych spotyka
kobiet, że sama ta różnica stawiała ją po nad poziomem towarzystwa,
i kazała jej
stapać na pewnym koturnie uwydatniającym jej wdzięki i zalety.
Stosunek swój z Marją trzymał Mieczysław w wielkiej tajemnicy i
chciał przed
światem wystąpić dopiero z faktem dokonany, z zaręczynowym
pierścionkiem. Aby

do tego dojść celu, musiał jeszcze doczekać się w banku podwyższenia pensji. Mieczysław zachowywał tajemnicę o tej uciechu, obawiając się, że jego rodzina będzie z pewnością podnosić różnorodne zarzuty, tembardziej, że Marja jest niema, i że nie ma majątku. Wuj układał dla niego wcale świetny partję, której także i stryj Bernard sobie życzył, trzeba było więc czekać spokojnie, i nie pozwalać rozwielmożnić się intrydze i zabiegom.

Stryj Bernard był człowiekiem z wielką rodową ambicją i pod tym tylko warunkiem postanowił zapisać synowcowi znaczny swój majątek, jeżeli tenże zadosyć uczyni jego marzeniom i wyobrażeniom zaspokajającym rodową dumę. Poznajmy jednak hrabiego Bernarda.

VI.

W piękny dzień letni około południa chodził we Lwowie ulicą Jezuicką, jakiś dziwaczny stary mężczyzna i spoglądał co chwilę w przeciwległe okna na pierwszym piętrze, zastawione najpiękniejszymi kwiatami. Chodził on i wracał się, formalnie jak gdyby kogoś w oknach chciał ujrzeć, lub jak gdyby czekał na kogoś z wielkiem upragnieniem. Oryginalna to była postać i znana w całym Lwowie. Hrabia Bernard, bo on to czekał na trotuarze, był dobrego wzrostu i średniej tuszy. Pod wysokim, białym pomietym kapeluszem widać było płaską, różnemi centkami, brodawkami i zmarszczkami ugarniowaną twarz, z której naprzód wystawał nos, obciążony siatką czerwonych żyłek, pozwiązywanych jak gdyby na węzélki dwiema brodawkami,

ulożowanemi dla proporcji po obudwu
stronach nosa. Rude do linji ust sięgające faworyty i takiegoż koloru
wypłowiałe
brwi, sterczące jak gdyby u rysia, pocześci mogły tylko zakryć
różnorodne fałdy
i zmięcia, tak liczne na twarzy hrabiego, jak na chlebie wsadzonym do
nadto
gorącego pieca.
Hrabia ubrany był w brązowy frak z długimi szosami, a krótkim
stanem. Z pod
zapiętego a ciasnego fraka kipiała zielona aksamitna kamizelka, nie
mogąc
znaleźć sobie pod nim dostatecznego miejsca, i wspinała się tworząc
rodzaj
poddasza nad dolną częścią ubrania, będąca jakiegoś niepewnego
dzikiego koloru i
zrobiona jak gdyby na wyrost.
Hrabia miał nieszczęśliwy sposób chodzenia, a patrząc się na niego,
zdawało się,
że głowa chodzi osobno, że ręce się spieszą, nogi im nastarczyć nie
mogą, a cały
korpus opiera się i chciałby wtyle pozostać. Ręce więc ciągle się
nateżały i
robiły takie ruchy jak do pływania, głowa jak pendel u wielkiego
zegara
poruszała się jednostajnie od prawego do lewego ramienia, a nogi
powłóczyły się
po bruku, jak gdyby w każdym obcasie było kilka funtów ołowiu.
W ten więc sposób chodził hrabia tro-
tuarem i co chwilę posyłał sentymentalne czułe spojrzenie do okien
pierwszego
piętra, spojrzenie podobne do wzroku rozromansowanego kota,
spacerującego w
letnią noc po dziurawym dachu.
Kto tylko ulicą przechodził, zatrzymywał się, aby oglądnąć się za
oryginałem, i
rzucić mu szyderczy uśmiech; pomiędzy innymi przechodził także
tym samym

trotuarem znany nam Kasperek, a gdy się zbliżał ku hrabiemu, nadał się jak paw,
na bakier założył kapelusz, i taką dumną, lekceważącą zrobił minę, że zdawał się
wyższym o dwa cale.

— Bon jour monsieur le comte — odezwał się Kasperek i z gracją nauczyciela
tańców skłonił się hrabiemu Bernardowi, posyłając mu przytem pogardliwe
spojrzenie.

Kasperek poszedł dalej, hrabia chodził tam i napowrót, jak żołnierz przed
prochownią.

Wtem jakaś kobieta ukazała się w oknie pomiędzy kwiatami, urwała różę i znikła w
głębi pokoju. Hrabia Bernard chciał się prędko uklonić, niestety jednak ręka

właśnie wędrowała gdzieś poza plecami, i zanim zdołała dobiegnąć do kapelusza,

już pięknej kobiety nie było, a ukłon

wziął do siebie jakiś przechodzący urzędnik z magistratu, który się w tej chwili

odkłonił, dziwiąc się, z kąd do tego zaszczytu przychodzi, że hrabia Bernard mu
się kłania.

— Głupiec — pomyślał hrabia — sądzi, że się jemu kłaniam — i odwrócił się,
odchodząc z pod okien.

— Czy ta kobieta mnie nigdy kochać nie będzie? — powtarzał sobie hrabia,

ruszając głową od prawego do lewego boku — myślałem, że przecież moja

wytrwałość, moje poświęcenie potrafi wzruszyć twarde jej serce; tymczasem

dzisiaj zaledwie ukazała się w oknie, a już odeszła, nie czekając nawet na mój

ukłon... nie przyjmując moich hołdów. Może mnie jednak nie widziała, bo przecież

wczoraj o tej samej godzinie mi się odkloniła.... może przecież
potrafię dopiąć
celu, tylko wytrwałości!... stałość kobietom się podoba , jutro trzeba
być tutaj
o tym samym czasie.

Tak sobie dumiał hrabia Bernard i szedł ku teatrowi, gdzie na trzecim
piętrze
miał swoje mieszkanie. Wschody do gmachu teatralnego tak są
ciemne, że w
zupełnie jasny dzień trzeba się tam trzymać poręcz, hrabia też
pomimo że znał
to wejście od lat wielu, przecież chwycił za poręcz i podnosił jedną
nogę po
drugiej na wschody z niemałym wysileniem i pracą. Na ostatnim już
wschodzie
pierwszego piętra potknął się hrabia i upadł, a kapelusz odskoczył o
kilka
kroków.

— Bon jour monsieur le comte, pardon — odezwał się Kasperek,
który siedząc na
ciemnych wschodach, zdaje się że naumyślnie hrabiemu nogę
podstawił.

— Bodaj cię... — mruczał hrabia Bernard, zbierając ręce, nogi i
kapelusz.

— Pardon, pardon, panie hrabio.

— Na drugi raz powiem zarządcy domu, żeby ci po wschodach siadać
nie pozwolił —
mówił z gniewem hrabia.

— Proszę się nieirytować, panie hrabio — odpowiedział najspokojniej
Kasperek —

niech pan hrabia tak dużo nie myśli o pani Cezarynie, to się nie będzie
na
wschodach potykał.

— Milcz... bo... — krzyknął hrabia i machnął ręką w ciemności.

Kasperek się
jednak usunął, a ręka spadła na poręcz, i zdaje się popamiętała ten
zamach, bo
hrabia syknął tylko z bólu i czempędzej poszedł dalej.

— Śmiałek! stary gawron! — mruczał Kasperek po odejściu hrabiego
— myśmy
tutaj dawniejsi, aniżeli on... jemu do Cezaryny, do tego bóstwa, jak
powiada
Mefista w Twardowskim na Krzemionkach. Wtem ktoś przechodził z
kasyna, będącego
na tem samem piętrze.
— Bon jour monsieur — odezwał się zaraz Kasperek — prosiłbym o
papierosika, o
cygarko, bo dalibóg w mieście nie dostanie nic dobrego.
Przechodzący się uśmiechnął, podał cygaro Kasperkowi.
— Dziękuję, dziękuję... bonjour — odpowiedział z podziękowaniem
mieszkaniec
teatralnych wschodów.
Hrabia tymczasem windował się na trzecie piętro, odpoczywając co
pięć wschodów,
i po długiej wędrówce stanął dopiero przed brudnymi drzwiami swego
mieszkania.
Zajmował on duży pokój z przedpokojem, gdzie się mieścił służący.
Gdy hrabia
wszedł do przedpokoju, wysoki służący wyprostował się jak struna,
służący
podobny raczej do automatu, aniżeli do człowieka, chudy, zaschnięty,
wygłodzony
zapewne z oszczędności tak jak jego pan.
Drzwi do pokoju były zamknięte przynajmniej w ten sposób, jak
piwnice paryzkiego
albo londyńskiego banku.
W środku był zwykły zamek z angielskim kluczem łamiącym się na
pół i
pozostającym w zamku, o kilkanaście cali wisiała wertbeimowska
kłódka, a u dołu
ogromna staroświecka gdańska kłódka z dziwaczными kształtami, do
której hrabia
Bernard szczególne miał zaufanie.
Poodmykawszy wszystkie te zamki, wszedł hrabia do swego pokoju i
natychmiast

zasunął zasówkę. Był to ciekawy pokój — podobniejszy do składu mebli lub tandety, aniżeli do ludzkiego mieszkania. Przedewszystkiem uderzała ogromna ilość luster, łóżko od ściany obstawione było lustrami, lustra wisiały przy drzwiach, a prócz tego można było widzieć za piecem stojących na ziemi kilkanaście zwierciadeł. Na środku w nieładzie umieszczone były stoły, stoliki, fotele, kanapy, do różnorodnych należące garniturów, pomiędzy tem wszystkim wcale ładne antyki. Hrabiego szacowano na dwakroćstotysięcy guldenów, a ponieważ obawiał się zostawiać papiery w pokoju, bankom zaś niedowierzał, więc najczęściej nosił cały majątek przy sobie, do czego miał już zrobione dwie duże łosiowe torby, w ten sposób tasiemkami ze sobą złączone, że jedna wisiała na piersiach a druga na plecach. Bojąc się aby go służący nie zamordował, zapisał mu sto talarów dożywocia; dożywocie jednak nie było zawisłem jak zwykle od życia służącego, ale od życia hrabiego. Ze śmiercią hrabiego ustawała wypłata tala rów służącemu. W ten sposób chciał się hrabia zaasekurować przed człowiekiem, który stał najbliżej niego. Znacznej swej fortuny dorobił się hrabia pożyczaniem na procenta i szczęśliwymi spekulacjami na giełdzie, przedsiębranemi wszakże z nadzwyczajną ostrożnością i nie wielkimi naraz kwotami; rozumie się, że skapstwo dodawało także nie mały procent do istniejących już kapitałów.

Prócz namiętnej miłości do obligacji i innych papierów publicznych
czuł hrabia
nieprzewycięzoną sympatję do pani Cezaryny, i jak dwudziestoletni
adonis
chodził pod jej okna, wzdychał i posyłał na pierwsze piętro czułe
spojrzenia.
Czasami dostępował hrabia tego szczęścia, że bywał nawet w jej
domu, a ona
naturalnie żartowała sobie ze starego oryginała.
Pewnem jednak było, że jeżeli hrabia Bernard nie myślał o
procentach, to z
pewnością, myśli jego były na Jezuickiej ulicy. Przytem trudnił się
układaniem
pasjansa, który nawet bardzo ważną w jego życiu odgrywał rolę.
Rzecz się miewała
w następujący sposób: p. Bernard nadzwyczaj lubił słodką herbatę, a
że cukier z
jego stanowiska należał do artykułów zbytkownych, więc najczęściej
obchodził się
bez niego i zadowalał się gorzką herbatą. Później jednak chciał
losom
pozostawić rozstrzygnięcie czy wolno mu użyć cukru czy nie — więc
gdy wieczorem
służący podawał mu ulubiany trunek, hrabia ciągnął pasjansa, i jeżeli
pasjans
wyszedł, to wtedy wkładał do herbaty kawałek cukru, jeżeli nie,
wtedy skazywał
się na umartwienie i pijał gorzką herbatę.
O kursach giełdowych dowiadywał się hrabia Bernard od urzędnika
banku, którego
nudził codziennymi odwiedzinami; gazet jednak nie czytał w ten
sposób jak zwykli
śmiertelnicy, albowiem toby za drogo kosztowało, ale z końcem roku
posyłał do
redakcji jednego z lwowskich dzienników i kupował gazetę za rok
ubiegły jako
papier — na funty; w ten sposób prenumerata wypadała mu zaledwie
na trzydzieści

do czterdziestu cen-
tów rocznie, podczas gdy inni abonenci musieli płacić kilkanaście
guldenów. Ba!
hrabia Bernard nie zmarnował nawet w ten sposób zakupionych gazet,
ale
odprzedawał je przekupkom na Krakowskiem do zawijania masła, z
wielkim często
zyskiem.
System ten czytania gazet uważał hrabia nawet za nadzwyczaj
korzystny pod innym
względem, sądził bowiem, że czytając gazety od razu, z większego
perjodu czasu
ma daleko lepsze wyobrażenie o wypadkach i daleko trzeźwiej i
jaśniej się na nie
zapatruje.
Hrabia tego dnia do wieczora już w domu pozostał, przeliczał papiery,
kombinował
procenta, a gdy zmrok zapadł i służący miał herbatę przynosić, wyjął
srebrną
cukiernicę z komody, postawił ją na stole, wziął dwa kawałki cukru,
położył
przed siebie i zaczął ciągnąć pasjansa. Niestety pasjans nie wyszedł,
cukier
miał napowrót wędrować do cukiernicy, żał się jednak zrobiło
staremu, że będzie
musiał pić gorzką herbatę, więc jeszcze inną urządził próbę, w inny
jeszcze
sposób chciał się zapytać opatrności, czy ma być dzisiaj
wstrzemięźliwym czy
nie?
— Niech mucha rozstrzyga czy mam pić herbatę z cukrem —
powiedział sobie pan
Bernard — jeżeli mucha siedzie w przeciągu minuty na kawałku
cukru, to będę pił
słodką herbatę!
Nastąpiło milczenie; dwa kawałki cukru leżały na stole, hrabia
spoglądał na

zegarek, mucha brzęczała po pokoju, i już to zbliżała się, już to odlatywała od stołu. Krew mu gorącej bić zaczynała, gdy mucha krążyła nad kawałkiem cukru, już sekund , , — cukier będzie uratowany i wróci do cukiernicy, niestety w pięćdziesiątej siódmej sekundzie mucha na cukrze usiadła — a hrabia pił dzisiaj słodką herbatę.

Hrabia miał jednak swoje poważniejsze chwile. Gdy zaczął się rozczytywać w dziejach swojej rodziny i zastanawiać się nad cnotami swoich antenatów, wtedy bolał nad upadkiem nazwiska które nosił, nad zubożeniem członków świetnego niegdyś herbu, a to zastanawianie się pobudzało go do nowych spekulacji, do większych jeszcze oszczędności, wiedział bowiem, że pieniądze stanowią podstawę wszelkiej potęgi. Wtedy przychodził mu na myśl Mieczysław, że on powinien uświetnić znowu nazwisko. Były nawet chwile gdzie stary myślał sobie, aby chłopca wyposażyć, kupić mu wieś, pomódz mu do dobrego ożenienia, ale gdy przyszło do wydobycia pieniędzy, nasuwało się straszne dla p. Bernarda przypuszczenie, że chłopak może pieniądze stracić, a owoc pracy całego życia pójdzie marnie.

Pan Bernard zastanawiał się całymi nocami nad tem, w jakiby sposób urządzić zapis, aby Mieczysław nie mógł stracić po jego śmierci majątku, podawał już nawet kilkakrotnie do rządu o pozwolę nie założenia fideikomisu albo ordynacji, ale dostawał zawsze odmowną odpowiedź, rząd bowiem nie uważał jego majątku za dostateczny do tego rodzaju fundacji.

„Mieczysław musi się bogato ożenić!" to było hasło p. Bernarda, i tego hasła i nie przestawał mu nigdy powtarzać.

Właśnie co hrabia wkładał dwa historyczne kawałki cukru do filiżanki herbaty,

gdy ktoś zapukał do drzwi i zapytał się za drzwiami: „czy wolno ? — To ty Mieczysławie? — pytał się p. Bernard przysłuchując się dobrze, aby przypadkowo w głosie się nie pomylił.

— Ja proszę stryja — odezwał się głos za drzwiami.

Pan Bernard odsunął zasówkę i podał rękę Mieczysławowi.

— Prosiłbym cię na herbatę — mówił pan Bernard — ale ty zapewne już jesteś po herbacie, bo zwykle wcześniej pijesz.

— Tak, tak, ja już po herbacie — odpowiedział Mieczysław, chociaż tak nie było.

W każdym razie jednak herbata u stryja nie była zbyt przyjemną.

— Dawnoś u mnie nie był! jak tam stoją Lombardy?

— Idę w górę...

— W górę powiadasz!.. — a oko starego skąpca zielonym zaświeciło ogniem i umysł zaczął już rachować możebne zyski.

— No, cóż tam Mieczysławie, — mówił hr. Bernard po chwili, — nie upatrzyłeś sobie jeszcze jakiej panny... korzystaj z lat, bo później będzie trudniej tylko bogato, tylko bogato! pieniądz wszystkim na świecie!..

— Stryj sądzi, że pieniądze wszystkim, że pieniądze dadzą szczęście; mnie się zdaje, że to nie jest niezłomna zasada!..

— Ot, młody mój jesteś Mieczysławie... za kilka lat będziesz inaczej mówił, i daj

Boże, żebyś zmienił swoje przekonanie, albowiem tylko pod takim warunkiem i nadal możemy być w zgodzie...

Mieczysław widocznie był niezadowolony z toru, na jaki weszła rozmowa i starał

się jak najprędzej zerwać niemiły dla niego temat, zniechęcony był już jednak

uwagami stryja i po chwili nawet wybrał się z wizyty, przepraszając hr.

Bernarda, że oczekuje kogoś jeszcze u siebie, a przeto dłużej mu służyć nie może.

Pan Bernard do drzwi Mieczysława odprowadził, a potem zarygłował wejście i

zabierał się do spania. A była to nie tak zwyczajna operacja, jak się innym

śmiertelnikom zdawać może. Lustra stojące za piecem i masa różnorodnych mebli na

to służyła, aby na każdą noc zrobić w pokoju inny labirynt, w ten sposób, że

ktoby chciał w nocy przystąpić do łóżka Bernarda, musiałby poprzewracać pełno

zwierciadeł, szklanek, kloszów i innych sprzętów, któreby się tłuc po drodze

musiały, a tem samem zbudziłyby ze snu właściciela pieniędzy i ostrzegłyby go o

zbliżającym się niebezpieczeństwie. W ten sposób nasz skąpiec każdego dnia

inaczej ustawiał swe lustra, i pierwiej nie

W spokojny, dopóki dójść do jego łóżka pociemku było niepodobieństwem, bez

zbudzenia go i całego jego sąsiedztwa.

O czym nasz pan Bernard tej nocy marzył, nie wiemy, zapewne jednak myśli

przeskakiwały z Lombardów na lichewkę, a czasem może zatrzymywały się na oczach

niedobrej Cezaryny, która nie chciała być niestety — wzajemna!..

VII.

I rzeczywiście pani Cezaryna nie była wzajemną, jej myśli, marzenia i ambicje

inną, wybrały sobie drogę. Poznajmy ją, jednak bliżej, wejdźmy do jej mieszkania.

W znanej nam już kamienicy na jezuickiej ulicy we Lwowie, mieszkał adwokat dr.

Rafał Kurylski, któremu żona więcej aniżeli jego klientela robiła rozgłosu, tak

dalece, że pan Rafał właściwie nie istniał dla lwowskiej publiczności, ale tylko

jego pani: Cezaryna z Bulskich Kurylska, pierwszorzędną lwica pewnych kół i

kółek towarzyskich. Pani Cezaryna dawała bale, wieczory, recepcje, jej się

zostawiało bilet wizytowy, o mężu mowy nie było, on nie istniał dla otaczającego

go eleganckiego świata.

Na dole przy bramie można było czytać napis na żelaznej tabliczce:

„Dr. Rafał

Kurylski adwokat krajowy na pierw-

szem piętrze”, napis jednak tak był zaproszony i nieczytelny, że prawdopodobnie

pochodził jeszcze z kawalerskich czasów pana mecenasa i nie miał już nawet

pretensji wskazywać drogę do adwokackiej kancelarii.

Pierwsze drzwi przy wschodach były białe i świeżo polakierowane i prowadziły do

apartamentów pani Cezaryny; drzwi na lewo, zabrukane i noszące na sobie napis:

„kancelarja,” wskazywały drogę do pana Rafała. Przeszedłszy tam przez rodzaj

przedpokoju, wchodziło się do owej kancelarii.

Okolo szóstej godziny wieczorem, siedział tam pan Rafał w ogromnym fotelu z

zielonej skóry i trzymał na kolanach pięcioletnią może córeczkę, synek trochę

starszy, ustawiał żołnierzy na ojcowskim biurku.

Pan Rafał mógł mieć około czterdziestu lat, ale na dużo więcej wyglądał — włosy

miał jeszcze bujne, gęste, ale dobrze szpakowate, a czuba stawał wysoko. Oko

rzucało dużo ognia, wąsy w nieładzie spadały na usta, a nos i twarz były mocno poczerwieniałe w ten sposób, jak to bywa u człowieka, co kieliszkiem nie gardzi.

Pan Rafał miał bardzo łagodny wyraz twarzy, a pewien smutek przebijał się w oczach i świadczył, że swobodnej myśli oddawna tam nie było. W jego ubiorze i w umeblowaniu pokoju znać było pewne zaniedbanie, a i dzieci nie wyglądały tak starannie ubrane, jakby się tego spodziewać można po dzieciach eleganckiej pani Cezaryny.

Łóżko z wytartym dywanikiem od ściany, szafa z utraconą nogą, ze dwa stoły przyprószonemi założone papierami, kanapa, z której włosie nie w jednym miejscu wyglądały, pulpit ze śladem zielonego sukna, stopy z pourywanymi sznurkami, stanowiły całe umeblowanie pokoju pana Rafała i świadczyły, że o tym pokoju nikt nigdy nie myśli.

Mała Marynia bawiła się wąsami ojca.

— Proszę papy — mówiła mała — dlaczego papa ma siwe wąsy, a pan Ignacy całkiem czarne?

Ojciec brwi zmarszczył, jak gdyby go coś niemile dotknęło, a myśląc widocznie o czym innym, odpowiedział machinalnie Maryni, iż dlatego, bo pan Ignacy młodszy.

— Czy pan Ignacy jest teraz u mamy? — zapytał z niesmakiem pan Rafał.

— Jest już z godzinę — odpowiedział

Józio — on zwykle około szóstej przychodzi. A czemu on, proszę papy, tak często przychodzi?

— Bo kawaler i nudzi mu się wieczorem — odpowiedział czempredzej pan Rafał,

wstał z krzesła i zaczął wielkimi krokami chodzić po pokoju.
Na bocznym stoliku, zakryta papierami stała butelka wina; snadź
zawsze tam
stała, bo nasz mecenas skierował ku niej swoje kroki, nalał dobre pół
szklanki i
duszką prawie wychylił.
— Proszę papy — znów pytał ciekawy chłopak — czemu papa tak
dużo wina pije?
Po twarzy pana Rafała przeleciał bolesny, ironiczny uśmiech, a ręka
przetarła
czoło, jak gdyby chciała z tamtąd wydrzeć rozsądną, odpowiedź na
zaspokojenie
naiwnego dziecka.
— Na lekarstwo! to mi do zdrowia potrzebne! — szybko odrzekł
zarumieniony
ojciec.
— A kiedy przecież doktor kiedyś papie wina pić zakazywał, mówił,
że to papie
szkodzi.
— To inny doktor — z niechęcią odrzekł ojciec — idźcie moje dzieci,
bo mam teraz
coś do pisania.
Chłopiec podejrzliwie się na ojca popatrzył, poskładał papierowych
żołnierzy do
pudełka. Marynia lalkę podniosła z ziemi i dzieci wyszły na drugą
stronę przez
kancelaryję.
Józio z niechęcią szedł na drugą stronę, nie lubił pana Ignacego,
pomimo, że
miał od niego pełno najróżnorodniejszych zabawek.
Józio wbiegł do małego saloniku matki przytykającego do dużego
obecnie
zamkniętego salonu. Pani Cezaryna siedziała wciśnięta w róg kanapy,
a obok niej
rozparł się w głębokim fotelu znany nam p. Ignacy Kręcikiewicz.
— Czemu Józio wchodzi bez pozwolenia? pytała się surowo matka —
czy lekcji na
jutro się już nauczyłeś?

— Nauczyłem — odpowiedział chłopczyna, zwiesił głowę, zakręcił się jeszcze po pokoju, i wyszedł.
Kochanek nie jest nigdy tak zazdrosny o kochankę, jak dziecko o swoją matkę, a jeżeli tylko spostrzeże, że pomiędzy nią a obcym mężczyzną zachodzi jakiś stosunek, to stosunek ten wyradza w niem jak najboleśniej sze wrażenia. Dziecko widzi, że miłość będącą tylko jego własnością, wykrada mu kto inny, i że śmie mu wydzierać najdroższy skarb życia. Ładne mamy, będące czasami w tem położeniu co pani Cezaryna, chętnie powtarzają o swym synku lub córce: „on tego nie rozumie”, „ona o niczem nie wie”, ale pod tym względem bardzo się mylą, mały chłopczyna wiele rzeczy może nie pojmować, ale to rozumie wybornie, że jego matka, krzywdzi go, gdy ją z obcym mężczyzną ściśle wiążą stosunki, i że raz przyszedłszy do tego przekonania, na zawsze do niej żal w swem sercu nosi. Żal zaś co się zagnieździ w młodem serduszk, nie minie tak prędko, jak jakaś uraza, której doznał dorosły człowiek, żal ten wypali czarną plamę w umyśle dziecka, a plamy tej najjaśniejsze promienie słońca później wybielić nie potrafią. Biedny Józio wyszedł z saloniku matki, ale łzy stanęły mu w oczach, pan sędzia miał bowiem u matki więcej łask, aniżeli on....
Gdybym był papą, tobytm tego pana Ignacego nigdy przyjąć nie pozwolił, myślał sobie chłopczyna i dumał nad tem, dlaczego mama woli z obcym rozmawiać, aniżeli dziecko własna trzymać na kolanach; wkrótce jednak przyszły myśli o

drzewku na Boże Narodzenie, o kucyku na wsi, i rozegnały łzy z oczu i smutne
wrażenia.

Pani Cezaryna pozostała w salonie. Była to bardzo piękna kobieta, a mogła mieć
około lat trzydziestu: wysoka, ciemna szatyna, nadzwyczaj biała o ciemnych
oczach i szeroko zarysowanym łuku brwi. Dobrej tuszy ale nie otyła, mogła służyć
za model regularnych kształtów. Jej wadą był uśmiech cokolwiek sztywny i surowy,
jak gdyby nie pochodził z serca, i głos monotonny, nie mający przyjemnego
dźwięku.

Pan Ignacy poznał panią Cezarynę przed dwoma laty na balu, a zachecony przez
nią, bywał częściej w jej domu, prawie codziennie, a świat złośliwy utrzymywał
może i nie bez przyczyny, że go z nią łączyły jak najściślejsze stosunki. Jakim
sposobem pani Cezaryna w nim sobie upodobała, tego doprawdy trudno było sobie
wytłumaczyć, i trzeba by to było położyć na karb jakiego kobiecego kaprysu, albo
jak my sądzimy, na karb tego, że pani Cezaryna nie zadawalniała się podbijaniem
jednego serca, i że pomiędzy innymi egzemplarzami i tego rodzaju okaz był jej
potrzebnym w gabinecie różnorodnych serc zdobytych, i różnorodnych fizjonomji.

W owym czasie, o którym piszemy, pani Cezaryna należała do najpiękniej szych
kobiet we Lwowie, a gdziekolwiek się pojawiła: na wałach, w teatrze, czy w
jezuickim ogrodzie, wszędzie zwracała na siebie uwagę i sציagała szerokie koło
adoratorów. Na publicznych miejscach chętnie się jednak otaczała młodzieżą

elegancką, światową i tam pana sędziego koło niej nigdy spostrzedz
nie było
można. Panu sędziemu wolno tylko było przychodzić do domu w
pewnych godzinach, a
na bale i zabawy nie zawsze do pani mecenasowej otrzymywał
zaproszenia. Z loży w
teatrze także pan Ignacy był wykluczony, tam mogli składać hołdy
pięknej
kobiecie tylko ludzie dobrze urodzeni, albo w ogóle mający pewne
towarzyskie
przywileje, o które zresztą w małym Lwowie nie było tak trudno. Pani
Cezaryna
nadzwyczaj dbała o decorum i chociaż świat nie jedno o niej mówił,
chociaż nie
jeden grzech miał jej do zarzucenia, przecież nie można było nigdy
nic więcej o
niej powiedzieć, jak tylko, że „mówią.”
Elegancka młodzież nie mogła sobie
wytlómaczyć, jakim się to działo sposobem, że nikt z niej u pani
Cezaryny
stanowczego nie odniósł zwycięstwa. „Czyżby taki Kręcikiewicz miał
być lepszym
odemnie?” — powtarzał niejeden młodzieniec wielkiego świata i
tembardziej
powziął postanowienie, aby się wkraść w jej łaski. Na pozór zdawało
się to być
bardzo łatwym, nic mniej nie kosztowało, jak otrzymać uśmiech pani
Cezaryny,
albo znaczące nawet spojrzenie, gdy się jednak już zdawało, że się jest
u celu,
że potrzeba tylko uklęknąć i wyznać miłość gorącą, aby być
wynagrodzonym
najzupełniejszą wzajemnością, twarz dziwnej kobiety się zmieniała,
kokieterja
znikła, a miejsce jej zastąpił wyraz pe wnej udawanej przynajmniej
kobiecej su
rowości, ostudzający w jednej chwili zapały porywczego amanta.
Cezaryna

przybierała w szerszym towarzystwie mężkiem tak szybko
zmieniający się wyraz
twarzy, jak blask zmieniającej się jedwabnej materji. Zaledwie ci się
zdawało,
że tam był promień i jasność jak na zgięciu ciężkiego jedwabiu, a już
na tem
sarnim miejscu i w tej samej prawie chwili mogłeś spostrzedz gruby
cień i brak
wszelkiego połysku.
Dzięki tej nieokreślonej opinji, pani Cezaryna bywała przyjmowaną w
świecie,
nikt bowiem przeciw niej śmiało nie mógł żadnego podnieść zarzutu,
żadna z
kobiet nie śmiała nie oddać wizyty pięknej adwokatowej, albowiem
widocznej do
tego nie było przyczyny.
Ztąd też się działo, że pani Cezaryna bywała w całym tak zwanym
„drugim” kółku
towarzyskiem we Lwowie, a od czasu do czasu wymieniała sobie
także wizytę z
panią Barbary Kolečką. W tem samym towarzystwie poznała była
pani Cezaryna
hrabiego Mieczysława Zgodzkiego, który na nią z razu nie wiele
zdawał się
zwracać uwagi. Ten rodzaj lekceważenia jej ze strony młodego
mężczyzny, niemile
dotknął dumę pięknej kobiety; chciała go ona za to upokorzyć, chciała
mu dać
poznać potęgę swych wdzięków. Więc też na Mieczysława szczególną
zwróciła uwagę
i gdziekolwiek go spotkała, starała się go olśnić swoim dowcipem,
swoją urodą i
módz go jak najprędzej policzyć pomiędzy swoich niewolników. Lecz
Mieczysław,
jak wiemy, nie był skorym hołdować wyzywającej go kobiecie, on
wtedy odgadywał
myśli swej Marji, on o niej
śnił, o niej marzył, a w jego sercu i fantazji nie było miejsca na lwicę

Iwowskiego świata.

Cezaryna wkrótce spostrzegła, gdzie leży przyczyna, że Mieczysław stanowi

wyjątek od innej młodzieży i nie składa ofiar na ołtarzu jej próżności.

Przyczyna ta naturalnie ją ubodła, tembardziej, że nie spodziewała się, aby

niema panienka zdołała z nią rywalizować, co więcej, bruździć jej na drodze

tryumfów i zwycięstw.

— Może dłuższego to będzie wymagało czasu — myślała Cezaryna

— ale przecież

ostatecznie Marją pobić muszę, muszę nad nią, odnieść zwycięstwo

— i z dumą szła

naprzód. Mieczysław jednak nie zdawał się nawet zwracać uwagi na

Cezarynę, a tem

samem pobudzał ją do tem zaciętszego boju.

Ten nadspodziewany opór, a co więcej, obojętność ze strony hrabiego, w taki

gniew wprowadzały Cezarynę, że czasami już nawet nie była panią, siebie i co jej

się prawie nigdy nie zdarzało, zdradzała przed ludźmi pewną słabość do

Mieczysława.

Bujna fantazja snuła Cezarynie najpiękniejsze obrazy o Mieczysławie, a były

nawet chwile, że zimnej kobiecie zdawało się, że rzeczywiście coś ją ku niemu

pociąga, że w nim trochę jest zakochaną, to się jednak tylko zdawało naszej

bohaterce, miłości bowiem ona już nie znała, a trochę serca, które może ongi

istniało, oddawna znikło z pięknego łona i została tylko kobieca duma i

próżność, a gorączkowa fantazja zastępowała w niej niekiedy pozory uczucia, ale

tylko pozory, gdyż prawdziwego uczucia zastąpić nie zdołała.

Fantazja przedstawiała jej długie szeregi adoratorów, malowała jej pochody

tryumfalne, w których ona, jak starożytna bogini, ciągniona była w rydwanie

zaprzeżonym łabędziami i przejeżdżała pod łukami z róż i lilji, a wszystkie oczy

ku niej były zwrócone i wszystkie westchnienia ku niej wzlatywały.

— Jak wódz

naczelny marzy o wawrzynach, o świetnych pochodach, tak Cezaryna śniła o sławie

pięknej kobiety, której się nic oprzeć nie zdoła, prawdziwego jednak uczucia nie

znała, nie miała go znać potrzeby, bo była zimna jak gład, a piękność jej

pokryta była kryształami lodu, jak szklany puhan na kilkunastostopniowym

mrozie.

Człowiek serca, człowiek uczucia, jakim był Mieczysław, musiał z pierwszego

wejrzenia spostrzedz na Cezarynie te lodowate kryształy, musiał uczuć ten zimny

prąd, który wiał od niej z daleka, to też nie dziw, że jej piękność zająć go

bynajmniej nie mogła, bo on szukał serca, bo jego tylko szlachetne ciepło ku

sobie pociągnąć mogło.

Po odejściu małego Józia, synka pani Cezaryny z salonu w którymś ją zostawili

z panem Ignacym, na chwilę tam zapanowała cisza. Piękna kobieta wciśnięta w róg

kanapy patrzyła nieruchomie przed siebie, a pewna apatja rozlana była na całej

jej postaci.

Pan sędzia utkwiał w niej wzrok głęboko i śledził jej myśli, tym wzrokiem ślepego

przywiązania, którym się patrzy wyżej czeski na swego pana, gdy oprze mordę na

jego kolanach.

— Czemu pani tak zamysłona? — pytał po chwili pan Ignacy, chcąc wyrwać panią

swego serca z apatycznego zamyślenia.

— Ach! jak mnie pan nudzisz — brzmiała niekoniecznie słodka a lakoniczna odpowiedź.

Sędzia zamilkł i spuścił oczy, czekając cierpliwie dopokąd nie przejdzie chmura zawieszona nad czołem Cezaryny. Był

on zresztą przyzwyczajony do tego rodzaju odpowiedzi, słyszał je jeżeli nie

codziennie, to z pewnością co drugi dzień.

Rzeczywiście po chwilce kobieta jak gdyby sobie przypomniała, że trzeba

łaskawemu się kochankowi rzucić jakąś okrucieństwo przywiązania, podała mu rękę do

pocałowania. Sędzia rzucił się na białą, małą rączkę i objął ją prawie całą

swymi szerokimi ustami.

Cezaryna się pogardliwie uśmiechnęła... dosyć już, dosyć, tych karesów!

Pan Ignacy rad nie rad musiał usłuchać rozkazu, położył rączkę na sukni pani

Cezaryny, wyprostował się i widocznie zaczął nad tem myśleć, w jaki sposób

zabawić swoją panią, aby po raz wtóry nie usłyszeć jakiej niepoehlebnej uwagi.

— Co pan dzisiaj słyszałeś? kogo widziałeś? — pytała się kobieta zgadując jego myśli.

— Cały dzień prawie będąc w biurze, nie wiele zdołałem nazbierać nowości,

śledztwo jednak spowodowane otruciem Sary Liebenfeld, na wcale zajmującą

naprowadza mnie historję... na kradzieże

dzieci, na niemą dziewczynkę, na różne fakta, jak gdyby wyjęte z francuzkiego

romansu.

— Opowiedz mi pan, to musi być coś bardzo ciekawego — przerwała Cezaryna, której

oczy na słowa „niema dziewczynka” nabrały dziwnie surowego wyrazu, a rozciekawienie zastąpiło przed chwilką jeszcze na jej twarzy rozlaną apatię.

Uradowany pan Ignacy, że przecież czemś może rozerwać znudzoną kobietę, zaczął

natychmiast opowiadać ze wszystkimi szczegółami faktu, o których się dowiedział

z aktów sądowych. Opowiedział jak ekonomowa na Snopkowie znalazła niemą

dziewczynkę w r. ., dzisiejszą wychowanicę pani Koleckiej, jak jedyną drogą,

po której dojść było można do wiadomości czyjem dzieckiem jest dziewczynka, była

chustka do nosa z cyfrą Z. i hrabską koroną.

— Z cyfrą Z. i hrabską koroną? — przerwała sędziemu pani Cezaryna.

— Tak jest.

— Masz pan tę chustkę?

— Niestety zginęła! a wszelkie jest prawdopodobieństwo, że ją wraz z innymi

aktami tyczącymi się owej niemej dziewczynki, wykradła Sara Liebenfeld.

— Zginęła! — powtórzyła Cezaryna zamyślając się, a jej oko zabłysło ogniem

namiętności, jaki rzadko kiedy u niej było można spostrzedz.

— Jesteś pan pewnym, że na chustce do nosa była cyfra Z. i hrabska korona?

— Jak najpewniejszym, jeżeli chodzi o skonstatowanie jakiegoś faktu, to w

naszych aktach nic się nie pisze, coby najściślej nie było prawdą, i gdyby

urzędnik, który miał ową chustkę przed sobą, nie widział był litery Z. i hrab-

skiej korony, toby przecież w żaden sposób nie mógł był tego napisać.

— A więc jeżeli pan tego jesteś pewnym, to ja panu powiem czyjem dzieckiem jest

panna Kolecka.

— Panibyś wiedziała? — pytał sędzia, w którym się odezwała śledcza natura.

— Tak jest, mogę to utrzymywać z wszelką pewnością, że panna Marja Kolecka, owe nieme znalezione dziecko, jest córką matki pana Mieczysława Zgodzkiego, jest jego rodzoną siostrą — dodała Cezaryna z wyrazem najwyższego tryumfu na czole i zaspokojonej zemsty.

— Jakimże sposobem pani to wiedzieć możesz?

— Nie potrzeba być na to sędzia śledczym — odpowiedziała z ironicznym uśmiechem

Cezaryna — ażeby się po literze Z. i hrabskiej koronie domyśleć, gdzie szukać matki dziecięcia.

— Ale przecież nazwisko nie jednej hrabiny na Z. się zaczyna? — zauważał Ignacy.

— Nie każda hrabina wszakże, której nazwisko literę Z. nosi na początku, miała niemą córkę, a że pani hrabina Zgodzka miała dziecię niemowię, rzecz to wiadoma wszystkim, którzy żyją od lat kilkunastu w lwowskim towarzystwie.

— Więc pani Zgodzka miała niemą córkę?

— Tak jest kochany panie — odpowiedziała Cezaryna, a Ignacy się uśmiechnął z radości, bo dawno już nie słyszał przyjemnego dlań przymiotnika „kochany”.

— Co więcej mogę panu powiedzieć, że jak świat zapewne nie bez przyczyny mówi, pani hrabina Zgodzka miała przez dłuższy czas romans z jakimś Włochem, jeżeli się nie mylę we Florencji, i że owa niema córeczka miała być owocem tego romansu.

— Ach doprawdy, jak dalece pani jesteś przenikliwą — zauważał ze zdziwieniem sędzia — przypominam sobie opowiadanie, że hrabia Zgodzki, ojciec

Mieczysława, miał zginąć w pojedynku z ręki jakiegoś Włocha, kochanka swej żony.

— Bo tak jest rzeczywiście — potwierdziła Cezaryna, a rozpromieniona z powodu nowego odkrycia, wstała z kanapy i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Ależ to zaczyna być zawiślana historja? — zauważał sędzia, jak gdyby się zaczął obawiać swego odkrycia — wszak pan Mieczysław Zgodzki podobno się stara o pannę Marję, a więc o swoją siostrę.

— Tak, podobno — z zadowoleniem odpowiedziała Cezaryna.

— A więc temu małżeństwu trzeba przeszkodzić z urzędu — zauważał sędzia.

— Tylko trochę zimnej krwi panie sędzio, trochę spokoju, proszę nie postępować zanadto porywczo, bo swych dowodów nie doprowadzisz do skutku i skompromitujesz się. Pozwól im jeszcze trochę romansować — dodała z szatańskim uśmiechem Cezaryna.

— Ależ ja jestem odpowiedzialnym — zauważał sędzia, a w jego głosie przebijał się przestach przed nieodgadniona jeszcze myślą kobiety.

— Za pozwoleniem panie Ignacy, jeżeli mi w tej sprawie odmówisz posłuszeństwa, jeżeli nie będziesz działał i postępował tak jak ja każę, to kwita z naszej

przyjaźni — powiedziała z gwałtownością Cezaryna, a sędzia umilkł i zmieszał się jak gdyby kilkoletni wyłajany chłopczyk.

— A więc co pani każesz czynić — rzekł z desperacką rezygnacją sędzia.

— Obecnie milczeć i nawet unikać pozoru, że się wie tak ważną tajemnicę; niech młodzi państwo romansują, przyjdzie czas, gdzie im się powie, jaki ich łączy

stosunek, ale ten czas ja oznaczę. Grdyby nie ja, nie byłbyś się pan o całym fakcie dowiedział, postępuj więc w sądzie tak jak gdybym ci nic nie była powiedziała.

— Dobrze — powiedział sędzia.

Na znak wysokiego zadowolenia Cezaryna podała mu rączkę do pocałowania, i nawet nie gniewała się, że szerokie usta pana sędziego maltretowały ją przez kilka minut.

— Może kazać lampę przynieść — zapytał się wbiegający Józio.

— Nie potrzeba — z gniewem odezwała się Cezaryna. — Czy umiesz już lekcję?

— Wszak już mamie mówiłem, że umiem.

— Idź się baw z Wandzią. Chłopiec znów odszedł ze spuszczoną główką.

Po chwili wyszedł pan sędzia uszczęśliwiony, co mu się rzadko kiedy zdarzało,

zwykle bowiem spotykał się tylko z kapryсами rozgrymaszonej kobiety i wychodził

wzdychający i rozmarzony, potracał ludzi i pytał się bezustannie: czy ona mnie

nigdy kochać nie będzie? Dzisiaj zdawało mu się, że go Cezaryna kocha, ale mu

się tylko... zdawało.

Pani Cezaryna była zadowolona jak mało kiedy, nadspodziewanie prędko nadarzała

się jej sposobność do zemsty nad Mieczysławem, w razie gdyby się tenże nadal

chciał jej wdziękom opierać. Cezaryna jeszcze niezupełnie zwątpiła, że wyjdzie z

walki zwycięzko, że nie będzie nawet potrzebowała wywierać swej zemsty.

— Nie mogę znieść tego — mówiła sobie piękna kobieta — gdy w teatrze jeden tylko

Mieczysław na mnie szkieł nie zwraca, on mnie ignoruje, nie uważa że jestem w

sali, i podczas gdy wszystka młodzież wielkiego świata dobija się o to, aby móż
być przynajmniej na kilka minut w mej łoży, on nie raczy się nawet ze mną
przywitać, ale marzy o swojej...
niemiej! Gdym w zeszłym roku na muzycznym balu w mazurze szła ku niemu, aby go
wybrać do figury, on udał, że mnie nie widzi i odszedł... takiej zniewagi się
nie zapomina; on musi, musi szaleć za mną, a wtedy będę się bawić nim, będę go
męczyć.... nabiję go jak chrząszcza na szpilkę, niech wie co to znaczy obrazić
próżność takiej jak ja kobiety, przed którą się wszyscy korzą... to mi sprawi
radość, to będzie najwyższym mojem zadowoleniem!
— Lecz on mi ulegnie, dam jeszcze zabawę, zaproszę go, ba nawet zaproszę jego
„niemą”, niech nas porównywa, nie obawiam się tego, owszem to się przyczyni do
mego stanowczego zwycięstwa.
Myśl tej ostatniej próby: świetnego balu, cały wieczór zajmowała imaginację
Cezaryny, układała ona sobie naprzód strategiczne plany swego postępowania,
przezieriała żurnale od lat kilku, aby znaleźć najodpowiedniejsze kolory na
suknię, w której miała wystąpić. Zielone, żółte, pąsowe nawet próbki atlasów i
jedwabów przerzucało się tego wieczora bez litości, a żaden kolor nie odpowiadał wymaganiom — ten był zanadto płowy, tamten zanadto żywy. Wystąpić w
brylantach? w złocie? w perłach? czy też ubrać się skromnie?
— Moja rywalka z pewnością skromnie będzie ubraną — mówiła Cezaryna — ona zechce
błyszczeć niewinnością, jak skromny fiołek; więc ja muszę być tym razem odważną,

ja muszę działać na zmysły, muszę go olśnić moją pięknnością, muszę śmiało z tem

wystąpić, że jestem najpiękniejszą kobietą i że wszystkie skarby ziemi,

wszystkie brylanty powinny stać na moje usługi.

— Muszę być odważną, muszę być pewną siebie, pewną odniesienia zwycięstwa, tak,

aby ów dumny Mieczysław nie miał czasu się namyślać, nie miał czasu marzyć i

szukać ideałów, ale żeby był uderzony moją pięknnością i padł czołem przedemną.

— Skoro on mi odda pokłon, będę mogła powiedzieć, że nie znałam mężczyzny,

któryby się przedemną nieukorzył.

Na drugi dzień pełno krawców i marszandemdek otaczało Cezarynę, a ona z

drobnostkowością niemieckiego filozofa zastanawiała się nad każdą koronką, nad

każdym kawałkiem szlarki i wstążki — chcąc, aby ubiór balowy wyszedł z pod igły,

jako arcydzieło godne jej wdzięków.

VIII.

Przypatrzmy się jednak na chwilę działaniu znanego nam komisarza policji, pana

Mordnera.

W wilję balu u pani Cezaryny, o którym, mówiąc nawiasem, wiedziało już całe

miasto; około wieczora wybiegł pan Mordner z głównej trafiki, z miną widocznie

rozweseloną, jak gdyby jakieś ważne zrobił odkrycie, i udał się wprost ku

teatrowi. Wchodząc jednak do przedsionka gmachu teatralnego zrobił obojętną minę

i powoli szedł na pierwsze piętro.

— Bon jour monsieur! — dał się gdzieś z kąta słyszeć głos oczywiście Kasperka —

prosiłbym pana dobrodzieja o papierosika, bo dalibóg nie mam co palić, ktoś mnie

poczęstował sigarem, dwukrajarówką, imaginez vous panie
dobrodzieju!

dwukrajarówką, ale tego palić nie można.

Komisarz czempredzej wyjął kilka do-

brych papierosów, kilka dobrych cygar i ofiarował je Kasperkowi.

— Mille graces monsieur le comte... wdzięczny do śmierci — odsłużę
się na
weselu.

— Cóż tam u pana słyhać panie Kasperku ? — jak się panu powodzi.

— Niedobrze panie dobrodzieju, pan wiesz że mieszkam tutaj pod
schodami,

niedobre mieszkanie dalibóg! ale obecnie mieszkania we Lwowie
podrożały, nie

można trzymać pierwszego piętra. Otóż panie dobrodzieju szczury
tam się

zagnieździły i wyciągły mi najdroższą pamiątkę, savez vous un
souvenir, z

lepszyc czasów młodości, pamiątkę od niej — od jedynej — widelec
z trzonkiem z

jeleniego rogu, największy mój skarb, jestem niepocieszony.

— Jaka szkoda, od kogóż ta pamiątka jeżeli spytać wolno?

— Są to tajemnice serca, których się nie powtarza — z pewną
przesadą

odpowiedział Kasperek.

— Zapewne — zapewne — panie Kasperku, potwierdził komisarz
niekoniecznie

zadowolony z odpowiedzi.

— Czemu pan panie Kasperku — mówił dalej komisarz — nie
zaangażujesz się do

opery, tak ładnie śpiewając, mógłbyś pan zrobić karierę.

— Poróżniłem się z dyrektorem teatru, i uważam obecnie za
niestosowne wchodzić z

nim w jakieś układy, dawny mój przyjaciel i protektor hrabia
namiestnik, umiał

we mnie ocenić talent i zawsze mawiał: Kasperku ty zrobisz karierę na
deskach

teatralnych, i doprawdy byłbym dzisiaj pierwszorzędnym artystą,
gdyby nie ten

dyrektor — to człowiek bez wychowania, człowiek honorowy jak ja,
ręki mu podać
nie powinien.

— Tak — tak — szkoda pańskiego talentu — mówił komisarz, jabym
miał dla pana
propozycję.

— I owszem, monsieur — moje talenta niech będą na pańskie usługi.
— Otóż ja panu dobrze wynagrodzę, jeżeli pan tylko czasem zechcesz
się popisać
pięknym swoim śpiewem.

— Prześlicznie! zupełnie się na to zgadzam, odpowiedział uradowany
Kasperek.

— Zaczniemy od serenad, później ja zostanę dyrektorem
prowincjonalnego teatru,
to pana zaangażuje.

— Serenady! — serenady! — magnifique! Don Juan śpiewa serenady
— mój protektor
pan hrabia namiestnik urządzał raz serenadę jednej pani, ja stałem
zdaleka, było
prześlicznie, noc księżycowa, śpiew, ognie sztuczne.

— Więc na początek zaraz jutro możesz się popisać panie Kasperku,
jutro jest bal
u pani Cezaryny, na dany znak zaczniesz śpiewać pod oknami, całe
towarzystwo z
pewnością będzie zachwycone.

— Wyborna myśl monsieur le comte— śpiew mój zrobi wrażenie,
głos mój tam będzie
dźwięczniejszy. Cóż może być przyjemniejszego jak śpiewać przed
oknami takiej
kobiety — najpiękniejszej na świecie!

— A cóż będziesz śpiewał panie Kasperku ?

— Mój głos najpiękniej się wydaje w znanej zapewne panu hrabiemu
arji z

Rigoletto:

Ach wie betrügerisch, sind der Weiber Herzen,
Sie mögen weinen, sie mögen seherzen —

Słowa te odśpiewał Kasperek chrypliwym głosem, a komisarz bojąc się, aby artysta dalej nie chciał popisywać się swym śpiewem, przerwał mu czempredzej.

— Dobrze — dobrze panie Kasperku, arja ta będzie zupełnie stosowną, jak gdyby obmyślaną do naszej serenady.

Tymczasem wyjął komisarz pięć guldenów z kieszeni i włożył je do ręki

Kasperkowi, który taką zrobił minę, jak doktor, gdy od dobrze znanego mu pacjenta odbiera honorarium.

— Pamiętaj więc, panie Kasperku, że jutro około jedynastej wieczór zejdziemy się

pod oknami pani Cezaryny... — dorzucił jeszcze komisarz.

— Z pewnością panie hrabio, ale... ale, miałbym tylko jedną uwagę: czyś się pan

zabezpieczył przed miejską policją? wystaw pan sobie bowiem, że przed rokiem

niespełna zacząłem około północy śpiewać pod oknami boskiej Cezaryny... i oto

nadchodzi prosty policjant i chce mnie zabierać z sobą na kordygarde. Ten wstyd,

ta zniewaga!.. możesz pan sobie wystawić, szczęście, że późna już była noc i

nikt ulicami nie przechodził, na drugi dzień musiałem wysokich używać protekcji,

aby odzyskać wolność. Możesz więc pan hrabia rozumieć, że obecnie trochę się

obawiam...

— Biorę na siebie, że się panu nic złego nie stanie, — skwapliwie odpowiedział

komisarz.

— Parole d'honneur! panie hrabio?..

— Z pewnością, ręczę słowem honoru...

— Więc jutro jestem o jedynastej pod oknami.

Komisarz oglądał się jeszcze, czy go

kto nie widział i czempredzej zbiegł na ulicę innemi schodami, a Kasperek oparł

się o ścianę i zaczął sobie nucić: Ach wie betrügerish...
Pod wschodami pierwszego piętra w teatrze skarbkowskim
umieszczona jest
drewniana budka dla wypożyczającego teatralne binokle, za budką zaś
jeszcze mały
znajduje się kąpielnica, deskami z sieni zabity, tak, że do środka można się
tam tylko
dostać z góry, a więc ze wschodów. Ten kąpielniczek był mieszkaniem
Kasperka, który też
obecnie zeszedł tam po drabince przeznaczonej do zapalania lamp, a
położywszy
się na resztkach desek i koców, smacznie zasnął, marząc o jutrzejszej
serenadzie.
Serenada ta zresztą bardzo mu przypadła do gustu, bo Kasperek
opowiadał czasem
swoim dobrym znajomym, że się szalenie kochał w pani Cezarynie, i
że ta jego
miłość była niestety nieszczęśliwą. Kucharz w restauracji kasynowej
znał
Kasperka oddawna i opowiadał, że on dawniej, kiedy jeszcze pani
Cezaryna była
małą panienką, służył u jej matki pani Angoii za lokaja, ztamtąd
niewiadomo z
jakiej przyczyny się oddalił, a że był nadzwyczaj mały i dość
śmiesznie
wyglądał, więc go wziął do kredensu ówczesny namiestnik hrabia L....
Kasperek
tak się hrabiemu podobał, że wyszedł na nakładacza fajek i pełnił tę
funkcję, aż
do czasu, kiedy namiestnik i „protektor”, jak się wyrażał Kasperek,
wziął
dymisję.
— Już to jemu zawsze piątej klepki brakowało! — kończył zwykle
swe opowiadanie o
Kasperku kucharz kasynowy, — ale gdy się dostał do hrabiego
namiestnika, to już
zupełnie ogłupiał i nikt go teraz nie przyjmie do służby, że jednak
biedne

człeczysko, więc mu tam nieraz daję kuchenne resztki.

IX.

W dzień balu około piątej po południu siedziała pani Cezaryna w białym

pudermantlu przed dużym lustrem i pilnie śledziła każde poruszenie wprawnej ręki

fryzjerki, wkładającej sznurki, szynjony, rozczesywującej włosy, tak, aby z pod

nich nie było przypadkiem widać delikatnych wprawdzie, ale niezbyt powabnych

materacyków.

— To będzie zanisko, — z gniewem przerwała Cezaryna, — tyle razy mnie pani

czesziesz i jeszcze nie wiesz, jak wysoko ma iść ten „pukiel”, proszę zaczesać

nanowo...

Fryzjerka widocznie znudzona, już była grymasami elegantki, bo psując własną

robotę, dobrze panią Cezarynę szarpnęła za włosy, tak że z jej ust wyrwał się

głos bólu i niecierpliwości.

Po chwili fryzura była skończoną. Nad

czołem piętrzyły się stopy włosów niby wielka czekoladowa legumina, opleciona na

wierzchu potężnej grubości, tym razem własnym pani Cezaryny warkoczem. U spodu

fryzury rozwiane były drobne włosy w misternie obmyślanym nieładzie, jak gdyby

miały przypominać, coby to za piękne było zjawisko, gdyby wszystkie włosy były

rozpuszczone.

Warkocz jednak nie był jeszcze ugarniowany, więc wkrótce ukazały się brylantowe

kwiatki do szpilek przymocowane, a na każdy z tych kwiatów znalazło się miejsce

w jednym splocie warkocza, tak, że gdy głowa była zupełnie ubrana, zdawało się,

że gwiazdy spadając z nieba w jasną letnią, noc, zamiast upaść gdzieś w lasach,

spoczęły na warkoczu pani Cezaryny, aby uświetnić jej piękność.

Kobieta wybierająca się na bal, gdy głowę uczesze, to jak wódz co wygrał pół

kampanji, co skoncentrował już siły w jednym miejscu na umówioną godzinę, i

czeka tylko pojawienia się nieprzyjaciela, aby przypuścić silny i dzielny atak.

Humor więc pani Cezaryny polepszył się cokolwiek po przebyciu tej najważniejszej

części balowych przygotowań, fryzura udała się nadspodziewanie, była

arcydziełem fryzjerskiego kunsztu. Z suknią już szło łatwiej, bo pani Cezaryna

pierwej ją już próbowała, a była to suknia rzeczywiście oryginalna, mająca

zaimponować nowością i śmiałością kolorów, i zwrócić na siebie wszystkie

zazdrosne oczy.

Na różowej materji rozpięła się lekka jak powiew wiatru zielona gaza, i

gdzieniegdzie tylko spięta była podobnemi jak w warkoczu brylantowemu kwiatami.

Przy jasnym oświetleniu suknia ta mieniła się jak zielona fala morza, pofarbowana promieniami zachodzącego słońca, i jak na falach nie można nigdy

pochwycić stałego punktu, na którym się piekący czerwony opiera promień, tak i

na tej sukni pąsowe światło przebiegało z jednego fałdu na drugi i falowało

niejako za wspaniałym ruchem powabnej kobiety. Kolory sukni były niestałe jak

humor, jak kaprys Cezaryny i ogłaszały młodzieży, że trzeba wiele trudu i wiele

zachodu, aby zrozumieć dziwaczną istotę i znaleźć drogę do zajęcia jej fantazji.

Suknia ta jeszcze bardziej powinna była rozbudzać żądze posiadania
powabnej
kobiety, powinna była wciąć uwagę każdego z młodzieży,
znajdującej się

w salonie; tak się spodziewała Cezaryna, a spodziewała się, że te
więzy posłużą
i dla Mieczysława!

Suknia leżała prześlicznie, ogon był tak długi, że w jego fałdach tuzin
małych

amorków mógł się bawić w „krycie”... Cezaryna była zadowolona,
zaciągała

rękawiczki na cztery guziki, włożyła brylantowe branzolety, u
rękawiczek żaden

guzik się nie urwał, co za dobrą było uważane wróżbę.

— Dzieci do garderoby, a o dziesiątej na drugiej stronie spać
położyć!.. —

zakomenderowała pani domu i weszła do salonu.

— Świece jeszcze nie pozapalane? — surowo zapytała się Cezaryna
pana Rafała,

wspinającego się wraz ze służącym po umyślnie do tego
przystawionym stole.

— Zaraz moja kochana, zaraz, — odezwał się przestraszony mąż, —
jeszcze tylko

sześć świec...

— Gotów kto nadejść... — zauważała z niezadowoleniem Cezaryna.

— Wreszcie i szósta świeca była zapalona, pan Rafał zaczął powoli
spuszczać się

ze stołu, a służący stół trzymał... nieszczęście jednak chciało, że pan
Rafał

potknął się i upadł.

Po twarzy pani Cezaryny przeleciał zrazu lekki uśmiech, ale
natychmiast chmura

oblekła wypogodzone przed chwilą czoło...

— Ach! jak można być tak niezgrabnym — z surowym wyrzutem
powiedziała kobieta.

— Niezgrabnym! — z westchnieniem powtórzył pan Rafał i chwycił
czempredzej za

chustkę do nosa, podnosząc się powoli z pomocą, służącego.
— Krew! wyjdź, wyjdź! — opryskliwie zawołała pani Cezaryna, a jak tylko pan
Rafał był za drzwiami, zaczęła oglądać pobojuwisko, czy mężulko swym słabym
nosem nie poplamił posadzki.
— Dalibóg! plama! — zawołała Cezaryna i zaczęła dzwonić na pokojówkę, rozkazując
jej czempredzej przynieść ciepłej wody i wyczyścić plamę na posadzce...
Nos jednak pana Rafała wkrótce powrócił do zwyczajnego stanu, salon zupełnie
został przygotowany do przyjęcia gości, a pani Cezaryna z niepokojem się po nim
przechodziła. Bal był zapowiedziany na dziesiątą, o ósmej już jednak usłyszano
lekkie poruszenie dzwonka, hr. Bernard bowiem śpieszył się oglądać królowę swych
uczuc, dzielącą się panowaniem nad takowemi — chyba z kuponami. Hrabia miał minę i ubiór uroczysty: w granatowym długim fraku ze złotemi
guzikami, w białej atłasowej krawatce i w czarnej kamizelce robionej u Chevalier
& Comp. w Paryżu w r. , a haftowanej w zielone listki. Pan Bernard wyglądał
wspaniale, ruszał głową jeszcze bardziej, aniżeli zwykle, od prawego do lewego
boku, a rękami robił ewolucje, jak gdyby je sposobił do pływania po pełczyńskim
stawie.
— Dobry wieczór hrabiemu — powiedziała ku nadchodzącemu pani Cezaryna z
przymilającym się, poufałym uśmiechem.
Hrabia zrobił taką słodką minę, że gdyby był rój pszczół w pokoju, z pewnością
byłby się gwałtownie rzucił na jego twarz; drżącą ręką uchwycił skwapliwie dłoń
pani Cezaryny i wycisnął na niej tak głośny całus, że echo z radością odpowiedziało aż w trzecim pokoju takim samym całusem.

— Pani dobrodziejka była tyle łaskawą nie zapomnieć o swoim najuniżeńszym słudze

— mówił hr. Bernard.

— Ach! mówiłam ci hrabio już kilka razy, że nie jestem znowu tak starą kobietą,

nie wyglądam jeszcze na matronę, abyś mi mówił „dobrodziejko.”

— Zbyt jesteś łaskawa, moja królowo! i wierzaj mi, że o niczym w mem życiu nie

marzę, jak o zmienieniu tego tytułu na inny, bardziej szczerzy, bardziej odpowiadający moim myślom.

— Piotrze! żeby wkrótce samowar był gotowy — przerwała pani Cezaryna odwracając

się do służącego.

Hrabia skonfundował się trochę tym zwrotem rozmowy od uczuć do samowaru,

krząknął, zrobił gwałtowny ruch rękami i zaczął szukać czegoś po ścianach, na

coby przenieść można swe myśli.

— Już ta hrabia należysz do moich najmilszych gości — zagadła znów Cezaryna — i

ręczę hrabiemu, że dzisiejsza zabawa tem jest przyjemniejszą dla mnie, że go

widzę u siebie.

Hrabia tymczasem kłania się, opisując łuki i kręgi rudą swoją głową.

— Zaprosiłam także dzisiaj hrabiego Mieczysława — mówiła dalej przebiegła

kobieta — a sędzę, że mnie zaszczyci swoją bytnością, albowiem będzie tutaj

także jego gwiazda — niema panna Marja... Wszak z gwiazd żadnego głosu nie

słyszemy, a pomimo to, co wieczór się niemi zachwycamy. Żart żartem jednak, ale

dlaczego hrabia nie starasz się prze-

szkodzić tej miłostce; pan Mieczysław gotów się z Marją, ożenić, a wątpię, aby

to dla jego rodziny była odpowiednia koligacja, co więcej, byłby to mezalians

pod względem fizycznym, boć pannę Marję nie można przecież uważać za co innego, jak za osobę ułomny.

— A! wszakże ja na ten związek nigdy nie zezwolę.

— Hrabia zezwoli czy nie, a pan Mieczysław się ożeni, bo jest pełnoletnim; zezwolenie lub niezezwolenie musi być poparte silniejszym argumentem, aniżeli gołem słowem dawnego opiekuna.

— Jak to pani rozumiesz? — zapytał hrabia.

— Przepraszam pana, że śmiem zapuszczać się w tej mierze w rzeczy które mnie nie obchodzą, ani obchodzić nie powinny, przez życzliwość jednak dla hrabiego nie mogę mu przyjacielskiej odmówić rady... Sądziłam że hrabia masz coś zapisać panu Mieczysławowi?

— Bagatelę! nie wiele! człowiek ubogi, ale rzeczywiście cośby chłopcu trzeba zapisać, bo przecież nosi to samo co ja nazwisko.

— Gdyby jednak pan Mieczysław nie był godnym nosić pańskie nazwisko, w takim razie nie powinienbyś go osłaniać swoją protekcją i pomocą.

— Zapewne. . . zapewne. . . ale dotychczas. .

— Dotychczas nie zasłużył jeszcze na wydziedziczenie, ale mógłby sobie na to

zasłużyć, gdyby ten fatalny popełnił mezalians, gdyby się ożenił z osobą ułomną,

bez rodziców, niewiadomego pochodzenia, z osobą nadto tak niskiej inteligencji,

że w żaden sposób nie mógłby być z nią szczęśliwym... Zresztą co mnie to

obchodzi, to dobre serce staje się często powodem, że mówimy i mieszamy się w

rzeczy, które do nas bynajmniej nie należą.

— I owszem pani, jestem jej niewymownie wdzięcznym, że zwracasz moją uwagę na

niebezpieczeństwo. Sądziłem, że małżeństwo to do skutku przyjść nie może, że są to młodzieńcze marzenia Mieczysława, które bardzo szybko przeminają, nie pozostawiając po sobie wyraźniej szych śladów.

— Takich młodzieńczych marzeń często całe życie żałować przychodzi.

— Masz pani słuszność... ale co ja mam począć, co na to wszystko poradzić?

sądzisz pani, że romans zaszedł daleko? że trzeba już używać heroicznych środków?

— Jak daleko zaszedł romans tego wiedzieć nie można, gdy się ma przed sobą osobę niepewnego pochodzenia, niepewnego wychowania... w każdym razie sądzę jednak, że gdybyś hrabia obecnie z całą wystąpił energją, gdybyś zagroził panu Mieczysławowi, że mu nic a nic nie zapiszesz, że cały majątek obrócisz na fundacje, na stypendja, natenczas młody człowiek zastanowiłby się co ma począć, i z pewnością cofnąłby się przed krokiem, za który całe życie musiałby pokutować.

Znów lekkie poruszenie dzwonka dało się słyszeć, a szmer jedwabów w przedpokoju zapowiadał jakąś kobietę. Rzeczywiście po chwilce weszła pani Angoli, matka Cezaryny.

Była to osoba wysoka, mająca około lat pięćdziesięciu, regularnych rysów twarzy, mocno upudrowana w czarnej materjalnej sukni. Pani Klementyna Angoli musiała być piękną kobietą, obecnie jeszcze nosiła ślady piękności, a biustu pięknie utoczonego mogłaby jej była pozazdrościć niejedna miejska piękność. Mimo regularnych rysów twarz jej niemiłe

robiła wrażenie, wyrazu ciemnego oka trudno było pochwycić, gdyż w ciągłym było ruchu, przeskakiwało z przedmiotu na przedmiot, a wskutek tego coraz to innem jaśniało światłem. Po bokach ust drgały dwa muszkuły jak urwane sprężyny i nadawały twarzy wyrazu pewnego niepokoju, pewnej gorączkowej niepewności. Przy tem wszystkim wiele przesady malowało się w całej postaci pani Angoli, i ruchy nie były wolne od niemodnej już afektacji. Pani Cezaryna żyła z matką na stopie nadzwyczaj oziębłej, i tylko dla przyzwoitości od czasu do czasu bywała u niej na większych towarzyskich zebraniach; prywatne ich jednak, a ściślejsze stosunki oddawna były już zerwane. Nikt właściwie nie wiedział przyczyny nieporozumień między matką a córkę, kobiety te jednak tak się źle maskowały co do wzajemnych swoich antypatji, że każdy kto je raz tylko widział w towarzystwie, mógł wybornie poznać, że tam o rodzinnym stosunku mowy już nie ma, i że jedna kobieta drugiej zawadza. Z tę, antypatję, do córki, a córki do matki, wiązano od kilku tygodni wiadomość, że pani Angoli myśli na stałe mieszkanie wybrać się do Wiednia; Lwowa bowiem oddawna nie lubiła i przesiadywała tutaj już tylko, jak mówiła, z przyczyny majątkowych stosunków i rodzinnych związków. W ten ostatni powód wszakże nikt nie wierzył, wiedziano bowiem dobrze, że pani Cezaryna z pewnością ją tutaj nie zatrzymuje. Zresztą pani Angoli była Wiedeńką, z francuzkiej oddawna tam osiadłej pochodzącą rodziny, a chociaż przez dłuższy pobyt w Galicji, a przede wszystkim we Lwowie,

nauczyła się nieźle po polsku, przecież przyzwyczajenia i sympatje ciągnęły ją zawsze nad Dunaj, a tutaj ją wiązały chwilowe stosunki i interesa. Pierwszy mąż pani Angoli, Dr. Bulski, ożenił się z nią w Wiedniu, gdzie chodził na medycynę i doktoryzował się. Cezaryna była córką z tego małżeństwa. Państwo Bulscy mieszkali później we Lwowie, gdzie im stosunki i klientela pana Bulskiego jako doktora medycyny dawały średni dochód i stanowisko. Dr. Bulski żył jednak niedługo, a młoda jeszcze i przystojna wdowa poszła we Lwowie za mąż za p. Angolego, rotmistrza od dragonów. Pan rotmistrz nie miał majątku, ale brat jego będący konsyljarzem przy sądzie apelacyjnym we Lwowie posiadał fortunę, sięgająca do dwukroćstotysięcy reńskich. W rok czy we dwa lata po ożenieniu się rotmistrza Angolego, umarł jego brat i zapisał mu majątek, jak mówiono, pod jakimś nieznanym publiczności warunkiem. W krótkim czasie jednak po śmierci konsyljarza przeniesiono pana rotmistrza z awansem do pułku stojącego w południowych Węgrzech, w okolicę bezludną, do której z trudnością tylko dostać się było można. Więc też pan Angoli sam tylko pojechał na miejsce nowego swego przeznaczenia i zostawił żonę wraz z młodą Cezaryną we Lwowie, sądząc, że w krótkim czasie będzie mógł się wydobyć z okolicy, do której z niechęcią się tylko udawał, i znów powróci do Lwowa albo do innego miasta monarchji, w którymby się życie przyjemniej aniżeli na węgierskich pustkach prowadzić dało. Pani Angoli, jako słomiana wdówka, mieszkała blisko półtora roku we Lwowie,

wyjeżdżała w tym czasie do męża, i miała syna, którym się nadzwyczaj cieszyła. Syn przyniósł w dom błogosławieństwo, albowiem w kilka miesięcy po jego urodzeniu i ów publiczności dobrze nieznany warunek, pod którym sukcesja była zapisana, został snąc usunięty, skoro państwo rotmistrzowie otrzymali majątek po konsyljarzu i mogli przyjemniejsze prowadzić życie. Pani Angoli się jednak nie wiodło; majątek wprawdzie był, ale mąż przypadkowo zastrzelił się na polowaniu, a synek, który taką był pociechą w rodzinie, umarł w kilka miesięcy później na jakąś dziecięcą chorobę. Znow więc było cicho i spokojnie w domu powtórnie owdowiałej pani Angoli, która mieszkała już tylko we Lwowie, aby jak najprędzej wydać córkę za mąż, a sama wzdychała za wyjazdem do Wiednia, nie zrezygnowała bowiem bynajmniej z możebnych jeszcze podbojów. Pierwszy lepszy więc konkurent, obiecujący pannie Cezarynie jakie takie stanowisko w świecie, był mile widzianym i przyjmowanym; nie dziw więc, że pan Rafał, który zresztą za swych młodszych czasów do wcale przyjemnych ludzi się liczył, został narzeczonym a potem mężem Cezaryny. Koledzy Rafała zazdrościli mu dobrej partji; pani Cezaryna bowiem dostała połowę majątku matki, to jest blisko sto tysięcy złotych reńskich w gotówce, co we Lwowie stanowiło już wówczas bardzo piękną fortunę. Później, jak to mieliśmy sposobność się przekonać, żałował pewnie pan Rafał swego kroku, i pewnie wolałby był nie mieć majątku i żyć z własnej pracy, aniżeli zostać unizonym służką żony,

która bynajmniej nie siliła się na okazywanie mu serca i uczucia.
Czytelnicy wybaczą nam te kilka słów zboczenia, potrzebnych do
rozjaśnienia
domowych stosunków pani Cezaryny.
Wróćmy wszakże do salonu...
Pani Angoli konwencjonalnym uściśnieniem ręki przywitała się z
córką, zapytała
się jej o zdrowie, o dzieci, i wróciła się do hrabiego Bernarda, który
niebardzo
był zadowolony z nadejścia matki, sądząc, że w dłuższej jeszcze sam
na sam
rozmowie z córką, mógłby przecież wydobyć od niej jakieś słówko
przyjaźniejsze,
a może stanowcze, na które czekał od wieków.
Sala się jednak zapępiała; a niebawem weszła pani Kolecka z panną
Marją, za
niemi zaś wkrótce znalazł się pan Mieczysław...
Pani Cezaryna rzeczywiście dobrze przeczuwała, że Marja będzie
ubrana skromnie i
ze oczaruje swoją prostotą. Biała lekka suknia, przepasana niebieską
wstążką,
gałązka niezapominajek we włosach, stanowiły cały jej ubiór. Pani
domu z
przesadną uprzejmością wybiegła czempredzej naprzeciw
wchodzących i obsypała je
takim nawałem grzecznych słówek i komplementów, że Marji odrazu
w tej atmosferze
duszno się zrobiło i zaledwie wstępując do salonu uczuła potrzebę
powietrza...
swobody... zimnem więc, konwencjonalnem podaniem ręki
podziękowała Cezarynie za
te uczucia wątpliwej wartości.
— Jak się pan ma panie Mieczysławie, — zawołała Cezaryna ku
wchodzącemu
hrabiemu, — bardzo mnie cieszy, że dzisiaj odstąpiłeś od zwykłej
reguły i
okazałeś trochę sympatji dla mego domu, czyniąc zadość memu
zaproszeniu;

doprawdy nie wiem, z jakiego powodu nie zawsze jestem w łaskach hrabiego, popraw się hrabio, bo z kobietami wojna niebezpieczna! — dodała pani Cezaryna z tego rodzaju filuternym uśmiechem, który wskazywał, że przebaczenie za tę poprawę może być wielkie, może mieścić w sobie wszelkie nagrody, jakimi piękna kobieta młodego człowieka obdarzyć może.

— Wierź mi pani, — odpowiedział Mieczysław, — że z nikim mniej, aniżeli z panią, w zaczepnych nie chciałbym stać stosunkach, mam przekonanie bowiem, że nikt więcej prócz pięknej kobiety stanowczo mnie pokonać nie zdołał.

Cezaryna niby nie słyszała ostatnich słów, odwracając się, by jakiegoś nowego powitać gościa, zanotowała sobie jednak dobrze takowe, i postanowiła dzisiaj z otwartą nawet wobec Mieczysława wystąpić przyłbicą; postanowiła nie szczędzić sprytniej kokieterji, wiedząc z doświadczenia, że bywały chwile w jej życiu, gdzie kokieterja przyodziana w szatę szczerości, otwartości, prawdziwego uczucia, cudów dokazywała i szła nawet w zawody z praktykowanym zwykle w takich razach obudzeniem uczucia zazdrości.

Salony pani Cezaryny coraz się bardziej zapełniały, już to wchodziła otyła dama z okrągłą córeczką, wyglądającą jak młody melon w inspektach, już to wysoka rasowa bruneta z wielkim nosem i ostremi rysami roztoczyła gladjatorskie wysilenia, aby zupełnie nie uledez przy-

gniatającemu ją staremu panieństwu, już to inna mała blondynka z
płowemi włosami
i przygasłym wzrokiem, przypominała fryzjerskie gablotki, w których
podobne do
niej rozsiadły się woskowe głowy...
Wstążek, kokard, fontaziów bez liku, fryzury jak egipskie piramidy
piętrzyły się
na głowach kobiet, ogony sukien wymijały się, aby przynajmniej do
pierwszego
mazura dotrzeć w całości...
Jak stado białych owieczek, zbiegło się w jednym kącie kilka czy
kilkanaście
panienek, nie chcąc siadać, aby nie pomiać świeżo wyprasowanych
gaz, tarlatanów
i bareżów; kilku młodzików rozsuwało zgrabnie lakierowanemi
butami ciągnące się
po ziemi ogony, aby się móżdż przybliżyć do ich właścicielek i zapytać
się: „ile
razy pani tego roku tańczyła?” — „proszę panią do pierwszego
mazura,” — „z kim
pani tańczy kotyljona?” — „jak się pani bawiła na ostatnim balu?” —
gdzieniegdzie z niewinnych usteczek wysunęła się wcale złośliwa
uwaga o pannie
Marji lub o Mieczysławie.
Pomiędzy młodzieżą znajdował się i nasz p. sędzia Kręcikiewicz, a
zwracał
wszyst-
kich uwagę, bo był ufryzowany jak Kupido na bilecie z
powinszowaniem, żaboty
piętrzyły się i wyrywały się z objęć kamizelki, jak hiszpańska pianka z
półmiska, a mankiety u rękawów od koszuli podobne były do
strzyżonych i
zawijanych papierów, w które ubierają wielkanocne szynki lub
kiełbasy. Mimo
tych mankietów i żabotów zachowywał się pan sędzia bardzo
skromnie i cicho,
wobec bowiem wielu ludzi ubranych we fraki tracił zwyczajną, swoją,
butność, na

której mu nie brakowało w sądowym biurze.
Z naszych znajomych moglibyśmy byli spostrzedz w drugim pokoju
pomiędzy
starszymi mężczyznami zamieszanego p. Kalasantego Kanafarka
znanego nam sądowego
oficjała. Za świetnych jeszcze adwokackich czasów pana Rafała, był
on u niego
koncypientem w biurze, a od tego czasu bywał zawsze zapraszany do
jego domu na
większe bale i festyny. W kółku tem mężczyzn znajdował się także
sam pan Rafał,
który nie widząc kobiet a przedewszystkiem swej żony odzyskał
swobodę i
zapomniał o potłuczonym przed chwilą, nosie. Hrabia Bernard bawił
damy i stał
zawsze nie dalej jak trzy kroki od pani Cezaryny.

Bal rozpoczął się jakimś spacerem podobnym do poloneza, poczem
sztraussowskie
walce rozbudziły życie.
Pan sędzia tańczył zapalczywie, brał jedną pannę po drugiej w tym
porządku jak
po sobie w rzędzie krzeseł następowały, z każdą aż trzy razy
obtańczył salę na
około, na obdzierał po drodze przynajmniej z pół tuzina falban i
koronek, i
niezmęczony i nieskonfundowany szedł dalej pełnić swoją powinność,
na dobrą
kolację zaproszonego dansera.
Marja walca nie tańczyła, zdawało się jej, że spokojna i milcząca jej
natura nie
odpowiada szalonemu tańcowi, i dla tego tylko ograniczała się na
kadrylu; pomimo
jednak, że nie kołowała w szalonym rądzie, bawiła się wybornie
zbierając tysiące
doskonałych uwag, do których znajdowała materiały w żabotach pana
Kręcikiewicza,

w zalotnej pewności siebie, pani Cezaryny, lub w niewinnych aniołkach, które pracowały nad tem, tańcząc, aby nie wyjść z taktu.
— Niecierpliwie oczekuję dwunastej — napisała Marja zbliżającemu się do niej Mieczysławowi, na książeczce do zapisywania tańców.
Mieczysław rzucił zapytanie.
— "To towarzystwo mnie męczy" — brzmiała odpisana odpowiedź — koło dwunastej wyjdziemy.
Młodzi państwo z niechęcią szli na dzisiejszy wieczór do pani Cezaryny, i ulegli tylko życzeniom pani Koleckiej, która uważała sobie za święty obowiązek być ze wszystkimi na grzecznej i przyjacielskiej stopie, czy to zgadzało się z jej przekonaniem czy nie. Odmówić zaproszeniu uważała pani Kolecka za taką obelgę, że gdyby jej ktoś coś podobnego zrobił, byłaby chyba tego nie przeżyła. Nie chcąc więc sprzeciwić się swej opiekunce, wybrała się Marja na dzisiejszy wieczór, a za nią naturalnie poszedł i Mieczysław.
Pani Cezaryna usiadła koło Marji i zaczęła ją obrzucać komplementami o ubiorze, o wyglądanu, a ponieważ Mieczysław stojący w pobliżu to uważał, więc chcąc przerwać niemiłą zapewne i nurzącą dla Marji rozmowę, zaprosił panią Cezarynę do walca.
Cezaryna w jednym razie mogła być niebezpieczną dla zakochanego nawet w kim innym mężczyzny — to jest w szalonym walcu. Jej gracja, lekkość, kibić giętka, ramiona tak białe i pięknie uto-
czone, że chyba sama Wenus byłaby się ich nie powstydzila — wszystko to mogło na

chwilę działać upajająco, osobliwie jeżeli się czuło oddech
wzburzonej kobiecej
piersi, jeżeli się miało w ręce dłoń chętną do oddania uścisku.
Para nasza walcowała długo, Cezaryna nic nie mówiła, ale z pewnem
wschodniem
lenistwem oparła się na ramieniu Mieczysława i pozwoliła mu się
unosić wśród
przesuwających się par, wśród migających się różnorodnych kolorów
i postaci.
Mieczysław mimowoli przez chwilę był upojony, kilka minut nie
mógł skupić swej
przytomności, czarująca kobieta działała na niego jak opium, jak
kaszysz, a gdy
po skończonym walcu przyszedł cokolwiek do przytomności,
cokolwiek ochłonął,
ujrzał się opartym o drzwi do drugiego pokoju, i czuł jeszcze ostatnie
uściśnienie jej dłoni.
— Zwyciężyłam! — myślała Cezaryna — będzie moim! — i jak
wódz co nie odpoczywa
po zwycięztwie, ale go prześladuje i idzie za nim w pogoń, aby mu
chwili nie dać
wytchnienia, tak nasza pani nie spuszczała już z oka Mieczysława, ale
nieznacznie się ku niemu przysunęła.
— Tańczysz pan najbliższego kadryła, panie Mieczysławie?— Nie —
nie — nie tańczę, wyjęknął nasz hrabia.
— A więc może mnie pan wybawisz z kłopotu, brakuje mi pary, aby z
panią,
jenerałową tańczyć vis a vis.
— Służę pani... jestem wolny.
— Pocziwym jesteś panie Mieczysławie — z wyrazem zalotnej
dobroduszności
powiedziała Cezaryna i podała rękę hrabiemu.
Pary w czworobok ustawiły się do kadryła, na końcu dłuższej linii
stanął
Mieczysław z Cezaryną i ujrzał naprzeciwko siebie hrabiego Bernarda
z jenerałową
W., kobietą o czerwonym nosie i obszernej peryferji.

Prowadzący tańce uwijał się po salonie i ustawiał pary; był czas do prowadzenia

przyjemnej ze swoją danserką rozmowy.

— Mam pana prosić o przebaczenie, panie Mieczysławie — mówiła do swego tancerza

pani Cezaryną — dotychczas źle pana sądziła, myślałam, że pan jesteś takim jak

inni pańscy rówiennicy: zimnym i cynicznym, że serce dla pana jest już tradycją,

a miłość pobudką do złośliwych żartów. Dla kobiety z sercem, z uczuciem, każde

odkrycie mężczyzny

co nie uległ jeszcze terażniejszemu zwątpieniu, jest znalezieniem największego

skarbu, im mniej bowiem serca u mężczyzn , tem mniej dla nas pola do działania,

tem ciaśniej nam na świecie, tem większe nas ogarniać musi

zwątpienie. Nie

uwierzysz pan, ile się pod tą lekką koronką nieraz mieści walk, jak silnie tam

nieraz huczą burze , jakie rany tam pozostawia robak zwątpienia, który się musi

zagnieździć, niewidząc nigdzie uczucia, niewidząc nigdzie tkliwego przywiązania.

Śmiech i radość udajemy, a cierpienie jest naszym żywiołem.

— Wszak od pań głównie zależy kierować losami serc i uczuć ludzkich — wtrącił

Mieczysław bez myśli, był bowiem dziwnie zamyślony, roztargniony, staczała się w

nim jakaś chwilowa walka, a z jej rezultatu jeszcze sobie zdać sprawy nie umiał.

— Tak zawsze mówicie, moi panowie! jakżeż jednak mamy kierować temi sercami,

temi uczuciami, jeżeli ci poddani nas nie słuchają, jeżeli ciągle się buntują,

jeżeli chcą w rzeczach serca rządzić się rozumem... Nikt takiego w uczuciach

ludzkich nie zrząda spustoszenia, jak ten nieszczęśliwy rozum,
arogant w
wysokim
stopniu, zarozumiały i dumny, myślący, że nikt prócz niego słuszności
mieć nie
może. Kilka razy w życiu dałam się uwieść połyskom rozumu,
pozwoliłam mu poniżyć
głos serca, zawsze się jednak na tem zawiodłam i nabrałam obecnie
innego
doświadczenia, niestety! może zapóźno!?

— Nie zapóźno! nie zapóźno! — odpowiedział z roztargnieniem
Mieczysław, którego
myśli błąkały się między walcem, uczuciem dla Marji i pokusami
chwilowej
namiętności...

— Dobry jesteś, panie Mieczysławie! chcesz wlać otuchę w moje
znękanе serce,
chcesz mu dodać trochę nadziei. Dzisiaj dopiero żałuję, ilem straciła
zapoznając
pana, jakie kopalnie dobrych zalot można w panu odkryć... Jakieś
fatum nieraz
cięży na społeczęńskich stosunkach, przeszkadzające zbliżyć się do
siebie
ludziom, którzyby się mogli pojąć i zrozumieć.
Zagrano pierwszą figurę kontredansa, pary się skrzyżowały, hrabia
Bernard,
przechodząc na drugą stronę, jednym łokciem trącił dwie sąsiadki, a
nogą
zawadził o ogon pani Cezaryny, który tymrazem jeszcze wyszedł
zwycięzko. Mie-
czysław spotkał się w figurze ze wzrokiem Marji, tańczącej na drugim
rogu
salonu.
Spojrzenie to było dostateczne, aby zdecydować wewnętrzną, walkę i
zatknąć biały
sztandar prawdziwej miłości na gruzach chwilowego roznamiętnienia;
Mieczysław

więc przetarł czoło, a obraz narzeczonej stanął mu w oczach i stał się puklerzem

przed wzrokiem niebezpiecznej kobiety.

Figura się skończyła. Cezaryna czekała jakiejś odpowiedzi na swoje zwierzenia;

widząc jednak, że danser nie nawiązuje poprzedniej rozmowy, zapytała się go:

— Pan taki roztargniony? czy wolno wiedzieć myśli?

— Myśli moje — odpowiedział Mieczysław — są bardzo blisko, bliżej, aniżeli się pani spodziewać mogła...

Rumieniec radości wystąpił na twarzy Cezaryny.

— Więcbym się miała nie zawieść? więc mogę uwierzyć, że pan jesteś jeszcze jednym z tych niewielu ludzi, co mają, serce, co się nie wstydzą uczucia?

— Wierzaj mi pani, że uczucia mego nigdy się nie wyprę, jest to mój skarb

najdroższy, klejnot, który od tej chwili umiem więcej cenić, aniżeli kiedykolwiek indziej, klejnot, co nadał memu życiu nowej wartości i siły.

— Bądź pan nawzajem przekonany, że serce kobiety, której powierzasz swoje uczucie, potrafi je godnie piastować i oprawi ten klejnot, o którym wspominasz, w najszlachetniejszą, tkaninę kobiecego czucia. Na tem uczuciu się nie zawiedziesz Mieczysławie, a gdybyś był chciał, byłbyś je dawniej posiadał...

Ostatnim tym słowom towarzyszył serdeczny uścisk ręki Mieczysława i takie

spojrzenie, które zimny spirytus zapaliłby potrafiło.

— Niesłuszny zarzut spotyka ranie ze strony pani — odpowiedział Mieczysław ze

złośliwym uśmiechem — Marją, pokochałem od pierwszego spojrzenia i Kocham ją dotychczas.

Cezaryna zbladła, wyrwała dłoń będącą w ręce Mieczysława i z gwałtownością rzuciła mu te słowa:

— To niegodnie! w ten sposób nadużywać zaufania kobiety — przez podstęp i zdradę!

— Wybacz mi pani, nie sądziłem wszakże, aby tak daleko mogło dojść nieporozumienie, ciągle bowiem Marją miałem na myśli.

— Nawet w walcu? — z ironją zapytała się Cezaryna, a odwróciwszy się od dansera, kończyła kontredansa, poprzysięgając zemstę pierwszemu człowiekowi, co ją upokorzył, pierwszemu, któremu zrobiła wyznanie swych uczuć, a on je z pogardą odepchnął.

— Pani wybaczy — mówił do niej Mieczysław kończąc kadryla — że jeszcze chwilę zostanę na jej salonach, wychodząc bowiem obecnie, mógłbym zwrócić uwagę ciekawych ludzi na to, co pomiędzy nami zaszło.

— Rób pan, co się panu podoba — odpowiedziała Cezaryna i wyszła do drugiego pokoju w celu poprawienia tańcem popsutej toalety. — Marja nie uważała całej tej sceny, stojąc w tym samym rzędzie co Cezaryna. Mieczysławowi trochę niemiłym było ostateczne zakończenie komedji, o której nie sądził, aby tak daleko zaszła, ale z drugiej strony szczerze się cieszył i dumnym był, że mógł się zbliżyć do

Marji z równie pogodnym czołem, z jakim ją witał przed balem. Mieczysław pozostał naturalnie w salonie, tańczył nawet następnego mazura, poszedł na chwilę do pokoju, gdzie grano w karty, pomówił trochę z nieszczęśliwym panem Rafałem, który trapił się preferansem z kilkoma starszymi gośćmi, a co chwila cichaczem wino popijał.

Okolo północy proszono gości do kolacji, zastawionej w bocznym salonie, którego okna wychodziły na ulicę. Stół był zastawiony w podkowę, w ten sposób, że podkowa była zamknięta od okien, a otwarta ku drzwiom do tylnego pokoju. Na czele siedziała pani Kolecka i inne starsze panie, Mieczysław usiadł sobie około Marji, pan Bernard nie był z tego zadowolony, że pani Cezaryna nie zajęła miejsca, więc bawił panią. Angoli wspomnieniami dawnych czasów, o których ona wszakże nie bardzo lubiła rozmawiać. Na szarym końcu, na rogu podkowy, około pana Rafała siedział pan oficjał Kanafarek i ostrzył sobie apetyt na kotlety, sarninę i inne dobre rzeczy, które mu się rzadko tylko widywać przytrafiało. Stół był dobrze zastawiony: trzy duże bukiety, piramidy z ciast i cukrów od Rotländera, kosze z owocami, nadspodziewanie ładny serwis z dawniejszej porcelany, wszystko to przyczyniało się, aby o goście gospodyni dobre dać wyobrażenie i pomimo mieszanego dość towarzystwa, nadać zebraniu pozory komfortu i elegancji. Towarzystwo jednak niedosyć było ożywione, pani Cezaryna widocznie siliła się na dobry humor, który jej nie przychodził na zawołanie, pan Mieczysław posiadający tam jeszcze może najwięcej kwalifikacji do ożywienia rozmowy, spoglądał milcząco przed siebie, słowem, nikt nie chciał wziąć na siebie ciężaru bawienia na głos towarzystwa, więc każdy po cichu z sąsiadem i sąsiadką rozmawiał, w skutek czego nie było gwaru i wesołości w pokoju, a słychać było tylko ciche szepty mężczyzn

i chichotanie młodych panienek.

Podczas tego przytłumionego usposobienia dał się słyszeć raptem z ulicy

chrypliwy głos, intonujący w najlepsze znaną, nam arję:

Ach wie betrügerisch, sind der Weiber Herzen...

Na głos ten pani Angoli zbladła, wzrok jej się przyćmił i widocznie całej siły

charakteru użyła, aby nie powstać i nie wyjść z salonu, ale słuchać dalej głosu,

który zdawał się na nią okropnie robić wrażenie.

Z obecnych nikt prawie nie uważał pomieszczenia pani Angoli, z wyjątkiem

Kanafarka, który siedząc naprzeciwko, nie spuścił jej z oka; nocny śpiew jednak

wywołał ogólny uśmiech na ustach towarzystwa i cieszą się, że ktoś w dobrym

humorze wraca do domu.

Śpiew wkrótce ustał, pani Angoli przybrała zwykły wyraz twarzy, ale zamyślenie i

brak wesołości zawisnął ogólnie na towarzystwie zgromadzonem u pani Cezaryny, a

goście po cichu wymykać się zaczęli.

W chwilę po kolacji wyszła pani Kolecka z Marją, a Mieczysław je odprowadził; w

godzinę zaś, już tylko hrabia Bernard i kilku młodzików zostało na pobjawisku,

na którym w nieładzie były porzucane pourywane falbany, koronki, pomięte

ordery kotyljonowe, kawałki bukietów i inne szczątki tego popisu próżności, co

się balem nazywa.

Hrabia Bernard już także zaczął miarkować, że czas wyjść, więc zbliżył się

jeszcze do koszyków z pomarańczami i cukrami, schował kilka cukierków do fraka

na pamiątkę i przyplął do pani

Cezaryny, zabierając się do ucałowania jej rączek.

— No cóż, uważałeś hrabio ? — mówiła Cezaryna — wszak prawdę mówiłam ?

— Niestety! widziałem dobrze — odpowiedział hrabia, w dziwny sposób wykrzywając głową.

— Pan Mieczysław nie kryje się już z tem nawet, że się żeni z panną Marją, mówił mi to wyraźnie, a jeżeli nie sprzeciwisz się stanowczo zachciankom młodego rozromansowanego chłopca, natenczas będziesz miał na sumieniu całą jego przyszłość.

Hrabia się zamyślił, zafrasował, nie wiedział, co odpowiedzieć, a czuł, że jakoś radzić potrzeba.

— Na mojem miejscu — mówiła dalej Cezaryna — natychmiastbym go stanowczo uwiadomiła, że jeżeli nie porzuci myśli żenienia się z panną Kolecką, składam w sądzie ostatnią moją wolę, w której oddaję cały majątek na stypendja, a zobaczysz, jak to będzie skutkować.

— Pani, ty jesteś aniołem stróżem moich myśli, nie wiem, jak ci mam podziękować

za tyle przyjaźni — z emfazą powiedział hrabia i ze skwapliwością chy-

tał za rączkę pani Cezaryny, składając na niej uroczysty, a zarazem sentymentalny pocałunek. — Tak! — dodał z powagą hrabia — postawię rzecz

kategorycznie, wydziedziczę go. — Hrabia zaczął następnie dziękować pani

Cezarynie za przyjemnie spędzony wieczór i polecał się jej łaskawej pamięci.

— Do widzenia, kochany hrabio — mówiła pani Cezaryna z czułym wejrzeniem — a nie zapominaj o swojej najlepszej przyjaciółce i częściej ją odwiedzaj...

Hrabia wracał uszczęśliwiony, rozmarzony i w tak dobrym humorze, że dał półtrzecia centa służącemu, który mu świecił po wschodach, a przyszedłszy do domu, z taką werwą ustawiał swoje lustra, stoły i stoliki, że najzręczniejszy baletnik nie byłby się dostał do jego łóżka, nieoprzewracawszy całego szeregu najróżnorodniejszych sprzętów.

X.

W tydzień po balu szedł Mieczysław powoli ze spuszczoną głową, z teatralnego gmachu do swego mieszkania na Nowej ulicy, a miał powody zmartwienia, albowiem był u stryja, i stary hrabia oświadczył mu z niezwykłą stanowczością, że nie życzy sobie jego małżeństwa z Marją, i że nie zapisze mu ani grosza, jeżeli on nie odstąpi od swego zamiaru. Mieczysław nie przypuszczał, że upór stryja posunie się tak daleko i sądził, że jeżeli dotąd hrabia Bernard dawał mu do zrozumienia, że ożenienie się z Marją zakwestjonuje sukcesję, to był to więcej postrach, aniżeli rzeczywisty zamiar uczynienia tak doniosłego kroku. Położenie Mieczysława wobec Marji stawało się przykrem, cała ich późniejsza egzystencja miała się opierać na spodziewanej sukcesji. Mieczysław nie miał żadnego stanowiska, żadnego zajęcia, i nie mógł narażać kobiety na niepewne losy, nie postarawszy się poprzednio o pewne utrzymanie. Marja dostałaby zapewne od pani Koleckiej jaki nie wielki dochód, myśl jednak że Mieczysław miałby żyć z tego dochodu i stać się ciężarem dla żony, była dlań nieznośny, i młody hrabia

nie byłby się nigdy odważył zamieniać z Marją ślubnej obrączki, nie mając poprzednio jakiego stałego zajęcia. Przyszłość więc niepokoiła go, nie wątpił bynajmniej, aby Marja idąc za przykładem większej części dzisiejszych panien, zerwała obecnie węzły ich łączące, na wiadomość, że Mieczysław będzie ubogim, Marja zanadto była kobietą u-cziwą, zanadto zresztą kochała Mieczysława, aby li tylko myśl podobną można jej było podsuwać. W każdym razie jednak był Mieczysław zdecydowany powiedzieć jej o tem, naturalnie kładąc za powód odjęcia mu sukcesji, inny jaki kaprys dziwnego stryja. Co zrobić? jak zrobić? w jaki sposób rozpocząć? — wszystkie te pytania tłoczyły się Mieczysławowi do głowy i szedł prosto do domu, aby jaki taki w tym

chaosie zrobić porządek, wytknąć sobie plan postępowania, myśl przewodnią, którejby się trzymać należało. Wszedłszy do kamienicy, chciał Mieczysław iść gdzieś aż na trzecie piętro, i własny tylko bilet na drzwiach przypomniał mu, że tutaj jego mieszkanie. Wprost ze sieni wchodziło się do pokoju Mieczysława. Był to duży pokój z dwoma frontowymi oknami, zdradzający we wszystkim zaniedbanie kawalerskiego pomieszczenia, gdzie właściciel gościem tylko bywa, a wszelkie wizyty odbiera w puszcze blaszanej na bilety, przymocowanej do drzwi. W głębi stało łóżko jeszcze nie pościelone, bo dochodzący lokaj przypadkowo się dzisiaj upił i nie

posprzątał w pokoju. Mówiąc nawiasem, ów służący co tydzień przez trzy dni się upijał

Na lewo pod ścianą, stała komoda z powysuwanemi szufladami, z których można było widzieć wyglądające chustki, kamizelki i bieliznę, dalej rozłożyła się kanapa wybita drelichem, przed nią stolik z kilkoma książkami, porzucanym tytunem i papierkami na papierosy, nad którymi dominowała lampa z pękniętym szkłem.

W ogóle w pokoju był najzupełniejszy kawalerski nieład.

Mieczysław nie wiedział jeszcze jak wyjść z przykrego położenia, trzeba było

koniecznie zrobić jakiś krok stanowczy, a krok taki w jego położeniu był

nadzwyczaj trudny, albowiem młody hrabia nie skończył żadnych nauk dających

utrzymanie, i nigdy w życiu na chleb nie zarabiał. Więc też obecnie stanął

nieporadnie oko w oko z rzeczywistością. — Trzeba było wstąpić na praktykę do

jakiejś służby publicznej, praktyka jednak nie dawała jeszcze dostatecznego

utrzymania.

Całą noc więc marzył Mieczysław nad wyborem przyszłego zajęcia, całą noc układał

plany, a nazajutrz zaraz z rana ubrał się we frak i postanowił pójść do księcia

X. mecenasa banków i kolei, który znał dobrze jego rodziców.

Nigdy jeszcze Mieczysław nie był tak zakłopotany i nigdy tak nie stracił

fantazji jak obecnie wchodząc do przedpokoju przyszłego swego protektora.

— Czy jest książę ? — pytał się Mieczysław wysokiego woźnego, noszącego na

kołnierzu stalowy monogram jednego z najpotężniejszych austriackich banków.

— Jest, ale obecnie ma u siebie jakiegoś pana.
Więc znowu oczekiwania, więc znowu tortury. Przyjmie mnie dobrze czy źle? jest
posada do rozdania czy nie ma? — pytania tego rodzaju kołem się
kręciły w myśli
Mieczysława i niecierpliwiły go do najwyższego stopnia.
Nareszcie wyskoczył jakiś jegomość ze drzwi prowadzących do
księcia,
rozpromieniony i rozczzerwieniony jak gdyby się skąpał w gorącej
wodzie, na
Mieczysława przyszła kolej do przedstawienia się finansowemu
mecenasowi. Dzięki
stosunkom rodziców hrabiego, konferencja dobrze wypadła, książę
obiecał mu nadać
za trzy miesiące wcale korzystną posadę przy kolei, na której mógł
mieć hrabia
sposobność odznaczyć się i szybko awansować. Zadowolony więc
Mieczysław z
obietnicy, powracał do domu, aby dalej rozmyślać, czy już teraz opo-
wiedzieć to
wszystko Marji, czy jeszcze się wstrzymać, a nadto rozpocząć zaraz
przygotowawcze nauki, które mu książę polecił poczynić, aby móżdż
zająć przyszłe
swoje stanowisko.
Z przyzwyczajenia zaglądnął Mieczysław do puszek na bilety, czy
przypad-
kowo nie był kto u niego? — i rzeczywiście znalazł tam list, a po
piśmie na
adresie poznał ze zdziwieniem, że to list od Marji.
Marja dotychczas nigdy do Mieczysława nie pisała, zdziwienie więc
jego było tem
większe.
List brzmiał jak następuje:
„Panie Mieczysławie! Ostatnia zabawa wiele mi nasunęła spostrzeżeń.
Widziałam
zamiary pani domu, i uważałam dobrze z jakim przymusem tańczyła
ostatnie dwie

figury kadryla. Spostrzegłam jednak więcej, aniżeli pan spostrzedz
mogłeś,
przypadkowo bowiem doleciało mnie po herbacie kilka słów,
wypowiedzianych przez
wiadomą, panią do hrabiego Bernarda, które mi kazały wnosić na
uknutą intrygę,
mającą się tem skończyć, że hrabia na publiczne cele swój majątek
zapisze.
Przypadkowo także dowiedziałam się, że pan wczoraj bardzo smutny i
roztargniony
wracałeś od swego stryja, a ponieważ przeciw zwyczajowi nie widzę
pana trzeci
dzień u nas, przeto z tego wszystkiego wnoszę, że pan mnie jeszcze
zupełnie nie
poznałeś, skoro z wszelką otwartością nie przyszedłeś mi opowiedzieć
o mniemanem
swojem zmartwieniu.
Niedowierzenie we mnie zasługiwałoby na karę, wymagam wszakże
tylko
przeproszenia. — Marja".
Mieczysław się zarumienił, że mógł chwilę tylko wątpić w stałość
Marji, i
wstydził się spotkać się z jej czystym, jasnym wzrokiem.
Przenikliwość kobiety
przechodziła jego przypuszczenia, nasz hrabia tym listem czuł się
zupełnie
pobitym i nie pozostawało mu rzeczywiście nic, jak iść do Marji i
postąpić jak
list rozkazywał — to jest Marję przeprosić. Wobec dziewczyny tak
łatwo
orientującej się w ludzkich stosunkach, nie można było nawet się
wypierać lub
jakiejś myśli ukrywać, ale trzeba było uderzyć się w piersi i wyznać
całą winę.
Hrabia więc nie tracił czasu, ale poszedł do domu pani Koleckiej.
Marja z uśmiechem na ustach przyjęła Mieczysława i podała mu
przygotowane już
zapytanie:

„A więc przeprosiny a nie tłumaczenie się?”

— Przeprosiny — odpowiedział Mieczysław i z szczerą otwartością opowiedział całe zajście z panią Cezaryną — naturalnie z wyjątkiem wrażeń w walcu doznanych — opowiedział jej dalej rozmowę ze stryjem i swoje z tego względu obawy, a nareszcie wizytę u księcia i dobre ztąd nadzieje.

„To wszystko?” — krótko zapytała Marja, pisząc te słowa na nieopuszczającej ją tabliczce.

— Wszystko — odpowiedział Mieczysław, rzeczywiście nic więcej sobie nie przypominając.

„Ładnego grano walca, nieprawdaż?” dopisała Marja.

Mieczysław zarumienił się, chciał się tłumaczyć, słowa jednak nie gładko płynęły, Marja mu wszakże ułatwiła tłumaczenie się, podając rękę, jak gdyby chciała powiedzieć, że wszystko przebaczone, skoro zakończenie było godne jego charakteru.

Stosunek młodych państwa wskutek tych zajść stał się tem ściślejszym, a wzajemne zaufanie stało się nieograniczonem. Mieczysław nabrał przekonania, że bystremu oczku Marji nic nie ujdzie, Marja zaś miała dostateczne dowody, że Mieczysław szczerze jest do niej przywiązany.

Jedna pani Kolecka nie najlepiej przyjęła wiadomość, o postanowieniu hrabiego

Bernarda, z drugiej jednak strony cieszyła się, że Mieczysław znajdzie sobie jakieś stałe zatrudnienie, a tem samem

da Marji większą gwarancję szczęścia.

W kilka tygodni po powyższych zajściach odbyły się zaręczyny Marji z

Mieczysławem, a we trzy miesiące narzeczony dostał bardzo korzystną posadę przy kolei, i z całym młodzieńczym zapałem wziął się do nowej pracy. Hrabia Bernard zrobił formalny zapis całego swego majątku na stypendja dla uczniów szkół krajowych.

XI.

Nie masz miasta uboższego w starożytne zabytki i piękne budowle, aniżeli Lwów, i słusznie go parweniuszem nazwano. Niesłusznie tylko mówią, że to „zbogacony” parweniusz, albowiem kilkadziesiąt porządniejszych kamienic trudno uważać za bogactwo miasta.

Szczałki starożytnego zamczyska na Piaskowej górze, św. Jur i wołoska cerkiew świadczą wprawdzie, że miasto nie powstało w sposób amerykański, ale zabytków tych tak mało, iż niewierzącego w dawną przeszłość miasta trudnoby nimi przekonać można.

Ostatnią, z budowli, dawniejszych sięgającej czasów, jest jeszcze klasztor

Bernardyński, przyjemnie odbijający swoją omszałą facjatą, od otaczających go domów podobniejszych do mydlarni, aniżeli wielkomiejskich mieszkań ludzkich; a

je-

żeli jest gdziekolwiek we Lwowie miejsce, gdzie umysł ludzki może być czem innym

zajęty, aniżeli akcjami angielskiego banku i rumuńskich kolei, to chyba tylko na

Wysokim zamku, przed świętym Jurem i przed Bernardyńskim kościołem.

Nie dziw więc, że Mieczysław obrał sobie ten kościół jako miejsce, gdzie miał w

uroczysty sposób przed ołtarzem ponowić śluby, które niejednokrotnie czynił

swojej Marji.

Pierwszego maja, publiczność będąca około siódmej po południu u Bernardynów na

wieczornem nabożeństwie jakoś powoli i leniwo się rozchodziła, grupy młodzieży

przystawały przed kościołem, ciekawsi zaglądali w ulicę ku Marjaekiemu placowi,

jak gdyby czegoś oczekiwali.

— Przyznam się, że to będzie ciekawy widok ślub niemej — mówił jakiś uliczny

elegant

— Żeby nie wiedzieć jak piękną była, tobym się z niemą, nie żenił — odpowiedział

drugi.

Ciekawość publiczności niedługo była na próbę wystawioną; państwo młodzi nie

dali na siebie czekać, gdyż kilka powozów zaturkotało, grupy ludzi przed ko-

ściołem stojące rozstąpiły się i orszak ślubny wszedł do kościoła.

Cisza zaległa starożytne mury, każdy wyteżonym wzrokiem spoglądał na niemą pannę

młodą, rozlewającą naokoło siebie niewypowiedziany urok. Biała ślubna szata

szczególnie odpowiadała jej usposobieniu, jej charakterowi, Marja przesuwiała się

przez kościół, jak gdyby jakiś duch nie z naszych pochodzący światów, jak gdyby

jakiś lotny ideał rozmarzonego poety, przybrany w suknię niewinności.

Dalecy kuzyni i kuzynki byli družbami przy tym ślubie, a orszak ślubny był

bardzo nieliczny, zaledwie bowiem z dziesięciu składał się osób.

Hrabiego

Bernarda nie było.

Pomimo nielicznego ślubnego orszaku, sympatyczne spojrzenia całej publiczności

towarzyszyły państwu młodemu do ołtarza, prowadziły ich przez cały kościół; jedno

tylko oko ukryte pod ciemną, woalką nie poszło za ogólnym prądem,
ale pilnie
zdawało się rozczytywać w książce do modlenia, rozłożonej na
kościelnej ławce.
Było to czarne namiętne oko Cezaryny. Pod amboną, w cieniu, w
czarnej sukni,
niepostrzeżenie siedziała nasza znajoma i raz tylko rzuciła na bok ba-
dawcze spojrzenie, ujrzała Mieczysława z pogodnym obliczem i
śmiałym czołem, i
znowu skromnie wzrok spuściła na książkę.
Państwo młodzi stanęli przed ołtarzem, czekali na księdza; przed
drzwiami
zakrystji wszakże powstał jakiś ruch niezwykły, jakiś szmer i
dopytywania się.
Tłumy zaczęły się cisnąć w tamtą stronę, rozciekawione, co się stało?
i dlaczego
ksiądz nie wychodzi, aby stulą połączyć młodą parę.
Po chwili ksiądz wyszedł, ale bez stulę, w czarną tylko ubrany
suknię;
przecisnął się do ołtarza, zbliżył się do pana młodego, powiedział mu
kilka słów
z cicha, a pan młody wyszedł za nim do zakrystji, blady, ale panujący
nad swoim
wzruszeniem.
W zakrystji stał woźny sądowy, komisarz policji i jeden z kanoników
kapituły
lwowskiej.
— Mamy sądowy rozkaz wstrzymania ślubu — mówił pękaty ksiądz
kanonik, któremu
twarzy prawie widać nie było z potrójnych podbródków — ważne
odkrycia
spowodowały sąd...
— Podle intrygi — przerwał wzburzony Mieczysław.
— Proszę pana pamiętać, gdzie się znajdujemy — świątobliwym
głosem reflektował
go ksiądz kanonik.
— Więc słucham — krótko odpowiedział hrabia.

— Ważne odkrycia spowodowały sąd — mówił dalej kanonik — do doniesienia nam,
abyśmy nie dawali ślubu.... kanoniczna bowiem przeszkoda zdaje się tu istnieć.

— Ależ jaka przeszkoda? — z niecierpliwością, zapytał Mieczysław.

— Są ślady nadzwyczaj blizkiego pokrewieństwa pomiędzy panem a pańską

narzeczoną; sąd przypadkowo znalazł akta, z których wypływać się zdaje, że panna

Marja Kolecka jest siostrą, hrabiego.

— Fałsz i brednie! — odrzekł Mieczysław.

— Prosiłem już pana o uszanowanie miejsca — mówił ksiądz kanonik

— o bliższych

szczegółach, które sprowadziły sąd na ślad tego pokrewieństwa,

będziesz się pan

mógł w sądzie przekonać; kościół ze swojej strony tylko oświadczyć musi, że

młodej parze pobłogosławić nie może, dopóki powyższa przeszkoda

nie będzie

rozjaśnioną.

— Więc nie mamy się nad czym zastanawiać — krótko odpowiedział

Mieczysław —

powrócił do kościoła, wziął narzeczoną pod rękę i odprowadził od

ołtarza.

Krew wrzała w Mieczysławie; przeczuwał on jakąś straszną intrygę,

jakiś podstęp,

którego w tej chwili rozwikłać nie umiał; zakaz sądowy rzucał

nietylko pomiędzy

niego a narzeczoną przeszkodę zawarcia małżeństwa, ale co więcej

uwiadomienie

pisemne, jakie otrzymał, mówiło, że Marja jest jego siostrą — siostrą,

o której

on nie wiedział, a z którą tem samem jego matka ukrywać się musiała.

Zakaz więc

sądowy był obelgą rzuconą cieniem jego matki, dla której dotychczas

zachowywał w

sercu swem prawdziwą miłość i której pamięć była dlań niepokalaną.

Odprowadziwszy narzeczoną, chciał Mieczysławbiegnąć do sądu,
wyzywać sędziów,
zarzucać im sprzedajność, mieszanie się w jakieś niedocieczone
intrygi; spokój
Marji jednak rozbroił go, kazał mu wstąpić na praktyczniejszą drogę,
na drogę
poszukiwania prawdy.

W całej scenie u Bernardynów Marja szczególnie zachowała spokój,
oko ani na
chwile nie straciło zwykłej łagodności, a w całej jej postawie znać
było tylko
pewną determinację, pewne poważne wyczekiwanie rozwiązania
trudności. Twarz jej
jednak zdradzała, że w duszy jej spokój panował, a głos wewnętrzny
kazał jej
wierzyć, że przeszkoda przez sąd rzucona jest nieprawdziwą. Znane
jej i pani
Koleckiej fakta nie dawały jednak żadnego wyjaśnienia, a cała sprawa
zdawała się
polegać na badaniach sądu.

XII.

W tym samym czasie, kiedy sędzia Kręcikiewicz przeprowadzał
zamiary pani
Cezaryny, nie spoczywał znany nam komisarz policji. Widzieliśmy go
w jednym z
poprzednich rozdziałów, jak wracał z głównej trafiki, gdzie zbierał
różne
informacje i szedł do Kasperka.
Otóż w trafice był komisarz, ażeby się dowiedzieć, czy tam Sara
Liebenfeld nie
zmieniała banknota na złr. Po długich wypytywaniach się
przypomniał sobie
rzeczywiście jeden z kupczyków, że na kilka dni przed otruciem Sary
zmieniał jej
setkę i że nawet pozna tę setkę, bo był na niej napisany z drugiej
strony numer
jakiejś obligacji. Właściciel trafiki więc otworzył kasę
wertheimowską, a setka

z numerem obligacji wkrótce się znalazła. Był to numer , serja A, prawdopodobnie obligacjiindemnizacyjnej. Aby się jednak coś bliższego dowiedzieć, udał się komisarz do biura indemnizacyjnego, gdzie mu powiedziano, że obligacja pod tym numerem została wylosowaną przy ostatniem ciągnienu, a jej właścicielką była pani Angoli, we Lwowie zamieszkała. Komisarz nie posiadał się z radości w skutek tego odkrycia, był bowiem na tropie poszukiwań, które do bardzo ważnych mogły doprowadzić rezultatów. — Zanotowany na setce numer obligacji zdawał się świadczyć, że żydówka była w pieniężnych stosunkach z panią Angoli. Stosunek ten jednak jeszcze nie był dowiedziony, mogło się bowiem wydarzyć, że banknot nie dostał się wprost do Sary od pani Angoli, że przechodził przez inne ręce, a w tym razie nie byłby ważnem odkryciem. Trzeba więc było więcej jeszcze nazbierać faktów, ażeby dobrze pewne można postawić wnioski. Komisarz brał się do dzieła ostrożnie, widząc, że ma przed sobą przebiegłego nieprzyjaciela, w którym najmniejszej nie potrzebaby wzbudzić nieufności i dlatego nie chciał jeszcze zasięgać wiadomości od służby i bliższych znajomych pani Angoli. Dowie-

dział się wszakże, że przed kilkoma tygodniami odprawiała się z tamtąd pokojowa będąca obecnie u matki w Żółkwi. Do niej więc posłał komisarz swego zaufanego, który się od niej dowiedział, że Sara Liebenfeld często bywała u pani Angoli, że

była u niej w wilję swej śmierci i po niemiecku sprzeczała się z nią,
bardzo o
jakiś , złr., że jednak rozmowa toczyła się po niemiecku, przeto
służąca
nie mogła takowej bliżej określić. Nadto opowiadała służąca , że pani
Angoli
miała wyjeżdżać do Wiednia, że nawet dlatego ją odprawiła, ale że
widać później
inaczej się namyśliła, skoro dotychczas mieszka we Lwowie.
— Dziesięć tysięcy! — wykrzyknął komisarz słysząc to opowiadanie
— a co, nie
mówiłem, że zmieniona setka i cyfra , doprowadzą mnie do celu w
badaniach;
ten sławny sędzia Kręcikiewicz szukał trucizny, chciał koniecznie
znaleźć
arszenik, na zmienioną setkę nie raczył uważać, zobaczymy, kto teraz
będzie
zwycięzcą!
Wszystko to wszakże było komisarzowi za mało, były ślady jakiejś
zbrodni,
jakiejś tajemnicy, jakim sposobem wszakże dojść do jej rozwiązania,
z tego sobie
jeszcze jasno zdać sprawy nie umiał.
Kasperek zdawał mu się być jakimś kółkiem w tej całej intrydze, a
słowa, które
powiedział w bramie: „dobrze jej za dziecko," nie mogły być bez
znaczenia.
Wiadomem było, że Kasperek do najwyższego stopnia nienawidził
pani Angoli i
zawsze schodził jej z drogi, o Cezarynie zaś zawsze wspominał, że to
anioł, że
się w niej kocha i t. d. Jak kucharz kasynowy powiadał, Kasperek
służył dawniej
u pani Angoli, mógł więc być w posiadaniu jakiejś tajemnicy.
Zadaniem więc komisarza było wkraść się w zaufanie Kasperka i w
tym też celu
proponował mu wziąć go za tenora do swego zmyślnego
provincjonalnego teatru.

Tajnem też nie było we Lwowie, że i pani Angoli nie lubiła się spotykać z Kasperkiem, komisarz więc był ciekawym, o ile ta wzajemna antypatja leży w przypadkowych, czy też w rzeczywistych przyczynach. Przez kilka dni wodził on Kasperka po ulicy, chcąc spotkać panią Angoli i wyczytać z jej twarzy, jakie on na nią robi wrażenie, gdy jednak nigdzie jej na mieście widać nie było, musiał się wziąć do podstępu, sprowadzić Kasperka pod okna pani Cezaryny właśnie wtedy, gdy oficjał Kanafarek z jego polecenia najdokładniej mógł obserwować twarz pani Angoli. Podstęp się udał; pani Angoli jakeśmy to widzieli, rzeczywiście bardzo się zmieszła, słysząc niespodziewanie śpiew Kasperka. Po wieczorze więc u pani Cezaryny pan Mordner nie miał już żadnej wątpliwości, że pomiędzy Kasperkiem a panią Angoli trzeba szukać końca nitki, po której do kłębka dójść będzie można. Cała trudność w tem leżała, że Kasperek ukrywał się z tem wszystkim, co się tyczyło jego stosunku do pani Angoli i z trudnością tylko jego zaufanie dałoby się pozyskać. Innej rady jednak nie było, komisarz zresztą był na dobrej drodze, trafił bowiem w jego najsłabszą stronę, w zamiłowanie do śpiewu, a wmawiając w niego, że może być nadzwyczaj użytecznym na scenie, w najwyższym stopniu schlebiał jego próżności i powoli zyskiwał sobie jego zaufanie. Dziwna to była natura tego Kasperka, prawdziwe studjum patologiczne; z jednej strony znać było w nim pewien spryt wrodzony, pewien instynkt do

szlachetniejszego życia, z drugiej strony każdy taki popęd był w
połowie
złamany, spaczony, a tem samem zdawał się jakimś
śmiesznem wytężeniem, pochodzącem z chorobliwego umysłu.
Przyzwyczajaliśmy się w
ludziach prostych, w ludziach co ich tłoczy ubóstwo, a których
mieszkaniem
ulica, nie szukać uczuć, a za ostateczną, sprężynę ich życia i działania,
uważać
zwierzęcy popęd do zaspokojenia codziennych potrzeb, a przecież sąd
ten bardzo
powierzchnowy, a nieraz w postaci otulonej w wytarte suknie,
kryjącej się za
bramą kamieniczną, więcej spotkamy moralnego życia, więcej
ciekawych zagadek,
aniżeli w człowieku, co w pięknym kapeluszu, z trzcinową, laseczką
lornetuje
przechodzący świat niewieści.
Każdy kto się bliżej przypatrzył Kasperkowi, z łatwością spostrzegł,
że nie jest
to człowiek zwyczajny, nie jest to nawet pospolity warjat,
kwalifikujący się do
szpitala obłąkanych, ale że w tym człowieku jest jakaś szlachetniejsza
podstawa,
która dziwnymi jakimiś stosunkami złamana została; że w tym
małym człowieczku
potężne jest serce i potężne niegdyś były namiętności.
To serce, te namiętności, nieumiejące się poddać zwyczajnym
formom, raziły swoją
naiwnością, swoją dziwacznością, a ludzie, którzy pewne zjawiska
serca i
umysłu ludzkiego pod jednakiemi tylko przyzwyczajali się widywać
formami, tacy
ludzie nie widzieli w Kasperku, jak tylko głupca, robiącego się
śmiesznym, aby
tem łatwiej wyłudzić szóstaka lub dobre cygaro.
Były dni, w których Kasperek nie wychodził nawet zupełnie ze swej
komórki pod

schodami, był smutny i zadumany, i nie przychodził do kasynowego kucharza na zwykły obiad, kiedyindziej znów z werwą kłaniał się wszystkim przechodzącym, życzył „dzień dobry” i śpiewał za porządkiem wszystkie miłosne arje, jakie tylko zapamiętał z przedstawień teatralnych w skarbkowskim teatrze. Czasami zdawał się mówić wcale rozsądnie, kiedyindziej przeciwnie dziwne rzeczy opowiadał o królowej swego serca, o poświęceniach, jakie człowiek dla kobiety którą kocha, robić powinien.

— Nie prawdaż, panie Mikołaju, — mówił raz Kasperek do kasynowego kucharza, gdy dostał od niego dobre kotlety,— nie prawdaż, że wzajemność niepotrzebna do prawdziwej miłości?..

Kucharz się roześmiał, ruszył ramionami, a Kasperek nie czekając odpowiedzi już zmienił front i kłamał się komuś przechodzącemu, życząc mu wszelkich pomyślności, pomimo że to nie były jego imieniny.

Pan Mordner poznał dobrze Kasperka i wiedział, że w jego niedorzecznych na pozór zapytaniach jest wiele prawdy, i że z nich światło zaczerpnąć może, więc też zaczął ciągle z Kasperkiem utrzymywać stosunki, chciał go zbliżyć do siebie, w czem niemałą, miał trudność. W kilka dni po balu u pani Cezaryny odszukał komisarz Kasperka i powiedział mu, aby zebrał swoje graty zpod wschodów w teatrze, bo ma dla niego miejsce pierwszorzędnego tenora w prowincjonalnej trupie. Kasperek zrazu nadzwyczaj się cieszył, przyrzekł, że jutro się stawi na

umówionem miejscu i powtarzał ciągle, że przecież znalazł się
człowiek, który
się na nim poznał.
Komisarz chciał go pod tym pozorem ściągnąć do jakiegoś domu na
przedmieściu,
będącego w porozumieniu z policją, i sądził, że skoro Kasperek
znajdzie tarczę
przyjazne przyjęcie i wygody, do jakich pod wschodami nie może być
przyzwyczajonym, natenczas stanie się przystępniejszym i łatwiej w
swoich
rozmowach zdradzi się z czemś, coby na jego stosu-
nek do pani Angoli jakie takie światło rzucić mogło.
W jednym z domków na Łyczakowie mieszkała żona niskiego
policyjnego urzędnika
pani Królikowska. Duża, czarna, otyła kobieta, pełna śladów przebytej
ospy, z
małymi szybko biegającymi oczkami, nie mająca dzieci, trudniła się w
wolnych
chwilach pomaganiem mężowi w różnorodnych śledztwach... Do pani
Królikowskiej
zaprowadził pan Mordner Kasperka, mówiąc mu, że tutaj kilka dni się
musi
zabawić, dopóki dyrektor prowincjonalnego teatru nie przyjedzie i nie
będzie go
mógł zabrać z sobą.
— Bardzo mi przyjemnie chwilowo przynajmniej mieć pana u siebie
za gościa, —
trzępała szybko pani Królikowska, widząc wchodzącego Kasperka, —
słyszałam już
nieraz o pańskim znakomitym talencie. Mój dom chociaż ubogi, ale co
ma, tem rad
panu będzie.
Kasperek trochę się z ukosa popatrzył na czarną, kobietę, oddawna go
bowiem coś
podobnego nie spotkało, aby go przyjmowano w dom z takimi
grzecznościami, ale
nie stracił przytomności, tylko wyobraził sobie, że jest wielkim
panem, i

nietylko nie ze zbyt dużą wdzięcznością,
ale nawet z pewną dumą i godnością przyjmował zaprosiny.
Chcąc się wywdziękzyć za grzeczne przyjęcie, zaczął Kasperek
bezustannie śpiewać
u pani Królikowskiej, z czego gospodyni niebardzo była zadowolona,
ale musiała
znosić wybuchy talentu małego gościa, chcąc się tembardziej zasłużyć
komisarzowi
policji.
Kasperek rozgospodarował się jak u siebie, starał się o ile możliwości
otoczyć
wygodą, a pani Królikowska co chwila to rozpoczynała z nim
pogadankę,
sprowadzając ją nieznacznie na panią Angoli, lub na panią Cezarynę.
O Cezarynie
też z chęcią Kasperek rozmawiał i zaraz wpadał w ton czułościowy,
miłosny, co
nie mało śmieszyło tłustą panią domu, widzącą przed sobą karła,
którego trudno
było na pozór posądzić o wielkie miłosne zapały. Gdy jednak
rozmowa zesłała na
panią Angoli, Kasperek tak zręcznie zaczynał mówić o czym innym,
albo wprost
mówić przestawał, że pani Królikowska była w desperacji, co począć,
aby małemu
człowieczkowi wyrwać tajemnicę, tem bardziej, że oprócz interesu
zaczynała ją
już trawić kobieca ciekawość.
Minęło trzy, cztery dni, wszelkie próby na nic się nie przydały,
Kasperek
milczał jak zaklęty, pomimo, że w dobrym był humorze i wcale mu
się podobało to,
jak je nazywał, „artystyczne życie”. Pani Królikowska nocami nie
sypiała, ale na
palcach podchodziła pod stancjokę Kasperka i słuchała, czy
przypadkiem przez sen
z czemś się nie zdradzi, ale wszelkie nadzieje zawodziły.

Był jeszcze jeden sposób, którego pani Królikowska spróbować postanowiła, a mianowicie upoić Kasperka i w ten może sposób trafić na gadatliwą u niego chwilę. Więc też szanowna gospodyni pod pozorem jakichś urodzin czy imienin, przyniosła kilka flaszek wina, zaprosiła jeszcze jakiegoś sąsiada i dalej częstować Kasperka. Mały człowieczek jednak zgrabnie się wykręcił, powiedział, że to nie w dobrym tonie dużo pić i przestał na kilku kieliszkach, które mu bynajmniej przytomności nie odebrały. Wino jednak było, trudno go więc było wylać za okno, to też pani Królikowska ze sąsiadem raczyć się zaczęła i zamiast upoić Kasperka, dobrze sobie podchmieliła.

— Jacy to ordynarni ludzie — powtarzał sobie Kasperek widząc jak pani Królikowska niekoniecznie estetycznie obchodziła się w końcu z kieliszkiem, założył ręce w tył i chodził po pokoju największymi krokami, na jakie się mógł tylko zdobyć.

Pani Królikowska należała do rzędu tych ludzi, którzy podochociwszy się, bardzo są, serdeczni i czuli, więc też po godzinie raczenia się z sąsiadem, zwracała się pani domu coraz bardziej do Kasperka ze swemi afektami.

— Panie Ka-a-sperku — mówiła Królikowska, nieczując już zupełnej siły w bardzo zresztą, dobrze uformowanym języku — czemu pan ta-a-ki nie dobry i nie po-o-owie nam coś o pa-a-ni Angoli. Ko-omisarz nie da mi na-agrody, ja-ak mu nie będę wie-edziała nic o-po-owiedzieć. Co to by-yło z tem dzie-eckiem ? pa-anie Ka-a-sperku, po-owiedzże pa-an?

Słyszając tak otwartą spowiedź z ust pani Królikowskiej, zbladł Kasperek, zakręcił się po pokoju, a gdy pani domu już niewiele wiedziała o bożym świecie, zabrał swoje manatki i czempredzej, nikomu nic nie mówiąc, uciekał do miasta, do teatru i zajął znów swoje zwyczajne mieszkanie pod wschodami.

— Gdzieżście to byli panie Kasperku? — pytał się go nazajutrz kasynowy kucharz.

— Chcieli mnie, panie dobrodzieju, wziąć za pierwszego tenora do jednego z prowincjonalnych teatrów, ale nie przystałem na warunki, wolę życie swobodne, jakie tutaj prowadzę; powiadam panu dobrodziejowi, niema jak swoboda!

— Ot nie gadałbyś głupstw mój Kasperku, ktoby cię tam chciał za tenora? beczysz jak baran, a powiadasz, że śpiewasz...

— Panie Błażeju, będziesz pan miał ze mną, do czynienia! ja sobie w oczy obelg mówić nie dam! — z energią odpowiedział Kasperek i stanął na palcach, tak, że go o kilka cali przybyło. — Będę żądał satysfakcji — mruzczał Kasperek odchodząc od kucharza i dwa dni się u niego nie pokazał, pomimo, że był głodny, dopiero Błażej musiał chodzić pod wschody i przeproszać Kasperka, ażeby się dał uprosić i żył znowu w zgodzie z jego kotletami.

— Tym razem jeszcze panu przebaczam, panie kuchmistrzu — mówił Kasperek z dumą i powagą i wyciągnął rękę Błażejowi.

Pani Królikowska, przebudziwszy się nazajutrz po odejściu Kasperka, niemało się zdziwiła, gdzie się podział gość i zaczęła natychmiast przeszukiwać wszystkie komody i szafy, czy jej nie zginęła jaka łyżka srebrna, albo pierścionek będąca

pamiętką z młodszych czasów. Wszystko jednak było na swoim miejscu, nic nie

brakowało. Sądziła więc, że Kasperkowi znudziła się niewola, że człowiek taki

rozwłóczony na miejscu kilka dni wysiedzieć nie potrafi.

— Więc nic pani od niego nie mogłaś się dowiedzieć? — pytał się pani

Królikowskiej pan Mordner.

— Nic, proszę pana komisarza dobrodzieja, to jakiś dziwaczny człowiek, milczy

jak zakłęty; musi mieć nieczyste sumienie, dawałam mu pić wina, myślałam, że po

pijanemu się wygada, ale bieda nie chciała pić; ja panu komisarzowi powiadam, że

to niedobry człowiek, że on coś bardzo ciężkiego ma na sumieniu.

Niech mi pan

komisarz wierzy, ja mam w tem praktykę i po oczach poznam, że w człowieku licho

zamieszkało.

Komisarz nie wiedział, co dalej począć: aresztować Kasperka nie było za co,

zresztą p. Mordner obecnie nic z sądem nie chciał mieć do czynienia, trzeba było

w inny sposób poszukiwać prawdy.

XIII.

Dominikańską ulicą we Lwowie szła dwudziestoletnia może dziewczyna powolnym

krokiem i ze spuszczoną głową, skromnie ale czysto była ubrana w Czarną

brukselinową suknię i słomiany kapelusik ze spłowiałą już wstążką. Szczupła,

blondyna należała do tego rodzaju kobiet, które nie uderzają ani regularnemi

rysami, ani wzorową pięknnością, ale przecież nadzwyczaj miłe robią wrażenie, i

po pierwszym wejrzeniu zyskują najzupełniej naszą sympatję.

Dziewczynka tem bardziej zwracała na siebie uwagę, że na jej twarzy rozlany był

głęboki smutek, a oko nie wyschnięte jeszcze po ostatniej łzie, nowe zapowiadało cierpienia.

Przeszła ona koło narożnej apteki, zatrzymała się cokolwiek, jak gdyby myślała:

wejść czy nie? ale jeszcze z wię-

kszym smutkiem poszła dalej, niepewnym krokiem, jak gdyby nie wiedziała gdzie

podążać zamierzała.

Złotniczy sklep Ostrowskiego zwrócił znów jej uwagę, któraż dziewczyna bowiem

nie zatrzyma się przed gablotką, gdy tam zobaczy brylantami zdobione kolje,

pierścionki z szafirem, lub bransolety z napisami, majacemi świadczyć o

najprzyjemniejszych dniach w życiu.

Dziewczyna więc zapatrzyła się na wystawę kosztowności, w którychby jej tak

pięknie być mogło, i ani uważała, że tuż za nią stał jakiś młody, elegancki,

wybladły mężczyzna, z okiem zasłoniętym cwikiem na cienkim czarnym sznureczku.

— Jeżeli pani zechcesz, mogę jej służyć tamtą bransoletą? — z nienacka zagadnął

nieznajomy dziewczynę.

Dziewczyna się zarumieniła, zrobiła ruch jak gdyby chciała uciekać, ale się

zatrzymała, widocznie pieszcząc się jakąś nową myślą.

— Proszę tylko słówko powiedzieć — mówił młody człowiek — a wejdę do sklepu,

mieszkam w bliskości, w rynku pod nr. na drugim piętrze.

Dziewczyna jeszcze się zawahała, na

ustach jej już osiadał prawie złowrogi wyraz „dobrze”, ale w ostatniej chwili

się odwróciła, zaczęła szybkim biedz krokiem, i rzewnemi zalała się łzami,

spuszczając czempredziej woalkę, aby oczu jej widać nie było.

„Głupia! ” — powiedział nieznajomy, odwrócił się i nie uważał nawet że w tej samej chwili dwie panie wyszły ze sklepu i szybkim krokiem udały się w stronę, w którą poszła dziewczynka. Była to pani Kolecką z Marją. W godzinę później sama Marja zajeżdżała dorózką, przed ubogi domek na Chorążczyźnie, tuż pod cytadelą — była w czarnej sukni całkiem zawołowana, i szybko zbiegła w niskie drzwi na prawo. Naprzeciw niej z rozpromienioną twarzą wyszła dziewczynka, którąśmy widzieli przed sklepem Ostrowskiego, a była nią Julcia córka znanego nam oficjała Kanafarka. Marja zrobiła tego rodzaju gest, jak gdyby się chciała Julci zapytać co się tutaj stało? Dziewczyna zrozumiała to zapytanie, i za całą odpowiedź wskazała Marji na łóżko stojące w drugiej stancyjce, na którym leżała jej chora matka. Marja przybliżyła się do chorej, ale pokój przedstawił jej dziwny obraz nędzy i opustoszenia, prócz dwóch łóżek, stołu, kilku krzeseł i komody nic nie było w pokoju, dwoje tylko drobnych dzieci siedziało na ziemi w kącie pod piecem, ale z oczu ich nie widać było bynajmniej dziecięcej swobody i wesołości, a pewien przedwczesny smutek i przygnębienie rozlane już było na młodziutkich twarzyczkach. Wszystkie twarze rozpromieniły się na widok wchodzącej Marji, a w przygasłym nawet oku schorowanej matki, widać było pewien przelotny wyraz zadowolenia. Nie potrzeba było długich pytań i opowiadań, aby zrozumieć obraz przedstawiający

się w dwóch izdebkach — to też Marja natychmiast pojęła smutne położenie ubogiej rodziny.

„Czemuście do mnie nie przysłali?" — pytała się Marja pisząc te słowa na nieodstępującej ją pargaminowej tabliczce.

— Tyle dobrodziejstw pani nam zawsze świadczyłaś —

odpowiedziała Julja — że

byłoby z naszej strony nadużywaniem jej dobroci, gdybyśmy jeszcze się do niej

udawali, chociaż... kto wie? dzisiaj musiałabym się była udać do pani, czeka-

łam tylko na ojca, który jeszcze miał nadzieję, że dostanie w urzędzie zapomogę.

Nędza doprowadziła nas jednak do ostateczności, matka od dwóch tygodni chora,

wierzyciele nam nie dają spokoju, stryj co miał traktjernię na Syxtuskiej ulicy,

zasekwestrowany i sam w wielkich jest kłopotach, a mój narzeczony nawet od kilku

tygodni nie jest obecnym we Lwowie.

„A gdzież pan Mordner?" — szybko zapytała Marja zwykłym sposobem.

— Pojechał na Węgry, o ile wiem wysłany przez policję w sprawie, która i panią obchodzi.

„Czy odkrył co?" — napisała Marja.

— Niestety jeszcze nie wiele, wszystko obraca się w samych podejrzeniach,

dowodów jednak nie ma.

Marja gorzko się uśmiechnęła.

— Niech pani ma w Bogu nadzieję, że wszystko się dobrze skończy

— pocieszała ją

Julcia — mnie się zdaje, że w tem wszystkim tkwi jakaś intryga

Kręcikiewicza,

bo to człowiek niedobry.

Rozmowę przerwał wchodzący Kanafarek.

— Bóg nam panią zsyła — mówił stary witając Marję — przybywasz
zawsze

do nas kiedy pani najbardziej potrzebujemy, ostatnie nas zawiodły
nadzieje

odmówiono mi zapomogi; pan sędzia Kręcikiewicz powiedział, że
pensja, którą

pobieram, powinna mi wystarczać, a że mam długi to sam sobie
jestem winien...

zapewne! sam sobie jestem winien — powtórzył stary, a łza
zwątpienia i rozpaczy

zabłysła w jego oku.

„Co mam pożyczać, jak będziecie mieli oddać” — napisała Marja i
położyła na

stoliku banknot storeńskowy.

— Bóg zapłać dobra pani — odpowiedział stary — niechaj szlachetne
twe serce

zwycięży szczęśliwie ludzkie intrygi.

Marja nie chciała słuchać podziękowań, więc podała rękę stroskanemu
ojcu rodziny

i młodej dziewczynie, i czempredzej wyszła z domu, gdzie już nie po
raz pierwszy

szczęście przynosiła. Widziała ona dobrze Julcię przed sklepem
Ostrowskiego,

była tam bowiem z ciotką i dorozumiała się, czego od niej żądał
przybliżający

się mężczyzna. Zobaczywszy zaś rumieniec na twarzy dziewczęcia,
jej chwilowe

pasowanie się z upokarzającą ją propozycją, a potem łzy rozpaczy w
niewinnych

oczach, domyśliła się, że biedne dziewczę w wielkiej musi być

potrzebie, że jakaś gwałtowna odbywa się w niej walka; więc wzięła
co miała

pieniędzy i pojechała do ubogiego domku na Chorążczyźnie.

Marja niosła drugim pociechę, wiedziała bowiem dobrze, jak bardzo
każde cięższe

zmartwienie obarcza serce człowieka, jak go przyciska i tłoczy, chcąc
zeń

ostatni wydobyć oddech. Nie każda kobieta potrafiłaby była znieść taką stanowczością i z takim spokojem ciężkie próby, na jakie Marja w ostatnich czasach była wystawioną. Nie lubiła się ona skarżyć przed ludźmi, nie wywodziła lamentów, ale tem większa gorycz rozpościerała się w jej sercu, o ile że musiała tłumić w sobie cierpienia i we własnym rozumie szukać na nie lekarstwa.

— Przypuśćmy, że jestem jego siostrą— myślała Marja — że miłością kochanków kochać nam się nie wolno, że istnieje pomiędzy nami przepaść spowodowana pokrewieństwem, przepaść, której nic w świecie zrównać nie potrafi, na której żaden architekt świata pomostu rzucić nie zdoła. Wtedy nie masz zakątka ziemi, gdzieby nie powiedziano, że miłość moja jest zbrodniczą, że powinnam zabić uczucia, że powinnam je zamienić w lód, a tam, gdzie dzisiaj gwałtowny bucha płomień, stworzyć bezdenną, próżnię, próżnię bez światła i ciepła.

— Nie! ja tej myśli nie zniosę, ja pojedę z nim w kraje, gdzie nas nie znają, gdzie nikt nam nie będzie mógł wytknąć kościelnej przeszkody, gdzie nie będzie człowieka, coby z podłą intrygą stanął nam w drodze. Pojedę z nim do Ameryki, gdziekolwiek zechce, aby go móżd tylko kochać miłością, pełną, wielką, potężną, ja nie chcę mu być siostrą, ja nie chcę być jego krewną... ja chcę być jego kochanką, ja chcę być jego żoną!

— Jeżeli nam tutaj nie wolno oddychać powietrzem miłości, więc musimy szukać

gdzieindziej przyjaźniejszego nam świata, musimy innem zacząć
oddychać
powietrzem.

— On moim bratem? — powtarzała nieraz Marja w rozpaczycy — więc
dlaczegoż
pozwoliła Opatrzność zrodzić się w mem sercu tej miłości, która sięga
poza
rodzinne węzły?.. dlaczegoż nie uczułam do niego wstrętu, albo nie
mam dla niego
li tylko przyjaźni?... Nie! ja nie jestem jego siostrą... to być nie
może!...
sumienie, głos wewnętrzny powiada mi, że to fałsz, że to ludzki
wymysł.

— Ha! tak... to moje przekonanie; ale czy świat się tem przekonaniem
zadowolni,
czy mi nie rzuci w oczy pogardę, czy mi nie powie, że okłamuję siebie
samą, że
największej zbrodni przeciw rodzinie staję się winną?.. Ludzie staną i
będą na
mnie spoglądać, jako na podłą kochankę własnego brata, jako na
najniższą w
świecie istotę!... Czemże tych ludzi przekonam, gdzież znajdę dowód,
którymbym
ich zdanie przemienić mogła i powiedzieć: że podli, że kłamią, że całe
ich
społeczeństwo oparte na zbrodni i na intrydze!..
Wśród takich refleksji opadały siły biedną dziewczynę, była na chwilę
bezradną
niepocieszoną; będąc niemą, nie mogła wyrzucić z siebie strumienia
myśli i słów,
które tłoczyły jej umysł i jej wyobraźnię, więc te myśli i te słowa
gromadziły
się i rosły w nieskończoność, a piękna główka zdawała się nie
wytrzymać tego
prężenia, nie mogła znaleźć rady, nie mogła znaleźć ratunku.
Są chwile w życiu człowieka, chwile nagłych ciosów, wielkich
zmartwień, gdzie

dusza nasza tak jest obarczona ogromem boleści i tak ulega tej
przemocy, że
zdaje się jej, iż już nie ma ratunku, nie ma
wyjścia, że jej moralna egzystencja musi być zgruchotaną, że jej życie
skończyć
się musi. W takich chwilach kipiących boleścią i grozą wyrywa się z
ust, co
jeszcze mówić umia, wyraz: „ja oszaleję”, „ja tego cierpienia nie
zniosę”. A
potok narzekań i głośno wypowiedzianych refleksji jest podobny do
konduktora, co
sprowadza pioruny i czyni je nieszkodliwymi. Z niejednym
rozpaczliwym słowem
uleci niejaka część tych ołowianych ciężarów, co piętrzą się w
ludzkim umyśle.
O ileż trudniej jednak było przebyć osobie niemej te stanowcze
chwile,
przywrócić równowagę w sercu i w głowie. Nie każdy ją pojąć
potrafił, nie każdy
się nawet spodziewał, jakie tam siły w niej staczają walki, jakie tam
siły
występują do bojowego szyku. Twarz jej była zawsze spokojna i
cicha, jak
powierzchnia morza, pod którą rwie się szalony prąd od wschodu ku
zachodowi, i
wyrzuca ze siebie wszystkie jestestwa, albo je ściera na miazgę.
Jeden Mieczysław miewał chwile, w których zdołał odczytać
cokolwiek z
hieroglifów pisanych na tym niewieścim sfinksie, on jeden umiał się
włożyć w tok
jej myśli i od czasu do czasu chwycić
pasma jej uczuć; ale od czasu, jak straszna przeszkoda stanęła
pomiędzy nim a
Marją, Marja rzadko się z nim tylko widywała i to w obecności swej
przybranej
matki, żądała bowiem sama tego stanowczo, ażeby ich wzajemne
stosunki

sprowadzone były obecnie li tylko do rozmowy spowodowanej
potrzebą usunięcia
przeszkody ślubu; poza ten przedmiot ich rozmowa wychodzić nie
mogła, Marja
bowiem nie chciała dawać światu powodu do gorszenia się ich
dziwacznym może
stosunkiem.

Więc też i z Mieczysławem dłuższych nie chciała prowadzić rozmów,
nie chciała
zwierzać mu się ze swych gwałtownych: uczuć i niepokojów,
wiedząc, że i on
równie jak ona cierpi, a skargi z jej strony ból ten tylkoby
powiększały.

A miłość u Marji nie była tem tuzinkowem uczuciem, tą igraszką
fantazji, jaka
się stała w znacznej części dzisiejszego zdemoralizowanego świata;
ogarnęła ona

jeszcze całe jestestwo kobiety i żyła i drgała w każdym jej nerwie.

Powiadają,
że miłość jest najwyższym egoizmem... nie przeczę, ale ten egoizm
pobudza nas do

największych poświęceń dla ukochanej osoby, bo w niej niejako
siebie kochamy. Marja w tem rozumieniu kochała Mieczysława,
onaby się była

wyparła świata, byłaby umarła dla ludzi i dla społeczeństwa, gdyby
przeszkoda

ich połączenia się nie mogła być usuniętą.

U Mieczysława, jak u każdej duszy hardej i potężnej, każda
przeszkoda tem

bardziej powiększała uczucie dla Marji. Kochał on ją, bo był
rzeczywiście

przekonanym, że więcej serca, więcej uczucia w żadnej nie znajdzie
kobiecie, a

Mieczysław był sierotą i umiał poznać wartość serca, umiał spostrzedz
ten

klejnot, po którym się powinno cenić człowieka. Widział on u niej
serce jasne,

przejrzyste jak krzyształ, niekryjące żadnych tajników, ale promieniejące czystym nieukrywającym się uczuciem. Mieczysław był wdzięcznym swojej narzeczonej, że prawie od pierwszego poznania nie kryła się z tym uczuciem ku niemu, ale z naiwnością wieśniaczki wzajemnością mu odpłaciła; nie nawidził on bowiem tych serc skrytych na dzisiejszą modę, które się zdawają wstydzić miłości, które starają się zabić pierwsze zarody miłości, aby ich ktoś nie zechciał posądzić: że się kochają; boć przecież obecnie wiek rozumu, wiek rozwagi i pieniędzy, nieprzypuszczający uniesienia i przyglądający się mu z ciekawością i z ironicznym uśmiechem na ustach!

Dla tego też serce Mieczysława było rozranionem ostatnimi wypadkami do najwyższego stopnia, a serce to tem bardziej bolało, o to, że i tam miało ranę, gdzie była przechowana miłość pamięci matki. Miłość działa tylko na piecuchów i ludzi bez energii i hartu duszy w sposób denerwujący i usypiający, takich tylko wprowadza ona w stan beczynności, przesuwa im piękne sny i marzenia w umyśle, zawiązuje im ręce, kładzie spokojnie w fotelu i każe śnić bezużytecznie.

Ludzi jednak z przeciwnymi usposobieniami zagrzewa ona owszem do działania; być może zresztą, że każe wyteżać to działanie w tę stronę, gdzie stanął jej ideał, ale w każdym razie nie pozwoli spoczywać, nie pozwoli palić nargiki, albo upajać się haszyszem.

Mieczysław też należał do tych ostatnich ludzi, nie zrażał się
bynajmniej
niepowodzeniami, i nie zaczął śnić i marzyć spokojnie, delektując się
ckliwym
bólom serca, ale natychmiast zerwał się z całą energią do działania,
podwoił
siły i postanowił wszelkich użyć sprężyn, aby od-
kryć ludzką złość i fałsz, albo upaść w tej walce nie z kontuzją, na
ramieniu,
ale z raną w sercu, po której się więcej nie wstaje.
Główną podstawą podejrzenia, które rzucono na Marję, iż ona jest
jego siostrą,
było to, że Mieczysław miał siostrę niemą, i że ta siostra nie umarła.
Dowieść
więc, że umarła, z pod ziemi wydobyć metryki, pójść na tamten świat
i piekła
wyjąć z paszczy świadectwa prawdy — to było jego obecnym
zadaniem. Sędzia
pokazywał mu pisma przesłane przez ambasadę austriacką we
Włoszech, mówiące
wyraźnie, że w metrykach we Florencji najmniejszego nie ma siadu,
jakoby niema
córka hrabiny Zgodzkiej mieszkającej tam przed kilkunastu laty
umarła, lecz
owszem, że policyjne pod tym względem poszukiwania, natrafiły na
ludzi
pamiętających hrabinę Zgodzką i poświadczających, że hrabina
wyjechała z niemą
córeczką.
Mieczysław przedewszystkiem wierzył swej matce, przypominał on
sobie dobrze, że
matka mu w dziecięcych latach opowiadała o małej siostrzyczce, która
we Florencji
umarła, i przypominał sobie uczucie, jakie ta smutna wiadomość na
jo-
go młodem podówczas wywarła sercu. Przekonanym więc był o fałszu
doniesień

austrjackiej ambasady, i postanowił sam się udać do Florencji,
wyszukać dawnych
swej matki znajomych, przetrząść metryki urodzin i śmierci, wywołać
wszystkich,
coby z jej matką w jakiegokolwiek byli styczności, i wezwać ich na
świadeństwo
prawdy.
Zwierzył on się z całym tym projektem Marji, zresztą nikomu o nim
nie
powiedział, zanadto dobrze znał już bowiem złość ludzką, aby się nie
miał
obawiać jej sideł, jej zabiegów, w celu udaremnienia poszukiwania
prawdy. Marja
zupełnie podzielała myśl Mieczysława, a chociaż z przykrością
przychodziło jej
na chwilę się z nim rozłączyć i nie widzieć codziennie jego uroczej
dla niej
postaci, przecież z łatwością zwyciężyła chwilową boleść i
najenergiczniej
przyczyniała się do spełnienia zamiarów Mieczysława.
Nasz hrabia z łatwością wystarał się o kilkumiesięczny urlop, wszyscy
jego
przełożeni bowiem byli przekonani, że chce na jakiś czas oddalić się
ze Lwowa,
aby dać ludziom zapomnieć, o zamierzonym ślubie u Bernardynów,
który nie dawał
spać złym umysłom, a języki miejskie
poruszał jak wiatraki. Ażeby zupełnie zatrzeć za sobą ślad, wziął
nawet
Mieczysław od kogo innego paszport, a o swój się nie starał.
Albo wrócę szczęśliwy, upokorzę ludzi, podepczę intrygę, mówił
Mieczysław
odjeżdżając do Marji, albo nie wrócę zupełnie.
Marja zrozumiała ciężkie słowa i pojęła, że słowo to było
koniecznym....
niestety! nie umiała nań odpowiedzieć równem słowem, ale
najpiękniejsza łza na

jaka stać było jej promienne oko zabłysła.... a serdeczny i namiętny uścisk ręki domówił Mieczysławowi reszty, tak że mógł jechać spokojny i odważny, wiedząc, że ideałem jego jest najlepsza kobieta jaka znał i że jest każdej chwili gotowa na to samo co on poświęcenie. Mieczysław znikł jednego dnia, a cały Lwów nie umiał sobie wytłumaczyć jego wyjazdu w chwili, gdzie jego obecność z przyczyny znanego procesu zdawała się konieczną; mówiono więc, że poczuwa się do winy, że się przekonał, iż Marja jest jego siostrą.

XIV.

Komisarz Mordner także nie zasypiał sprawy, stojąc w dobrych z dyrektorem policji stosunkach, dostał od niego upoważnienie do narażenia funduszu policyjnego na większe nawet wydatki, aby tylko odkryć mordercę Sary, i rozwikłać powiązane z niem zagadkowe sprawy. Po długich śledztwach i poszukiwaniach za sługami, które dawniej były u pani Angoli, i które jakie takie mogły rzucić światło na jej domowe stosunki przed kilkunastoma laty, dowiedział się komisarz, że pani Angoli odwiedzała męża, wkrótce po jego przeniesieniu do Węgier i że Sara Liebenfeld podobno jeździła do niej do Bardjowa. Więcej trudno się było tutaj dowiedzieć, więc niezrażony komisarz powolnym tokiem poszukiwań, udał się cichaczem do Bardjowa, aby tam zasięgnąć języka. Nie mała to była praca wynaleźć kilkunastoletnie listy gości kąpielowych, po

kilkudniowych jednak poszukiwaniach natrafił rzeczywiście p. Mordner na nazwisko pani Angoli, zapisane pomiędzy gośćmi z r. *, a co więcej obok nazwiska było napisane, że nasza znajoma mieszkała pod numerem , w domu należącym do mieszczyki bardjowskiej pani Biszomany. Mieszczyka ta jeszcze żyła, była to gadatliwa staruszka umiejąca po węgiersku i po słowacku, podobniejsza do tych istot, którym przypisywano stosunki z podziemnym światem, aniżeli do zwykłej śmiertelniczki. Twarz miała pokurczoną, i pomarszczoną jak suszona śliwka węgierska, a pomimo siedmdziesięciu lat z okładem, jednego nie widać było u niej siwego włosa, co przypisywała nadzwyczajnym zaletom węgierskiej słoniny z papryką. Pod pozorem więc, że chce od niej wynająć mieszkanie na przyszłe lato, wszedł pan Mordner do domu pani Biszomany, i zastał ją nad grubą, książką, do modlenia drukowaną wielkimi gockimi czcionkami. Po długich przedwstępnych rozmowach doszedł komisarz do tego, że jego znajoma pani Angoli mieszkała tutaj przed kilkunastoma laty.... — Przypominam sobie doskonale, wysoka, wysmukła, bardzo przystojna kobieta, miała zieloną aksamitną, suknię — wielka elegantka. Byłyśmy w przyjaźni... ale, ale, nie wie też pan, czy ten mały Szczepanek co go ztąd wzięła, chowa się jeszcze czy nie? — Umarł odpowiedział Mordner, na chybił trafił, nie chcąc swoją niewiadomością wzbudzić najmniejszego podejrzenia.

— Szkoda go, ładne było dziecko — ale, ale, pan może u mnie coś przekąsi, mamy
wspólnych dawnych znajomych.
Kobieta nie czekała na odpowiedź, ale otworzyła na czerwono
pokostowaną
wmurowaną, szafę, i na cynowej tacy postawiła flaszkę śliwownicy,
chleb razowy,
kawał słoniny grubej na pięć palców, a przypruszonej papryką tak, że
cała jak
cegła wyglądała, i koszyczek małych okrągłych placuszków, o
których pan Mordner
nie miał jeszcze jasnego wyobrażenia.
Pani Biszomany dała dobry przykład, wychyliła stojąc potężny kielich
śliwownicy i
ani się nie zakrztusiła, a następnie śmiałym cięciem odkroiła kawał
słoniny,
który mógł w środkowej Europie służyć na podzielenie kilkunastu
osób.
Mordner chcąc zupełną wzbudzić ufność, również zaryzykował
dzielny kawał
słoniny.....
— A może pan pozwolisz pagaczów ? to nasze pasztety...
Mordner z niedowierzaniem spojrział na te małe placuszki, z których
tu i ówdzie
wyglądały skwarki słoniny; kaszę ze szwedami znał nasz komisarz
wybornie, ale o
cieście ze skwarkami dotąd jeszcze nie słyszał; mogą ludzie wszakże
jeść żaby i
ślimaki, dlaczegoż nie mają spożywać pagacza?..
Nie mogę się w tem miejscu powstrzymać, aby nie uczcić
narodowego węgierskiego
pieczywa, które obecnie coraz bardziej niknie ze stołów
cywilizowanego
węgierskiego świata, i chowa się pod strzechę, albo co najwięcej, pod
dach
leśniczówki. Pagacze więc, są to małe placuszki z kruchego ciasta na
słoninie,

zawierające w sobie zamiast rodzynek — skwarki, i niepospolite w
dziejach
cywilizacji węgierskiej odgrywają posłannictwo. Nie było polowania
bez świeżych
pagaczów, które w myśliwskiej torbie wraz z manierką śliwownicy
starczyły za
najlepsze przysmaki i dodawały siły na bieganie przynajwiększych
kniei. Bez pa-

gaczów w kieszeni i bez śliwownicy nie puszczał się jeszcze przed
niedawnymi
czasami żaden prawowierny Węgier w podróż, bez pagaczów nie
przedsięwziął Czikosz
zbójcekiej wyprawy, a gdy po nie wiem który raz złapano Rosę
Szandora, sławnego
opryszka, nie znaleziono przy nim nic prócz broni i pagaczów. Przez
wielką
pustą, na której niema ani wody, ani ludzi, ani naturalnie żadnej
gospody,
jechał do ostatnich czasów węgierski szlachcic, z zapasem pagaczów,
i był
spokojnym, że z głodu nie zginie, bo pagacze równie dobre i smaczne
dla
węgierskiego podniebienia pierwszego jak i dziesiątego dnia.
Węgierska kuchnia
dość sporo przyczyniła się do zastawienia europejskiego stołu, gulasz
i kurczęta
z papryką znalazły przystęp do najwykwintniejszych niemieckich
domów, na jednych
pagaczach świat się nie poznał, i woli francuskie ciasta, aniżeli
pieczywo,
które jak niejeden Węgier opowiadał, za czasów Atylli należało już do
największych przysmaków książęcego stołu, a przy koronacji św.
Szczepana
pomiędzy potrawami jedno z honorowych miejsc zajmowało.
Ten sam Węgier tłumaczył mi, że gdy-
by nie pagacze i śliwowica, to Atylla nie byłby zwycięzcą i biczem
bożym, i że

je porównać można pod tym względem tylko z kiszkami grochowymi pana Bismarka.

Ehre wem Ehre gebührt — cześć więc pagaczom, a czytelnicy wybaczą nam to krótkie zboczenie.

Po śliwowicy i po pagaczach była szerszą pani Biszomany, otwarszą i więcej jak poprzednio mówiła...

— Tak mój panie Polak, miłe pan we mnie wywołał wspomnienia, byłam wtedy młodszą

i dalibóg jeszcze niejednemu głowę zawrócić potrafiłam...

Sprytny komisarz uśmiechnął się znacząco, jak gdyby chciał dać poznać, że

obecnie jeszcze pani Biszomany wcale miłe robi wrażenie.

Kobiecie się ten uśmiech podobał.

— Matka Szczepanka — mówiła mieszcza dalej — zgłaszała się tutaj u mnie w kilka

lat później dowiadując się, co się z jej dziecięciem dzieje, ale żadnych jej w

tej mierze nie mogłam udzielić wiadomości.

— Jak się nazywa ta matka Szczepanka?.. — zapytał znienacka Mordner.

— Ot, żebraczka, kto się tam pyta o jej nazwisko, ona już także przed kilkoma

laty umarła...

— Pani Angoli nigdy mi też całej tej historii ze Szczepankiem nie opowiadała,

mówiła, że umarł, ale bliżej się jakoś o nim nigdy nie zgadało, to musi być

wcale ciekawa historia?.. — pytał komisarz policji.

— Zapewne że ciekawa, jeżeli sobie pan życzysz, to ją opowiem.

— Z wielką posłucham ciekawością, — odpowiedział komisarz.

— Otóż, widzisz pan, po Bardjowie wałęsała się podówczas, jak pani Angoli tutaj

była, młoda, przystojna kobieta, której mąż, górnik w Szemnicach właśnie co

umarł i kilkomiesięczne zostawił dziecko. Pani Angoli dziecko to bardzo się

podobało, a że matka jeszcze o starszych miała pamiętać dzieciach,
więc chętnie
przystała na żądanie pani Angoli, aby małe wziąć ze sobą. — Jak panu
wiadomo,
pani Angoli była bezdzietną.
— Niekoniecznie — pomyślał sobie komisarz.
— Trzeba więc panu było widzieć, jak się dziecięciem cieszyła, jak
była
szczęśliwą, gdy z Bardjowa z przybranym wyjeżdżała synkiem. Matkę
dziecięcia
szczodrze obdarowała, a do dziecka wzięła mamkę Węgierkę,
podobno aż z okolic
Preszowa, bo tutaj wtedy nie można było znaleźć odpowiedniej
kobiety.
— Wzięła mamkę ze sobą? — zapytał komisarz.
— Przecież musiała wziąć, bo dziecko zaledwie kilka miało miesięcy,
o tej mamce
wszakże później nic już nie słyszałam i w ogóle dopiero od pana
pierwszego po
latach kilkunastu mam wiadomość o pani Angoli, po której mi bardzo
miłe zostało
wrażenie.
— Mnie się zdaje, że i mąż pani Angoli był podówczas w Bardjowie?
— podchwycił
komisarz.
— Nie! ona sama tylko tutaj mieszkała, jej mąż stał z pułkiem, jeżeli
się nie
myślę, w Siedmiogrodzie, a ona właśnie od niego powracała, a
pamiętam, że często
od niego listy odbierała.
— Zapewne także i z pieniędzmi?
— Tak i z pieniędzmi, chociaż koło niej było bardzo skromnie, a
przyznam się, że
tam po niej nawet jakiś mały został rachuneczek, że jednak z niej
dobra była
kobieta, skoro ubogie dziecko wzięła ze sobą, więc się nawet chętnie
straciło te
kilkadziesiąt cwancygierów.

— Musiała je później, odesłać?

— Wielkie panie o takich drobnostkach zapominają — dodała z przekąsem mieszcza.

Komisarz zrećźnie dalej prowadził rozmowę, ale już się nic więcej nie dowiedział, szczęśliwy zresztą, że i tyle z pyłu przeszłości odgrzebać potrafił.

Oglądnąwszy więc jeszcze mieszkanie, które nibyto miał wynająć na przyszłą porę

kąpielową, pożegnał się komisarz z panią Biszomeny, naturalnie po

jednym jeszcze

przymusowym kieliszku śliwowicy.

— Brała ubogie dziecko na wychowanie, a pieniędzy nie miała? — myślał pan

Mordner i przypominał sobie wszystko, co wiedział o stosunkach pani Angoli. Ależ

ona miała dostać sukcesję od brata mężowskiego, pod warunkiem, że będzie miała

dzieci! — wykrzyknął naraz komisarz, jak gdyby mu cały stosunek rozjaśniać się

zaczął — więc jej dziecko było potrzebne do otrzymania tej sukcesji.

Co się z

tem dzieckiem stało? oto dalsze niełatwe pytanie.

Komisarz zanotował sobie także w pamięci, że podczas pobytu pani Angoli w

Bardjowie, była u niej jakaś żydówka ze Lwowa, prawdopodobnie

Sara Liebenfeld,

jaki jednak miała interes i jak długo u niej bawiła, tego pani

Biszomany

powiedzieć już nie umiała.

Mordner więc powrócił do Lwowa wertować metryki i sądowe akta,

aby się

przekonać, czy to przybrane dziecko w Bardjowie posłużyło

rzeczywiście pani

Angoli do otrzymania wielkiej po bracie mężowskim sukcesji. Daty

się jednak pod

tyra względem zupełnie zgadzały, dziecko, z którym pani Angoli

przyjechała z

Bardiowa, było rzeczywiście podane jako jej własne dziecko, i umarło we dwa lata po przyjeździe z Węgier. W metrykach katedralnych wyraźnie było zapisane pod dniem marca *, że synek państwa Angoli August umarł na anginę. Śmierć ta nastąpiła już po wyegzekwowaniu testamentu konsyljarza Angolego i po odebraniu przez panią. Angoli znakomitej po nim sukcesji. O ile te odkrycia cieszyły komisarza, o tyle zdawały mu się tak dalekimi od sprawy panny Marji Koleckiej , o którą mu najbardziej chodziło, że najmniejszego pomiędzy nimi nie można było odkryć związku. Co miało skradzenie aktów sądowych przez Sarę Liebenfeld z chłopczykiem wziętym z Bardjowa i z osiągniętą tym sposobem sukcesją wspólnego? tego wszystkiego dociec było trudno. Pani Angoli śnać żadnych nie miała przeszkód w osiągnięciu spadku, skoro zadosyćczyniła warunkom testamentu i miała syna, wprawdzie nie swojego, ale o tem prawdopodobnie nikt we Lwowie nie wiedział. Jedna mamka Węgierka, wzięta z Bardjowa, mogłaby o tem coś powiedzieć, ale mimo najstaranniejszych poszukiwań nie można było o niej żadnej powziąć wiadomości, a nawet owa służąca pani Angoli, co naprowadziła komisarza na myśl podróży do Bardjowa, nic o mamce Węgierce nie wiedziała i utrzymywała, że chłopczyk pani Angoli miał mamkę ze Lwowa, a nie z Węgier. Śledztwo więc rwało się na każdym kroku, a przecież cała nić intryg zdawała się nie być jeszcze rozwikłaną i nie było dotychczas nawet jeszcze takich poszlaków,

na którychby całą hipotezę zbrodni popełnionych przez panią Angoli,
lub może
przez kogo innego wybudować można.
Mordner mimowoli więc znowu wracał do Kasperka, ale zastał go
nadspodziewanie
niedowierzającym, a nawet zdawało mu się, że Kasperek nawzajem
śledzi jego
kroki, albowiem często spotykał go na swoich drogach, a gdy go
zagadał,
widocznie Kasperek był zakłopotany i
nie wiedział, co odpowiedzieć na zadane mu pytanie.
Naszemu komisarzowi nie były naturalnie tajne dobre uczynki Marji i
obecnie
wróciwszy z komisji w Bardjowie, dowiedział się natychmiast o
dobrodziejstwach,
jakie ona zrobiła rodzinie jego narzeczonej. — Mordner prawdziwie
kochał Julcię,
a jego myśli i marzenia jedynie do niej były przywiązane, wiedział on
dobrze, że
z przyczyny już jego zajęcia świat mu nie sprzyja i że wśród
społeczeństwa, w
którym żyje, utrzymanie wprawdzie znaleźć może, ale przyjaciół i serc
otwartych
na darmoby szukał. Julcia więc mogła być dla niego całym
szczęściem, całą
nadzieją... To też komisarz o niczem nie marzył, do niczego nie
wzdychał, jak
tylko do własnego domu i do utworzenia sobie rodzinnego kółka. W
czterech
ścianach, w którychby znalazł pocziwą żonę, widział on swoje
eldorado, świat
marzeń swoich i życzeń.
Najczęściej ludzie, których świat odpycha, którym niechętnie swoją
dłoń podaje,
stają się bardzo dobrymi ojcami rodziny i z niezwykłą troskliwością
pielegnują
jedyne to szczęście. W rodzinnym kółku cały ich świat się zamyka,
tam

znajdują poważanie, tam ich rozumieją, tam pojma, poświęcenia,
jakie oni robią
nieraz z dobrej sławy i dobrego imienia, aby tylko wyżywić żonę i
dzieci,
zapewnić im lepszą przyszłość i dać im w społeczeństwie stanowisko,
któreby im
większy aniżeli ojcu jednało szacunek. Ludzie tego rodzaju w
obcowaniu i w
stosunkach z ludźmi chytry, podejrzliwi, źli, występni — w
rodzinnem kółku
zmieniają się nie do poznania, są ideałami poświęcenia i cnót
familijnych.
Wiedzą oni dobrze, że gdyby się niezgoda i niesnaski zakradły do ich
rodzinnego
koła, natenczas nie mieliby piędzi ziemi na świecie, gdzieby im
przyjazne
uśmiechały się usta, gdzieby nie czychał na nich współzawodnik,
zazdroszczący im
kęsa codziennego chleba, lub nieprzyjaciel zastawiający na nich
żelazne sidła.
Mordner pojmował pod tym względem doskonale swoje położenie i
wiedział, że dla
niego poza ubogą, kochającą go dziewczyną, niema szczęścia na
ziemi, że taka
tylko istota, którą wyrwie z rąk nędzy i która wszystko będzie mu
musiała
zawdzięczyć, otworzy mu serce i obdarzy go najpiękniejszym na
świecie podarkiem,
podarkiem miłości. Nie dziw więc, że
każdy, kto coś dobrego Julji albo jej rodzinie wyświadczył, był tem
samem jego
przyjacielem i że dla takiego człowieka czuł on prawdziwą
wdzięczność. A trzeba
wiedzieć, że ludzie co mało mają przyjaciół, umieją być wdzięcznymi.
Mordner też
był wdzięcznym Marji.
XV.

Przenieśmy się myślą, na chwilę na krakowskie Bielany, w jedno z miejsc najbardziej uroczych w Polsce, gdzie umysł otoczony zielenią, dębów może zapomnieć o warczeniu kół fabrycznych, a fantazja osiadłszy na niebieskich nurtach Wisły, może falować niespłoszona żadnym echem prozaicznego wieku.

Dwie białe wieżycy stanęły na stromej górze, a zasłoniwszy się z jednej strony lasem i krzewami, wpatrują się z drugiej strony we własne swe oblicze, odbijające się w pysznie wijącej się rzece i podpatrują, co robi Kraków i czy stare Tatry jeszcze śniegiem pokryte.

Wysoki rozległy mur opasuje klasztor kamedułów i zamyka w sobie znaczną część lasu, służącą zakonnikom za spacer. Kilkanaście generacji ludzi ze zbolałym umysłem i złamanem sercem znalazło tam ulgę w cierpieniach, kilkanaście generacji krakowskiej młodzieży szukało w tych lasach młodzieńczej rozrywki i poetycznego natchnienia. Co roku w zielone świętki łączka leśna koło klasztoru się zaludnia, namioty się rozpinają, cały Kraków prawie przenosi się na Bielany, a głosy muzyki odbijają się o głucho mury klasztoru, które znów milczą rok cały i słyszą tylko cichy, a poważny głos zakonnika: memento mori!

Oddalony od świata, zamknięty w sobie i zagadkowy, jedyny to może klasztor, posiadający sympatię w najszerszych nawet kołach ludności, i roztaczający jeszcze naokoło siebie pewien średniowieczny urok, który zdarli z siebie oddawna inni zakonnicy.

Cierpliwość zawsze za sobą pociąga sympatię, a o ludziach, co się w tych cichych zamknięli murach, panuje jeszcze to przekonanie, że są to ludzie, co wiele przeboleli, co wiele doznali zawodów, a nie widząc dla siebie więcej miejsca na świecie, poszli tam, aby uprawiać mały ogródek i światu w oczy nie patrzeć.

Nasz wiek nie chce znać chorób serca, i nie dziw, bo wnet zaprzeczy, że serce istnieje, nasz wiek buduje domy obłąkanych, bo wierzy, że rozum można stracić, zakłada kolosalne szpitale, bo widzi fizyczne cierpienia, urządza domy dla kalek, dla ciemnych, głuchych i kulawych, ale o tych co mają złamane uczucie, których serce tak zranione, że się już zagoić nie zdoła, o tych ludziach wiek dziewiętnasty zapomniiał i powiada im: dla was niema miejsca, bo waszych cierpień nie widać, bo wy nie chodzicie o kulach, ani potrzebujecie być pod zamknięciem... wy macie tylko przywidzenie cierpień

!.. Jesteście ubogimi ? — damy wam utrzymanie, chce się wam jeść? — macie zupełną rumfordzką, ale na choroby serca my szpitalów nie mamy, bo takie choroby są wymysłem poetów, niedowarzonych studentów, co czytali Wertera, lub co są tyle naiwnymi, że jednej kobiecie tylko chcą swą miłość poprzysiądz.

— Was więc nie znamy, — powiadają do nich dzisiejsze czasy.

A przecież ludzie złamani na duszy błędzą i wśród dzisiejszych giełd i jeżdżą dzisiejszemu kolejami, a gdy nie znajdą dla siebie ustronia, gdy zewsząd świat lokomotywy ich wypędzi, wtedy przykładają rewolwer do serca, i świat ich żałuje, a kościół grzebać ich nie chce,

powiadając: nie jesteście w prawie rządzić własnym życiem!..
Więc też klasztor kamedułów wzbudza w nas sympatię, albowiem
przyjmuje ludzi, co
nie mogą, się już ostać na świecie, co stracili wszelką nadzieję
pojednania się
z ludźmi, a jeżeli opinia dzisiejsza słusznie orzekła o szkodliwości
zakonów, co
młodzież oblekają w zakonną szatę i każą jej kłamać, że się wyzuła z
namiętności, i każą jej próżniacze prowadzić życie, to trudno nam
zaprzeczyć
potrzeby szpitalów dla serc schorzałych, trudno nam utrzymywać, że
tylko rozum
spaczony i cierpienia fizyczne mają prawo do publicznej opieki.
Ten spokój, co jak mgła poranna osiadł na klasztorze Kamedułów, ma
coś
poważnego, coś prawdziwie uroczego. Gdy staniemy na klasztornej
podwórzu,
widzimy tuż pod górą za murem opasanej przestrzeni kilkanaście
małych domków
okolonych ogródkami, tworzącymi wraz z domkiem jedno
gospodarstwo. Każdy domek
mieści w sobie małą sionkę, dwie stancyjki i kapliczkę, i jest
mieszkaniami
jednego zakonnika, który w ogródku go otaczającym uprawia jarzyny
i kwiaty,
rozmyśla nad przeszłością, szczęśliwy że

około ludzi nie widzi krzykliwego świata i że do siebie nie potrzebuje
mówić jak

tylko memento mori, znak przywitania i pozdrowienia.

Do furty klasztornej na Bielanych dzwonił młody mężczyzna w
podróżnym ubraniu, w

wielkim florentyńskim kapeluszu, z czarną lśniącą brodą, a krakowski
doróżkarz,

który mu drogę do furty wskazywał, wracał właśnie do zmęczonych
koni stojących

spokojnie o kilkadziesiąt kroków.

— Kaze pan zaczekać? — pytał się odchodzący doróżkarz.

— Zaczekaj — odpowiedział młody mężczyzna silnym głosem, i drugi raz szarpnął za dzwonek.

Echo kroków ludzkich odbiło się wśród spokojnych murów, braciszek klasztorny

wyrzął przez kratę, przestraszony nie zwykle silnym dzwonieniem.

— Czy jest ksiądz przeor? — pytał się młody mężczyzna.

— Jest w ogrodzie.

— Proszę mnie wpuścić, bo radbym z nim mówić...

Na tak stanowcze oświadczenie braciszek nie miał co innego uczynić, jak bramę

otworzyć i wpuścić nieznanego do środka.

Z podwórza wszedł nieznanomy do kościoła; cicho było wszędzie i pusto, jak gdyby

te ściany ludzi nigdy nie widywały, jak gdyby nie znosiły nawet ludzkich głosów.

Wnętrze kościoła rozległe, wybielone, swym wilgotnym chłodem niemiłe robiło

wrażenie. Nasz nieznanomy przeszedł przez zakrystję i znalazł się wśród

najpiękniejszego widoku, wśród spokojnej przyrody, wśród ogrodu uprawianego

ręką zakonników.

Ogrodową ścieżką naprzeciw niemu wyszedł jakiś zakonnik, widocznie zbudzony

odgłosem dzwonka z klasztornej ciszy, i stąpieniem nieznanych kroków.

Zakonnik był wysoki, smukły, w białą odziany sutannę, biały pilśniowy kapelusz z

wielkimi kryzami rzucał cień na twarz poważną i piękną.

Twarcz bo to była niezwykła! Pod wysokim, śmiało sklepionym czołem, spoczęły jak

węgiel czarne oczy, sypiące jeszcze tyle żaru i tyle namiętności, że w parze z

sukienną opończę nie można ich było spotkać gdzieindziej, jak chyba u którego z

rycerzy krzyżowych, co z gorączkową fantazją pospieszał miecz swój próbować na

karkach niewiernych Muzułmanów.

Nos naszego zakonnika i starannie wygolona górna warga przedstawiały tak

delikatny rysunek, jak gdyby był wzięty z postaci Michała Anioła.

Dodajmy do

tego wielką do połowy piersi sięgającą czarną brodę, swobodnie rozwianą i

niewyrównaną fryzjerskimi nożycami, jak francuzki szpaler — a będziemy mieli

obraz zakonnika, który się zbliżał do naszego nieznajomego.

— Oto ksiądz przeor — szepnął braciszek — nie umie jak tylko po włosku.

Nieznajomy dał znak braciszкови, aby się oddalił.

— Laudatur Jesus Christus — dźwięcznym głosem powiedział zakonnik.

— In saecula saeculorum — odpowiedział nieznajomy, a zbliżając się do zakonnika,

prosił go w jego rodzinnym języku o chwilę rozmowy.

Ksiądz przeor zaprosił go do swego domku w ogrodzie.

Znalazłszy się w czterech ścianach z zakonnikiem w pustelnicznym domku, przemówił

młody mężczyzna:

— Jestem hr. Mieczysław Zgodzki.

Błede śniade oblicze zakonnika zarumieniło się, po ustach przebiegło nerwowe drganie.

— Czem mogę służyć?... — zapytał przeor przytłumionym cokolwiek głosem,

zdradzającym niezwykle wzruszenie.

— Nie przyszedłem księdza przeora obarczać wyrzutami; zakonny habit zdaje mi się

świadczyć, żeś pokutował za krzywdę, którą w młodszych latach wyrządziłeś naszej

rodzinie. Przyszedłem wezwać cię na świadectwo prawdy, a tem świadectwem możesz

poczęści zagoić rany, które dotychczas się jeszcze nie zabiżniły.

— Od lat kilkunastu proszę Boga — odpowiedział zakonnik — aby mi darował

nierozważne czyny młodości; widać, że mi je stwórca przebaczył, skoro mi daje

sposobność zrobienia ci synu jakiegokolwiek usługi. Mów, rozporządzaj mną,

znajdziesz moje serce otwarte, a duszę skora do załagodzenia złego.

— Kilka tygodni szukałem księcia, byłem we Florencji dowiedzieć się, czy książę

żyjesz i gdzie mieszkasz; brat księcia, książę Józef Colonna, którego znalazłem

w Rzymie...

— Więc brat mój jeszcze żyje?

— Żyje, i on mi to właśnie powiedział, że w rok po śmierci mej matki książę

wstąpił do zakonu Kamedułów,

więcej jednak nic powiedzieć nie umiał. Więc po wielu trudach i wielu zachodach

uzyskałem od Ojca świętego pozwolenie, na mocy którego generał zakonu objaśnił

mi o miejscu pobytu księcia; a fakt, że cię znalazłem na Bielanach, daje mi

otuchę, że trudy moje będą wynagrodzone.

— Mów synu; czego żadasz?

— Książę byłeś podczas całego pobytu moich rodziców we Florencji.

— Niestety, byłem mój synu.

— I przypominasz sobie zapewne małą moją niemą siostrzyczkę?

— Przypominam sobie dobrze, umarła ona we Florencji.

— A wiesz, gdzie jest pochowana?

— Byłem na pogrzebie dziecięcia, pochowaną jest na cmentarzu wiejskim w Villa

nuova pod Florencją.

Mieczysławowi po raz pierwszy od kilku miesięcy oko się rozpozodziło.

— Czy książę będziesz to mógł poświadczyć? — zapytał hrabia.

— Zaprzysiędz, jeśli potrzeba — poważnie wymówił Kameduła.

— Podaj rękę książę — z uniesieniem zawołał hrabia — sam nie wiesz, jak wielkiem

szczęściem będzie dla mnie to
świadectwo; niechaj zasłona padnie na przeszłość, Opatrzność sama
chce, abym
przebaczył największemu memu wrogowi.
— Pojmuję żal twój do mnie hrabio; ale wierzaj mi, że nikt bardziej
nademnie nie
przebolał błędów młodości i nikt więcej za nie nie odpokutował.
Kiedy Bóg
przebaczył, i ludzie przebaczyć powinni.
Kamechuła uściskał Mieczysława i pytywał go się bliżej o cel jego
podróży, a
Mieczysław opowiedział mu otwarcie, na co mu było koniecznym
świadectwo śmierci
jego niemej siostry i w jakim celu musiał odgrzebywać przeszłość i
wywoływać
cienie swojej matki.
— Była to święta kobieta — mówił książę Colonne — piękna jak
anioł, więc nie
dziw, że młoda moja podówczas dusza szalała za nią. Byłem
podstępny,
zaprzyjaźniłem się z twoim ojcem mój synu, aby tem łatwiej bywać w
jej domu;
przepędzałem wtedy najpiękniejsze dni w mem życiu, bo nie znałem
większej
rozkoszy, jak patrzeć się w jej oczy. Ona jednak była wierną mężowi i
mimo
najusilniejszych starań, nie zdołałem pozyskać jej względów.
Poznałem ją,
wiedziałem, że ślubna przysięga jest dla niej świętą i niezłomną. Serce
moje
jednak
piekielnym gorzało płomieniem i nie widziałem już żadnego celu
przed sobą, do
żadnej nie mogłem się przywiązać myśli, tylko zapragnąłem ją
posiadać — i
powiedziałem sobie, że dopuszczę się zbrodni, a hrabina będzie moją.
— Raz

przypuszczona zbrodnicza myśl powiększała się i rosła i szalała we
mnie jak
orkan południowy, porywając wszystko, co było szlachetniejszego,
gruchotała
rozum i cnotę. — Więc postanowiłem szukać z hrabią zaczepki i
zmusić go do
wyzwania mnie, a wiedziałem dobrze, że ręka moja nie drgnie, że
strzelam
najlepiej pomiędzy włoską młodzieżą. Sposobność łatwo się znalazła,
hrabia
usłyszał odemnie obelżywe słowo i jako człowiek honoru, rzucił mi
rękawicę. Z
szatańską radością przyjąłem wyzwanie, ale pomimo perswazji
sekundantów, nie
chciałem się zgodzić na pałasze, ale wybrałem pistolety; ręka mnie nie
zawiodła
— zamordowałem hrabiego i sądziłem, że już nikt memu szczęściu
nie stoi na
przeszkodzie, że hrabina, ochłonąwszy z pierwszych niemiłych
wrażeń — poślubi
mordercę swego pierwszego męża. — W szale namiętności śmiałem
zakłócić spokój
wdowy, gdy mieszkała w Doro-
bach pod Wiedniem, lecz święta kobieta przyjęła mnie z pogardą i
oburzeniem i
drzwi mi wskazała — a ja się opamiętałem, ale już zapóźno...
Kameduła głęboko się zamyślił, a Mieczysław uszanował to
zamyślenie, bo widział,
że skrucha w tym człowieku była wielką i że pokuta przewyższyła
zbrodnie.
— Zapóźno! — powtórzył kameduła — obrażona duma i jeszcze
bardziej wzburzona
namiętność, rzucały mną jak szalonym; pieniałem się z gniewu, ale nie
miałem już
więcej spokoju, zerwałem szczęście małżeńskie dwojga kochających
się osób,
zamordowałem człowieka i stałem się z pewnością powodem śmierci
szlachetnej

kobiety. Lecz rozwaga i skrucha przyszła dopiero, gdym stał pod
brzozą nad jej
grobem, gdy gwałtowna namiętność w żal się przemieniła. Wtedy nie
mogłem sobie
znaleźć miejsca na świecie, od ludzi uciekałem, stara Europa zdawała
mi się
zanadto znaną; każdy kamień, każda gruzła ziemi przypominała mi
dwa groby,
których się stałem przyczyną, więc pojechałem do Ameryki,
zwiedzałem wszystkie
kraje, ale nieszczęsne widmo towarzyszyło mi, nie dało mi spocząć.
Więc jeszcze
jedną postanowiłem
zrobić próbę, szukać odpoczynku i spokoju w cichym ustroniu
klasztornem,
powiedzieć sobie, że dla mnie niema świata i ludzi, że nie jestem
godzien żyć
tak, jak żyję ci, co nie mają rąk zbuczonych niewinną, krwią. I ten
zakon dał
mi spokój, i te cztery ściany klasztorne i widok dzikiej natury, zdołały
o tyle
przywrócić we mnie równowagę, że mogę dzisiaj rozpamiętywać nad
moją
przeszłością i czuję, że serce moje złamane i nienawidzące ludzi,
dzisiaj znowu
świat kochać i ludziom dobrze czynić potrafi. — Jeżeli zaś obecnie
pan mi rękę
podajesz i wymawiasz słowo przebaczenia, więc znów znajdę w sobie
siłę do
dalszego pożytecznego życia i znajdę serce do dalszego działania.
— Za kilka dni ujrzysz mnie hrabio znów obywatelem waszego
społeczeństwa,
obecnie mogę już porzucić zakon, bo mnie ze światem pogodziłeś.
— Ciesz się mnie szczerze — powiedział Mieczysław — że mi losy
pozwoliły wrócić
księcia świata, gdzie z pewnością potrafisz wiele uczynić dobrego.
Przeszedłszy

taką skalę nieszczęść, przebolawszy tyle, tem łatwiej zdołasz ocenić
ludzką
nędzę i tem chętniej przytulisz do serca nieszczęśliwych.
Mieczysław długo rozmawiał z kamedułą, którego oko jeszcze więcej
zdawało się
rzucać promieni, a twarz śniada, jakby nowem była oblana życiem.
Wieczorem już
powrócił hrabia do Krakowa, a na drugi dzień z rana przyjechał
kameduła do
krakowskiego sądu, aby tam złożyć zaprzysiężone zeznanie, jako sam
był na
pogrzebie niemej córeczki hrabstwa Zgodzkich w Villa Nuova.
Mieczysław tymczasem
telegrafował do tamtejszego probostwa o wyciąg z ksiąg parafjalnych
i w kilka
dni otrzymał takowy, potwierdzający w zupełności zeznania przeora
kamedułów —
księcia Colonny.

XVI.

Nie wiem, czy jest uczucie, coby dłużej trwało, aniżeli uczucie
wynikające z
obrażonej kobiecej dumy. Odżywia się ono ciągle i jątrzy ranę zadany
sercu, a
nie masz sposobu, aby tę ranę zabliznić. A jeżeli możebnem jest
istnienie obok
siebie dwóch sprzecznych uczuć, to najcharakterystyczniejszym
dowodem tego
istnienia jest pasujące się często w sercu kobiety uczucie najwyższej
miłości z
uczuciem śmiertelnej zemsty.
Cezaryna kochała Mieczysława, kochała go jeszcze bardziej po
zajściu, jakie z
nim miała na balu, ale właśnie dlatego życzyła mu, aby
współzawodnicząca jej
miłość przyprowadziła go do zguby, aby hrabia kiedyś mógł ze zgrozą
spojrzeć na
Cezarynę i powiedzieć, iż jej namiętność piekielnym była podsycana
ogniem.

Po wyjeździe Mieczysława ze Lwowa do Włoch, Cezaryna bardzo była niespokojną, przeczuwała ona, że hrabia nie spocznie, że będzie poruszał wszelkie ludzkie sprężyny, aby dojść prawdy, wiedziała bowiem dobrze, że jej intryga polega tylko na hipotezie i lada chwila może być zniszczoną. Pięknej kobiecie zdawało się, że raz przeprowadziwszy swoje śmiałe zamiary i rozerwawszy młodą parę przed kościelnym ołtarzem, będzie mogła napić się radością z dokonania tego dzieła, będzie mogła cieszyć się i spoczywać na wawrzynach uścielonych przez uczucie zemsty. Tymczasem myśl, że wszystkie jej zabiegi mogą się jeszcze na nic nie przydać, że całe dzieło z trudnością wystawione — może jeszcze runąć, przestraszała ją, niepokoiła i wprowadzała w pewien stan nerwowej niecierpliwości, w skutek którego niestety najbardziej musiał pokutować pan Rafał i Józio.

Dziwny bo to był człowiek ten pan Rafał: zamiast śmiało zrzucić z siebie gniotące go jarzmo, zamiast raz stanowczy zrobić krok przeciw sposobowi postępowania jego szanownej małżonki — coraz bardziej dawał się upokarzać, coraz uniżeńszym stawał się służką. Gdyby kto chciał zbadać, dlaczego tak pan Rafał czynił, to nie znalazłby odpowiedzi ani w majątku Cezaryny, ani w jej wdziękach, ale jedynie w dwojgu niedorosłych dzieciach. Panu Rafałowi zdawało się, że jeżeli matka jest niedobrą i lekkomyślną, to jego powinnością jest służyć za parawan tej lekkomyślności, żyć z żoną, dbać o pozory, ażeby tylko

zachować dom rodzicielski dla dzieci i nie spowodować katastrofy,
któraby mu z
żoną rozłączyć się kazała. Zresztą, od niejakiemu czasu stracił już pan
Rafał
energję do stanowczego działania, butelka z winem stojąca wiecznie
w kancelarji,
toczyła jak czerw świeży jeszcze niedawno umysł i pozostawiała po
sobie
nieużyteczne próchno. Pan Rafał nie umiał już sobie z całą
trzeźwością zdać
sprawy ze środków zaradczych, jakieby przedsięwziąć należało, aby
przywrócić
równowagę w swym domu, bo gdy trawiąca go myśl zbliżała się i
zaczęła poruszać
władze umysłowe, pan Rafał przełknięty, nalewał szklanke wina,
niechcąc się
narażać na męczarnie, jakie mu sprawiała każda poważniejsza myśl.
Pan Rafał stracił odwagę myślenia nad złem, i stanowczego działania.
Pan Kręcikiewicz był w łaskach, bo kobieta mogła go jeszcze
potrzebować, więc mu
ciągle schlebiała, naprzód już sobie układając, że go kiedyś rzuci, jak
zużytą
rękawiczkę.
A pan sędzia wobec łaski kobiecej zapominał najzupełniej o
wszystkiem, a
najbardziej o swoich obowiązkach sprawiedliwości; jako człowiek
znający tok
procesów, nie mógł on niewiedzieć, że sprawa rozerwania małżeństwa
Marji z
Mieczysławem na bardzo słabych tylko spoczywała podstawach, więc
obawiał się
trochę, aby narzeczony nie zebrał dowodów, któreby jego zabiegi
udaremniły i
skompromitowały go wobec przełożonej władzy.
Niepokój ten wzmógł się, jak sędzia się dowiedział, że Mieczysława
widziano we
Lwowie, że był u panny Koleckiej, że wesoły, ale dziwną się otacza
tajemniczością.

Najwięcej jednak ruchu i życia rozwijał w ostatnich dniach nasz Kasperek zamiast coby Mordner miał jego śledzić, on śledził komisarza na każdym kroku i był niezwykle zaniepokojony i niezwykle zajęty. Pytania zadawane mu przez komisarza i kobieta u której jak wiemy kilka dni przebywał, wcześniej w nim wzbudziły podejrzenia i kazały mu się domyśleć, że Mordnerowi o nic innego nie chodzi, jak tylko o wydarcie mu tajemnicy. Wiedział on, że nad panią Angoli zawisły chmury, a jego miłość dla pani Cezaryny, nie byłaby pozwoliła nie stać się użytecznym jej rodzinie, i nie ochraniać jej matki na każdym kroku, pomimo że do niej osobiście bynajmniej nie czuł sympatji, owszem o ile możności schodził jej z drogi. Miłość w małym i nędznym sercu Kasperka! miłość coby zdolną była do poświęceń, to wymysł powiecie, to uczucie, które w danych stosunkach isinieć nie mogło! Uczucie to istniało, Kasperek służył w domu pani Angoli wtedy, kiedy Cezaryna była młodą panienką, z niestartą barwą niewinności. Świeża, naiwna, piękna jak anioł, musiała robić niezwykle wrażenie nawet na człowieku z niewykształconym uczuciem, z sercem okrytym łupiną fizycznej pracy i braku wykształcenia. Kasperek raz się kochał w życiu, i miłości tej mu nawet wyznać nie było wolno, ludzie się śmiali z niego, mówili mu, że głupi, że oszalał — a on się musiał śmiać wraz z nimi, ale gorycz osiadała w sercu i zatruchiwała całe jego życie. Ażeby uczucie i serce swobodnie mogło się rozwijać, musi ku temu mieć pewne

warunki ziemskiego szczęścia. W człowieku wystawionym na ciągłą fizyczną pracę, nie widzącym na około siebie nic innego jak tylko łyzy i narzekania, wrodzone delikatne uczucie twardnieje, mniej czułem się staje, a czasem niknie zupełnie. Cokolwiek teoretycy mogą mówić o sercu i uczuciu pomiędzy ludem, to przecież nie waham się bynajmniej powiedzieć, że uczucia jest daleko więcej — bez porównania więcej w klasach otoczonych pewnym dobrobytem, pewnym materialnym szczęściem, aniżeli u ludzi zahartowanych ludzką niedolą i nie rozmiękczających się lada jakim nieszczęściem. Mimo dzisiejszego zmaterializowanego świata, znajdziemy przecież w klasach wyższych liczebnie daleko więcej ludzi litujących się nad nędzą, nad cierpieniem moralnym lub fizycznym, aniżeli u tak zwanego ludu, i jeżeli kobiecie wykształconej wystarczy do wzbudzenia w niej litości, przekonanie, że ktoś nie ma w czym chodzić, to człowiekowi zahartowanemu w nieszczęściach potrzebaby do obudz-

nia tego samego stopnia uczucia wiedzieć, że ten, nad którym się ma litować, cztery dni nic nie jadł. Człowiek w wielkim znajdujący się ubóstwie, albo nawet człowiek czujący się zawsze niższym od drugich, nie znajdzie tak łatwo jak ludzie dostatni przyjemności w świecie, bo jego bieda zawsze mu stoi przed oczyma. Jeżeli się więc pomiędzy ludźmi ubogimi, pomiędzy ludźmi żyjącymi z fizycznej pracy, ludźmi co nie mieli czasu i możliwości wykształcić serca, znajdzie ktoś, co

z natury obdarzony większym zasobem uczuć, góruje sercem nad swymi towarzyszami i uczuciem ich prześcignąć potrafił, to taki człowiek zwykle bywa ich pośmiewiskiem, zwykle uchodzi pomiędzy nimi za „głupkowatego”, tembardziej, że nadmiar uczucia zwykle nie idzie w parze z popędami praktycznego życia.

Kasperek to zawinił, że się urodził z większym zasobem uczucia, aniżeli się to zwykle zdarza u ludzi równych mu co do społecznego położenia, i wcześniej stał się pośmiewiskiem, wcześniej zaczęto mu bez ogródki powtarzać, że on nie ma rozumu, że mu jak to powiadają, „piątej klepki brakuje”. Gdyby Kasperek żył był w wyższym świecie, gdyby był człowiekiem wykształconym, powiedziano o nim, że zawody i nieszczęścia go złamały, że jest człowiekiem z pękniętym sercem, gdy jednak z uczucia Kasperka każdy się śmiał i nikt nie raczył spojrzeć na małego, nieszczęśliwego człowieka, więc przyznano mu szcudrobliwie patent głupoty, powiedziano mu, że powinien być zamkniętym u Pijarów. Z początku gniewał się Kasperek na ludzi, umiał być dumnym, gdy jednak miesiące i lata widział, że wszyscy go mają, za głupkowatego, więc sam zaczął w to wierzyć, i znalazł rzeczywiście wybitną różnicę pomiędzy sobą a innymi, ludźmi swego stanu.

Mówiono mu, że jego miłość do pani Cezaryny już go kwalifikuje do domu obłąkanych, z początku oburzał się na to, drwił sobie z ludzi i piastował niepokalane uczucie, później zaczął wątpić sam w siebie, uczucia nie wyrugował

wprawdzie, bo serce zostało to samo, ale wierzył chwilami, że mu coś
brakuje, że
ludzie słuszość mają.
Wiedząc jednak, że myśl o Cezarynie jest główną przyczyną tej
ludzkiej o nim
opinji, musiał się tem samom nadzwyczaj do niej przywiązać, ta myśl
stała mu się
drugą naturą, tak że w końcu nie mógł

sobie wyobrażać, jakby mógł istnieć bez marzenia o pięknej pani, bez
podglądania
z galerji teatralnej do loży, w której ona siedziała, bez chodzenia za
nią po
ulicach. Pani Cezaryna rzec można stałą się celem jego życia; nie ta
pani
Cezaryna, którąśmy poznali, a którą on tylko zdaleka widywał, a
nigdy z nią nie
rozmawiał, ale jakaś idealna pani Cezaryna, utworzona z
dawniejszych wspomnień i
ze wszystkich szlachetnych myśli i spostrzeżeń, które przez całe życie
mu się
przesunęły. Pani Cezaryna była dla niego tylko owym świętym
obrazem, który on
codziennie otaczał swemi najpiękniejszymi myślami i na którym
zawieszał swe
najdroższe wota.
Kasperek jednak nie umiał w rzeczywistości rozróżnić tego swego
wymarzonego
ideału od rzeczywistej pani Cezaryny, jemu się zdawało, że owa pani,
do której
wzdycha, jest owym ideałem, tymczasem rzeczy miały się zupełnie
inaczej.
Obecnie był Kasperek w tem położeniu, że wyidealizowaną panią
Cezarynę mógł, jak
mu się zdawało, od wielkiego ochronić nieszczęścia, mógł jej bardzo
ważne
uczynić przestrogi. Był więc szczę-

śliwym i dumnym zarazem, marzył dnie i noce o swoim wielkiem
posłannictwie,
zdawało mu się, że jest bohaterem wielkiego dramatu, wielkiej opery,
którą
widywał czasem na scenie. Gdy się spojrział na swoje nędzne ubranie,
rumienił się
ze wstydu, że bohaterską rolę będzie musiał w tak skromnych odegrać
szatach;
jemu się zdawało, że jak poświęcający się dla swej bogdanki
kochanek, powinien
zbliżyć się do niej z ukrycia, powinien się otoczyć aureolą
fantastyczności.
Kilka razy zakradał się Kasperek na wschody pani Cezaryny, chcąc
tam objawić jej
ważne swe zwierzenia, raz nawet widział ją, jak wychodziła z domu
na ulicę, jak
od niego zaledwie na dwa kroki była oddaloną, a nawet słyszał szelest
jej sukni
i czuł oniemal jej oddech, ale nie miał odwagi przerywać
kilkunastoletnie
milczenie i wcisnął się we framugę, aby go nie było można
spozrzeć. Zresztą
chwila na wschodach nie zdawała mu się być dostatecznie poważną i
poetyczną.
Więc myślał zagadnąć ją na ulicy, obawiał się wszakże, że piękna
kobieta go
odtrąci, nie zechce w pierwszej chwili pojąć i zrozumieć, że ma przed
sobą
najwierniejszego z kochanków, człowieka noszącego jej obraz w
duszy od lat
kilkunastu. Kasperek był jak gdyby w gorączce, przypominały mu się
czasy, kiedy
go pani Angoli z domu swego odprawiała, kiedy młodzieńca jej córka
przybiegła do
niego i powiedziała mu: „bądź zdrów Kasperku, żal mi że cię mama
odprawia”. Na
to wspomnienie był Kasperek dumny, ono mu starczyło za największe
skarby świata.

Czas jednak schodził. Kasperek postanowił bądź co bądź mówić z Cezaryną, i to mówić bez świadków; więc po niespanej nocy, po głębokich wzruszeniach, postanowił ją przecież zagadnąć na jej własnych wschodach. Kasperek czuł pewną słabość do rozmowy na wschodach, i nie dziw, bo na nich żył od lat kilku, one były dla niego salonem i sypialnią, areną jego działania i jego dowcipów. Właśnie więc wtedy, kiedy pani Cezaryna bardzo była niespokojną, z powodu powrotu Mieczysława i jego widywania się z panną Marią, zastąpił jej drogę na wschodach Kasperek, gdy wychodziła sama z domu po południu. — Racz mnie pani posłuchać... mam ci ważną odkryć tajemnicę... — z patosem i pewną tajemniczą powagą przemówił do niej Kasperek. — Nie nudź mnie... nie mam czasu, — odpowiedziała zimno pani Cezaryna i chciała wyjmować kilka centów z portmonetki. — Nie obrażaj mnie pani jałmużną, — grobowym głosem mówił dalej Kasperek, — pogardzasz mną, ale ja cię proszę na miłość Boga, na wszystko co masz najdroższego, racz mnie wysłuchać... — Proszę nie być natrętnym... każę stróża zawołać!.. — z gniewem wołała Cezaryna. — Twój honor pani wymaga ze mną, rozmowy, ty powinnaś, ty musisz mnie wysłuchać. — Więc czego chcesz? — zaniepokojona cokolwiek odpowiedziała piękna pani. — Racz pani nakłonić swą matkę, aby natychmiast ze Lwowa wyjechała i ukryła się gdzieś, gdzieby nikt o niej nie wiedział, powiedz pani, że to przestroga Kasperka. — Co to znaczy? wytłómacz się jaśniej ?

— Matce pani grozi wielkie niebezpieczeństwo, ona mnie zrozumie; powiedz jej pani, że komisarz Morduer śledzi od dawna każdy jej krok. Mówi ci to Kasperek, który całe życie snił i marzył o tobie...

— Co śledzi Mordner? jaki czyn śledzi mej matki?

— Pani Angoli będzie wiedziała o co chodzi, mnie tego nawet przed panią powtórzyć nie wolno.

— Ależ mój panie Kasperku, przed córką przecież nie będziesz robił tajemnicy, z której strony grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli chodzi o przestrzeżenie mojej matki, dlaczego nie starałeś się z nią mówić, tylko ze mną ?

— Pani Angoli wypowiedziała mi służbę, w której mi było jak w raju, dla niej więc nie mam potrzeby być wdzięcznym, owszem do niej do dziś dnia żywię głęboki żal w mem sercu; pani jesteś moim ideałem, dla dobra pani tutaj przychodzę, a nie dla dobra pani Angoli.

Kasperek wymawiał te słowa, z ręką na sercu i z takim teatralnym patosem, że

Cezaryna mimo ciekawości i oryginalności spotkania, nie mogła się nie uśmiechnąć.

— Więc mój Kasperku — mówiła dalej Cezaryna — jeżeli już w żaden sposób nie

chcesz zdradzić jakiejś tajemni-

cy mojej matki, o której zdajesz się wiedzieć, więc powiedz przynajmniej, jakie

ma zachować ostrożności, z kąd wiesz to wszystko, czy cię kto tutaj posłał ?

— Mnie własne serce posłało! — powtórzył Kasperek — serce zwracające się zawsze

ku pani; nic nie wiem więcej jak tylko to, że pani Angoli powinna jak najprędzej

zniknąć ze Lwowa, ukryć się, tego wymaga bowiem honor pani.
Cezaryna ruszyła ramionami i zaczęła wierzyć, że w tem wszystkim
nie ma słowa
prawdy, ale że sprytny Kasperek użył tego sposobu, aby się do niej
przybliżyć i
módz z nią mówić słów kilka. Ostrożna jednak kobieta powiedziała
Kasperkowi, aby
nazajutrz o tym samym czasie znalazł się znów na wschodach, na
wypadek gdyby jej
rozmowa z matką rzeczywiście naprowadziła ją na tajemnicze
odkrycie.
— Na miłość Boga jednak pani mego serca, nie zaniedbuj tego co ci
powiedziałem,
ale dzisiaj jeszcze uwiadom i przestrzeż panią Angoli.
— Może ci mogę czem służyć za twoją grzeczność — mówiła znów
Cezaryna, wsuwając
rękę do kieszeni po portmonetkę.
— Jeżeli mnie pani na wieki chcesz
zrobić szczęśliwym, jeżeli pozwolisz, abym był najdumniejszym z
ludzi, to pozwól
mi ukłęknać przed sobą i złożyć pocałunek na twojej ręce.
Cezaryna się roześmiała, podała mu rękę, Kasperek upadł na obydwa
kolana od
razu, a echo pocałowania ręki odbiło się o przeciwległe ściany.
Cezaryna się oglądnęła, czy kto nie słyszał, powiedziała jeszcze
Kasperkowi aby
był nazajutrz o tej samej godzinie na wschodach i wróciła napowrót
do swego
mieszkania.
Kasperek stał jeszcze chwilę ze wzrokiem utkwionym w zamknięte
drzwi, w których
znikła pani Cezaryna, a potem wyszedł na ulicę, zasadził pomięty
cylinder na
bakier i potraçał przechodzących, bo był dumnym ze swego spotkania,
i zdawało mu
się, iż jest najpierwszym człowiekiem we Lwowie.
Pani Cezaryna zaniepokoiła się trochę dziwnem ostrzeżeniem; nie
mogła sobie

wyobrazić, coby to właściwie była za tajemnicza historia o której ona nie wiedziała, a chociaż z matką żyła w niezgodzie, chociaż jej nie lubiła, pomimo to nie przypuszczała żadnych czynów, któreby aż jej wyjazdu ze Lwowa i ukrywania się wymagały. Cezaryna nie lubiła matki, bo pani Angoli oddawna była dla niej nadzwyczaj zimną, unikała ją i nie chciała jej podobno zapisać pozostającego jej majątku. Co więcej, Cezaryna przypuszczała, że matka tylko dlatego chce do Wiednia pojechać, aby tam móc żyć swobodniej aniżeli we Lwowie, a jeżeli nie pójsć za męż, to przynajmniej jakiemu gachowi zapisać majątek. Ten ostatni powód oziębiał najbardziej zawsze stosunki pomiędzy matką, a córką. Jak wiemy, Cezaryna rzadko kiedy bywała u matki, dzisiaj jednak natychmiast się do niej wybrała, aby jej udzielić ciekawą wiadomość. Pani Angoli mieszkała na Ormiańskiej ulicy, w jednym z domów będących w pobliżu przecznicy prowadzącej w rynek, mieszkała na pierwszym piętrze od frontu. Cezaryna zadzwoniła, blaszane okienko we drzwiach się otwarło, ktoś zajrzał, rygiel się odsunął i pani Angoli stała przed swoją córką. — Czemuż mam zawdzięczać tak niespodziewane odwiedziny? — z przekąsem zapytała się pani Angoli. — Rzeczywiście nadspodziewane i bardzo ciekawe, bo mam się mamie zwierzać z jakimś dziwnym ostrzeżeniem; czy służąca w kuchni? nie ma nikogo w pobliżu? — pytała Cezaryna będąc już w salonie. — Nie ma nikogo, możesz mówić śmiało... ale cóż tak ciekawego? — Niech sobie mama wystawi, wychodzę dzisiaj po południu z domu, a na wschodach

zastępuje mi drogę ów głupi Kasperek z teatru, co u nas dawniej
służył i każe mi
czemprędzej iść do mamy z ostrzeżeniem, że komisarz Mordner od
dawna mamę śledzi
i że mama powinna natychmiast ze Lwowa wyjechać i ukryć się.
Śmiertelna bladość przebiegła po twarzy pani Angoli, doświadczona
kobieta
potrafiła jednak nadzwyczaj szybko zapanować nad sobą i
wprowadzić rysy twarzy w
pewną skamieniałą nieruchomość.
— Masz z czem przychodzić — mówiła pani Angoli obojętnym na
pozór już głosem —
wiesz przecie, że Kasperek jest niespełna rozumu, i że do tego jeszcze
ma idee
fixe, że ty jesteś jego ideałem; chciał pewnie mówić z tobą i z tej
przyczyny
wymyślił sobie jakąś romantyczną, historję o mnie i o panu komisarzu
Mordnerze,
o którym mam zaszczyt słyszeć po raz pierwszy.
Cezaryna zagryzła wargi, ale wprawna w poznawanie wyrazu twarzy
swej matki,
zobaczyła dziwne nerwowe drgnięcie koło jej ust i chwilową
niezwykłą bladość.
— Zabawny ten Kasperek — dodała jakby od niechcienia pani Angoli
— śmieszna
człeczyna, cóż on ci więcej mówił na mnie ?
— To mnie właśnie dziwiło — odpowiedziała Cezaryna — że nic nie
chciał mówić,
dał tylko do poznania, że wie o jakiejś tajemnicy, i że mama powinna
jak
najprędzej wyjechać ze Lwowa i ukryć się, aby nie narazić mego
domu na jakąś
niehonorową sprawę.
— Nie bój się moja kochana — odpowiedziała z ironją pani Angoli —
dom twój nie
będzie zbezczeszczonej z mojej przyczyny. Ale jak się mają dzieci?
— Józio słaby cokolwiek, ojciec go psuje, nosi mu potajemnie bez
mojej wiedzy

cukierki, chłopiec potem choruje.

Rozmowa zeszła na rodzinne sprawy, pani Cezaryna po chwili się oddaliła, nie wiedząc co sądzić o całym zajściu, pomieszanie matki kazało jej przypuszczać, że rzeczywiście jest w grze jakaś tajemnicza sprawa, a której się ona nawet nie domyśla. Przypuszczenie to tem łatwiej się przyjęło, że Cezaryna bynajmniej nie miała zbyt wysokiego o matce wyobrażenia, ale przypuszczała, że ona jest zdolną do wszelkiego - rodzaju intryg. Zresztą Cezaryna sadziła także trochę według siebie — a jabłko zwykle nie daleko pada od jabłoni.

Pani Angoli została sama, a jak tylko wyszła Cezaryna, twarz jej się zmieniła, a wyraz konwencjonalnego uśmiechu i właściwej jej kostyczności zamienił się na wyraz poważnej zadumy, w którym się malowała cała groza położenia. Szybkiemi krokami chodziła ona po pokoju, oczy w dół spuściła, a luźne tylko wyrazy z ust się jej wyrywały.

„Wszystko przepadło!” — „jestem zgubioną!” — powtarzała po kilka razy pani

Angoli, przecierała ręką czoło, jak gdyby nie mogła sobie zdać sprawy ze swego położenia, albo usiadała w fotelu, opierając głowę o poręcz i długo, długo dumiała. Raptem zerwała się z krzesła, jak gdyby powzięła ważne jakieś postanowienie, na twarzy jednak malowała się straszna rozpacz zamiast pierwszego przerażenia, na całym ciele drgać zaczęła, wszystkie nerwy były w rozprężeniu. Załamywała ręce, klękała, wydzieriała

sobie włosy, biegła ku drzwiom, ku oknu, nie mogła sobie znaleźć miejsca, za ciasno jej było w czterech ścianach pokoju; wyglądała jak rozzarta hyena zamknięta w klatce, próbująca swym dzikim łbem każdy otwór, każdy pręt żelazny, czy nie ustąpi pod ciśnieniem, czy nie da jej swobody! Pani Angoli snąć nie mogła już znaleźć wyjścia ze swego położenia, bo więzy, które spadły, aby jej wolność odebrać, nie zdawały się leżeć na zewnątrz w fizycznym świecie, ale ścisnęły żelaznymi kręgami jej serce, jej umysł i coraz ciaśniejsze do życia zakreślały jej koło. Z jej postaci widać było, że straszna wewnętrzna toczy się w niej walka, że po raz pierwszy w życiu stanęła przed nią cała groza położenia, że nie mogła w niczem znaleźć ratunku. Gwałtowna burza miotła ją, a nigdzie nie było opoki, o którąby się oprzeć mogła, nigdzie nie widać było światła, za którego promieniami możnaby było wyjść z ciemnego chaosu. Pani Angoli przedstawiała widok straszny, wzbudzający litość, dziki jej wzrok był utkwiony daleko, zdawał się mury przesywać; włosy wydzieraała garściami, żyły na rękach nabrzękły, usta drgały konwulsyjnie. Po godzinnem prawie szamotaniu się upadła pani Angoli na kanapę i rzewnemi zalała się łzami, jej łkanie zdawało się wychodzić z głębin duszy, a rozpacz dochodziła do ostatecznych granic. Późno już było w wieczór, gdy nasza znajoma podniosła się z kanapy, kolońską wódką odświeżyła zmęczone skronie, i ze spokojnym już i pewnym swego celu

wzrokiem usiadła do biurka. Burza snać w niej już przeszła, ale
zupełne
zostawiła zniszczenie, nie był to wiosenny uragan, po którym natura
świeższą i
zieleńszą się staje; nie były to letnie pioruny, rozszerzające pewną
woń w
powietrzu, ale była to burza, z jaką się tylko spotkać można na
północy, burza
mroźna, po której stygną wszystkie tętna życia, niszcząca nawet mchy
i karłowate
rośliny; w tej burzy już nie ma zarodu nowego życia, jest to
zapowiedź śmierci,
zapowiedź wielkiej katastrofy.
Kilka ostatnich godzin zmieniło panią Angoli nie do poznania, kobieta
przed
chwilą czerstwa jeszcze i rzeźwa, wyglądała jak gdyby wstała po
sześćtygo-
dniowym tyfusie, oczy zapadły się głęboko, usta zbieleły,
zmarszczków przybyło
prawie tuzinami, a siwe tu i owdzie błyszczące włosy wystąpiły
naprzód, jak
gdyby wiedziały, że obecnie rozpoczęło się ich panowanie. Natomiast
jednak z
twarzy znikł ów dziki namiętny wyraz, któryśmy jeszcze widzieli
przed chwilą,
rysy zdawały się odziewać pewnym spokojem, pewną rozwagą.
Pani Angoli zaczęła coś pisać, pisała długo — do rana; im dalej
postępowała w
swem pisaniu, tem większy spokój osiadał na jej twarzy, tem weselszą
nawet być
się zdawała. Pisząc, zdawała się wywoływać dawne wspomnienia i
sięgać w
przeszłość pamięcią, albowiem otwierała biurko, czytała listy, paliła
je,
przeglądała dawne papiery i nad niektórymi długo się zastanawiała.
Nad ranem pisać skończyła, zapieczętowała papiery, zamknęła do
biurka, i śmiałym
a stanowczym krokiem poszła do sypialni.

W bliskości łóżka, za portyera prowadzącą do bocznego pokoju, była szafka wmurowana w ścianę, pokryta tapetami, otwierająca się za przyciśnięciem ukrytej sprężyny. Pani Angoli zbliżyła się do tej szafki, otworzyła ją i zadrżała; była ona jednak stanowczą i nie cofała się, więc wyjęła mały proszek ze znajdującego się tam pudełeczka, wpuściła go do szklanki z wodą i usiadła w fotelu.

— Wszak to wystarczy? — zapytała się sama siebie, podnosząc szklankę do góry i przypatrując się, jak biały proszek zamącił wodę. I rzeczywiście proszek wystarczył; pani Angoli napój wychyliła, szklanka z ręki jej wypadła, ciało kilka strasznych kurczowych zrobiło wysilen, ale po chwili głowa upadła na poręcz — pani Angoli nie żyła. Złowieszcza cisza zapanowała w pokoju i kirem żałoby okryła pokój, a poranny promień słońca z niechęcią odwrócił się od tego widoku, któremu sprzyjają tylko cienie nocy.

Z promieniem słońca szła jeszcze w zawody niezgaszona płonąca lampa i ten smutniejszy tworzyła obraz; więc idźmy z tego mieszkania, bo ztamtąd uleciało życie.

XVII.

Wiadomość o nagłej śmierci pani Angoli rozeszła się tego samego dnia, a komisja rządowa natychmiast opieczętowała wszystkie jej papiery, tak, że nikt z rodziny przed nią nie miał do nich przystępu. Po bliższym zbadaniu takowych, znaleziono w biurku testament z datą dnia śmierci, który dla pana Mordnera niemałym był tryumfem. Akt ten przytaczamy

dosłownie:

„Moja ostatnia wola i ostatnia spowiedź. Po długim rozmyśle odbieram sobie życie, życie, które i tak więcej złego aniżeli dobrego przyniosło ludziom, z którymi byłam w styczności. Hańby aresztowania i śledztw sądowych znieśćbym nie potrafiła, kryć się przed sprawiedliwością nie chcę, gdyż i tak nie ukryłabym się przed własnym sumieniem.

Pokutowałam krótko ale szczerze.

W kilku ostatnich godzinach przebolełam więcej, aniżeli przez ciąg długiego a złego życia.

Nie chcąc, aby za nieczne czyny, które popełniłam, padało podejrzenie na inne

niewinne istoty, najzupełniejsze składam tutaj wyznanie.

Chciwość była przyczyną mego upadku. Wiadomo, że drugim moim mężem był rotmistrz

od dragonów Angoli i miał brata konsyljarzem przy sądzie we Lwowie. Męża mego

przeniesiono w r. * do Węgier, a jego brat umarł, zapisując mym dzieciom z

drugiego małżeństwa, jeżeli je będę miała, majątek wynoszący do , złr.;

gdybym nie miała dzieci, majątek ten miał być przeznaczonym na stypendja dla

ubogiej kształcącej się młodzieży.

Bodajbym nigdy nie była dożyła tej chwili, w której dusza moja na tak wielką

narażona była pokusę; ach czemuż wtedy nie odebrałam sobie życia w ten sposób,

jak go dzisiaj; muszę sobie odebrać!... byłabym umarła, nie mając zbrodni

nasumieniu.

W drugim małżeństwie dzieci nie miałam i wiedziałam, że ich mieć nie będę;

do otrzymania jednak sukcesji musiałam się o dziecię postarać, wydać je za swoje, i całą rzecz w największej zatrzymać tajemnicy. Trudno było sobie w tej mierze poradzić; postanowienie jednak było silne oszukać sąd i przyjść nieprawnym sposobem do sukcesji. Podówczas bywała często u mnie żydówka Sara Liebenfeld, załatwiała mi wszystkie interesa i zakupna, a że miała wiele sprytu i przebiegłości, w krótkim więc czasie potrafiła sobie najzupełniejsze u mnie pozyskać zaufanie. Sarze też zwierzyłam się z moją myślą i powiedziałam jej, że jeżeli jakim sposobem potrafimy w zupełnej tajemnicy dostać kilkomiesięczne dziecię i jeżeli plan cały przeprowadzimy, natenczas ona dostanie , fr. z uzyskanej sukcesji i dożywocie po złr. rocznie. Ja naumyślnie wyjechałam ze Lwowa, niby do męża, ażeby projekt tem łatwiej się udał; Cezarynę zaś, moją córkę z pierwszego małżeństwa, oddałam na pensję. Mówiłam Sarze, aby dziecko kupiła od jakiej ubogiej wyrobnicy. Sara jednak bała się przypuszczać kogokolwiek więcej do wiadomości o naszym czynie, postanowiła jednak zręcznie dziecko wykraść, gdziekolwiek jej się do tego nadarzy sposobność. Nieszczęsna sposobność rzeczywiście wkrótce się nadarzyła: malutka dziecina pani Barbary Koleckiej bawiła się z mamką w ogrodzie przy jednym z domków w Lubieniu, pani Kolecka bowiem podówczas była tam na kuracji. Przypadkowo znalazła się tam Sara Liebenfeld, która przyjechała po interesie do jakiejś pani ze Lwowa, a widząc, że mamka śpi, zatkała usta dziecięciu i porwała je ze sobą pod chustkę.

Sara ukrywała u siebie dziecię przez kilka tygodni, dziecię się wprawdzie chowało, ale nie wydawało żadnego głosu ze siebie; nie wiedzieliśmy, czy dziecina jest niemową od urodzenia, czy też chwila porwania jej od mamki tak straszny na niej wywarła skutek. W każdym razie byliśmy nadzwyczaj zaniepokojone; sądziliśmy bowiem, że jeżeli dziecię jest niemem od urodzenia, jeżeli żadnego ze siebie nie wydaje głosu, to prawdziwa; matka łatwiej się dowie o naszym niecnym postępku. Tak wielki strach opanował nas obiedwie, że znak ten uważaliśmy za straszniejszy może, aniżeli był w istocie, i nie przyszło nam nawet na myśl, że u dziecięcia w tym wieku brak mowy nie mógł być jeszcze poszlakiem, po którym prawdy dojśćby było można. W kilka tygodni po dokonanej kradzieży dziecka mówiono, że sąd lwowski znalazł jakieś ślady, po których będzie mógł dojść prawdy; Sara była odważniejszą odemnie, ja się jednak tem więcej obawiałam, że zrobiłam to wszystko bez wiedzy męża i narażałam jego honor i przyszłość. Sądowe poszukiwania jednak coraz to groźniejszymi się dla nas stawały i było wielkie prawdopodobieństwo, że prawda się wykryje. Chcąc się więc ratować przed niebezpieczeństwem, nie wiedzieliśmy co robić. Już wtedy przychodziła mi straszna myśl, aby zgładzić dziecię; byłam wszakże jeszcze lepszą aniżeli później, a i Sara miała trochę w sercu litości, więc

postanowiła dziecko podrzucić jakiej nieznajomej kobiecie i zrzucić z siebie

ciężką odpowiedzialność, która nas przez kilkanaście dni tłoczyła.

Dla zmylenia pogoni wyhaftowałam dziecięciu umyślnie sukienki i chusteczkę do

nosa z literą Z. i hrabską koroną, a

Sara jednego wieczora wyniosła dziecinę na Snopków i tam

podrzuciła ją

ekonomowej. Od ekonomowej dziecko dostało się przypadkowo do swej prawdziwej

matki, do pani Koleckiej.

Niniejszem więc daję świadectwo prawdzie, i oświadczam, że panna Marja jest

córką pani Koleckiej, i że proces obecnie w tutejszym sądzie się toczący, a

podejrzujący ją, że jest siostrą hr. Mieczysława Zgodzkiego, jest skutkiem

mego fatalnego czynu.

Oświadczenie to czynię godzinę przed dobrowolną śmiercią — więc niechaj nikt nie

wątpi, że jest prawdziwym.

Akta z lwowskiego sądu tycząca się kradzieży dziecka i znaną chusteczkę do nosa

z literą Z. i hrabską koroną, ukradła Sara Liebenfeld, obawiając się, aby dalsze

śledztwo nie doprowadziło do pożądaných rezultatów, Sara mogła z łatwością

kradzież tych aktów uskutecznić, albowiem roznosząc zapalki po urzędach, nie

ściągała na siebie podejrzzenia.

W owym czasie, kiedy Sara Liebenfeld podrzuciła dziecko na Snopkowie, był u mnie

w służbie znany we Lwowie Kasperek, dobry był z niego służący, ale nadzwyczaj

ciekawý. Zdaje mi się, że on

musiał słyszeć moją rozmowę z Sarą, gdyśmy się umawiały o porzucenie dziecka na

Snopkowie, albowiem gdym mu w kilka tygodni później wymawiała służbę, z powodu że moja Cezaryna zanadto mu się zdawała podobać, on mi rzucił kilka słów, po których mogłam się domyśleć, że wie, iż Sara z mego powodu jakieś małe dziecię w Snopkowie podzuciła. Podejrzenie to nadzwyczaj mnie przestraszyło, zatrzymałam go natychmiast nadal w mej służbie, obchodziłam się z nim jak najlepiej, ale już nie miałam spokoju, zawsze mi się bowiem zdawało, że jest ktoś, kto wie o moich zbrodniczych tajemnicach. Gdy zła myśl raz zaprzątnie nasz umysł, rozrasta się ona w nas powoli i przychodzi do panowania zanim to panowanie spostrzedz zdołamy. Myśl morderstwa małego dziecięcia, która przez kilka dni spokój mi zatruwała, a skończyła się tylko podrzuceniem dziecka, oswoiła mnie ze strasznymi zamiarami. Zbrodnia już dla mnie nową nie była, to też zły duch szeptał mi obecnie, abym się pozbyła człowieka, który świadom jest mojej tajemnicy, abym się pozbyła Kasperka. Jego milczenie i źle ukrywana namiętność do Cezaryny, tem bardziej kazały mi mieć się na baczności, chłopak był śmiały, i mogłam się wszystkiego po nim spodziewać. Przychodziło mi nawet na myśl, że Kasperek może się posunąć do tego, że zażąda mej córki, albo zagrozi mi wyjawieniem tajemnicy. Był to człowiek którego zaczęłam się nadzwyczaj obawiać, tem bardziej, że jego śmiałość już dawno przeszła granice zakreślone dla

służących. Ażeby się więc uwolnić od wiszącego nademną postrachu, postanowiłam zgładzić Kasperka, a miałam od dawna truciznę w przechowaniu. Zamach wykonałam, niewprawa jednak jeszcze w zbrodnicze rzemiosło, a obawiając się, aby zadana większa doza trucizny nie naprowadziła na odkrycie zbrodni, próbowałam otruć Kasperka homeopatyczną tylko dozą. Kasperek mocno zachorował, ale nad moje oczekiwanie szybko się podniósł, nie przyjmował już u mnie żadnego pokarmu, i natychmiast podziękował za służbę. Oddalając się wyprawił mej córce miłosną scenę, na mnie rzucił przenikliwym wzrokiem, który mnie dotychczas przeszywa, ale nic nie mówił o swojej chorobie, nic o powodach swego oddalenia. Przeczucie mi jednak mówiło że on mnie się obawiał, i że mnie o coś straszego podejrzewał. Od tego czasu unikał mnie Kasperek, i widocznie marniał na siłach i na zdrowiu, o ile wszakże wiem, nie mówił nigdy o powodzie oddalenia swego ze służby, i nigdy najmniejszego na mnie nie rzucił podejrzenia, chociaż mam przekonanie, że się domyślał wszystkiego. Powodem tej szlachetności musiała być miłość do mojej córki. Kilka miesięcy upłynęło od umorzenia procesu w sądzie o wykradzenie dziecka, i od oddalenia się Kasperka, a mnie przecież trapiła ciągle myśl pozyskania sukcesji, tem bardziej, że w bardzo złych byłam pieniężnych stosunkach. Sara Liebenfeld poddała mi nową myśl, a mianowicie, abym wyjechała do męża na dłuższy czas, a później zatrzymała się gdzieindziej na Węgrach, i abym tam wzięła jakie

ubogie dziecko na wychowanie, i z tem dziećciem jak ze swoim
przyjechała do
Lwowa. Sara sądziła, że jeżeli nie ja, to ona się we Węgrzech wystara
o
potrzebne metryki, opowiadała bowiem, że tam za pieniądze wszystko
da się
zrobić.
Po dłuższych debatach rzeczywiście zrobiłam według namowy Sary,
pojechałam
do męża, bawiłam u niego z dziesięć miesięcy, a z powrotem
pojechałam do
Bardjowa, gdzie przyjechała do mnie Sara, zręczniejsza odemnie w
ułatwianiu
wielkich spraw. Rzeczywiście w Bardjowie udało mnie się uzyskać
dziecię ubogiej
matki, a Sarze potrzebne metryki — mężowi nawet napisałam, że
powiła mu
dziecię, z czego on się niewypowiedzianie radował. Dziecina była
piękną, i z
początku dobrze się chowała. W Bardjowie wzięłam jej mamkę
Węgierkę, już z
Przemyśla jednak ją napowrót odesłałam, a wzięłam tutejszą kobietę,
aby zmylić
wszelki ślad mogący prowadzić do odkrycia prawdy.
Z pomocą, tego dziećcia udało mnie się pozyskać sukcesję, w pół
roku jednak
straciłam męża, a we trzy lata później umarło dziecko, do którego się
prawdziwie
przywiązałam.
Pozostał mnie majątek, ale szczęście dalekiemi odemnie pędziło
szlakami, nie
miałam spokojnej nocy, nie miałam spokojnego dnia, ciągle widziadła
i straszne
wyrzuty sumienia prześladowały mnie na każdym kroku, stan mój był
pożałowania
godny, nie byłam chorą, a ciąglą miałam gorączkę, nie miałam febry,
a dreszcze

były moim zwyczajnym stanem. Wolałabym była chwilami cierpieć
nędzę, aniżeli żyć
wystawnie za pieniądze, które mnie paliły dłoń, i piekielne na niej
zostawiały
piętno. Połowę majątku oddałam Cezarynie, sądziłam że to ulży mym
cierpieniom,
nieszczęście przywiązane jednak do pieniędzy nabytych zbrodniczym
sposobem
przeniosło się do jej domu, i ona nie miała domowego szczęścia,
pomimo że nigdy
nie wiedziała o zbrodniczych postępkach swej matki, a cała
odpowiedzialność za
te postęпки, na mnie tylko spada. Przychodziły dni, w których
chciałam cały
majątek rozdać pomiędzy ubogich, ale serce było już tak złe i tak
łękliwe, że
obawiałam się bez pieniędzy pozostać pomiędzy ludźmi, wiedziałam
że zbrodniarkę
każde odepchnie serce, więc trzymałam się tego złota, pomimo że to
złoto
zbrodnicze przypominało chwile, tonęłam, ale się chciałam ratować
trzymając się
okruchów rozpalonego metalu.
Sarze zapłacałam . złr. i płaciłam jej co roku po złr. Wkrótce jednak
wspólniczka mych zbrodni, nie chciała się tem zadowolnić, mówiła
ona, że ma
prawo do połowy zdobytych pieniędzy, i z tego powodu częste
pomiędzy nami
bywały kłótnie. Oddawna miałam zamiar wyprowadzić się do
Wiednia, sądząc, że
zmieniając miejsce pobytu, potrafię uciec od prześladowających mnie
mar i
przywidzeń, Sara jednak nie chciała mnie na wyjazd pozwolić, dopóki
jej nie dam
dziesięciu tysięcy złr.
Kwota ta wszakże byłaby już naruszyła wygodną moją egzystencję, ze
znacznego

bowiem majątku, pozostało mi się zaledwie , złr., na żądanie więc
Sary w
żaden sposób przystać nie chciałam. Pomimo że wiedziałam o tem, iż
Sara jako
współwinna z pewnościąby nie mogła nic mnie zaszkodzić,
choćby jej nie dała
żądanych pieniędzy, przecież zaczęłam się jej obawiać, i przeczuwać
możebną
zdradę. Byłam więc w strasznej kolizji, chciałam ze Lwowa wyjechać,
i szukać
spokoju w gwarniejszem życiu wiedeńskim, zamiaru tego wszakże
nie mogłabym była
przeprowadzić do skutku, gdybym była wypłaciła Sarze żadaną przez
nią sumę. Z
drugiej strony zaś życie we Lwowie stało mnie się niepodobnem,
każdy dom bowiem,
każdy kamień przypominał mnie moje dawniejsze czyny.
Więc jeszcze jedną popełniłam zbrodnię, i sądziłam, że zdobędę sobie
spokój. Mo-
żna sobie wystawić w jak strasznym znajdowałam się szale, jak dalece
straciłam
zdrowy sąd o życiu, skoro myślałam iż nowy czyn zbrodniczy, potrafi
mnie wyrwać
z moralnej rozpacz. Dziki szal jednak nie opuszczał duszy, zdawało
mnie się, że
nie zasnę, że nie będę miała spokoju, dopóki Sara nie stanie się mej
zbrodni
ofiara. Obląkanie zwyciężyło, otrułam Sarę Liebenfeld, i chciałam
wyjechać do
Wiednia. Gdy się jednak rozpoczął proces o otrucie, obawiałam się
wzbudzić
podejrzenie mym wyjazdem ze Lwowa, więc znowu zostać musiałam,
a do dawnych
męczarni przybyły nowe, dawne katusze stokroć się powiększyły.
Wczoraj jednak gwałtowność tych moralnych cierpień dosięgła kresu,
dłużej już
żyć nie potrafię, a zresztą życie moje nic już dobrego dla świata
przynieść nie

może, więc postanawiam zgiąć tą samą bronią, której używałam przeciw tym, co mi w drodze stali, postanawiam sama na sobie wykonać zemstę za nieszczęśliwe ofiary, aby być postrachem dla dusz, w których zbrodnia zaczęła kiełkować, aby być przykładem, do czego prowadzić może chciwość. Boże! policz te cierpienia, które tutaj przeżyłam, jako część ekspiacji za zbrodniczy żywot. Majątku mego córce nie zapisuję, bo to krwią zbryzgane pieniądze; niechaj się oczyszczą świadcząc ulgę cierpiącym, niechaj służą ubogim... Angoli."

Testament ten wyjaśnił wszystko, intrygi się wydały, Cezaryna stała upokorzona, ciężką dotknięta karą. Zajścia ostatnie tak na nią wpłynęły, że się odmieniła do niepoznania, natychmiast zerwała stosunek z panem Ignacym, o dzieci zaczęła dbać i sama je wychowywać. Straszna pamięć z nikim jej żyć nie pozwoliła, więc oddała się zamkniętemu, domowemu życiu, a pan Rafał ani sobie nie mógł wytłumaczyć, jakim sposobem z tej niedobrej i zepsutej kobiety mogła się naraz stać dobra matka i żona. Przemiana ta i na niego nie została bez wpływu, albowiem w krótkim czasie butelka z winem znikła z kancelarji, a kljenci natomiast częściej aniżeli dawniej odwiedzali opustoszałe w ostatnich czasach adwokacie biuro. Ślub Mieczysława z panną Marją Kolecką odbył się u Bernardynów, tym razem już jednak w kościele nie było zawołanej Cezaryny, ani złowrogiego kanonika z potrójnym podbródkiem, natomiast pani Barbara cieszyła się i

dziękowała Bogu, że jej pozwolił odkryć tajemnicę, dzielącą ją od własnej córki.

Marja była najlepszą żoną, a Mieczysław się przekonał, że dobre i szczerze serce, że prawdziwe uczucie potrafi zastąpić wiele, potrafi zastąpić nawet taki błąd natury, jakim jest brak mowy.

Na ślubie znajdował się już i hrabia Bernard, na którego cała historia o

otruciach bardzo przykre robiła wrażenie, nie bywał on już nawet u pani

Cezaryny, sądził bowiem, że córka może być do matki podobną, i podejrzywał nawet

piękną adwokatową, że dlatego mu schlebiała, iż on posiada znakomitą fortunę.

Przez dłuższy czas miewał nawet hrabia Bernard przywidzenia, że go ktoś chce

struć, i biedak schudł do niepoznania, bo żył tylko herbatą, jajami i bułkami,

obawiając się kazać sobie coś przynieść z restauracji, aby przypadkowo w

potrawach nie było zamieszanej trucizny. Mieczysław znów był w łaskach starego

hrabiego, i wszelką miał nadzieję, że ostatecznie zapis do niego powróci. Hrabia

zdołał się nawet na bardzo kosztowny podarunek ślubny dla narzeczonej, a nadto

tysiąc dukatów w złocie położył państwu młodemu pod poduszkę.

Wreszcie i biednej rodzinie Kanafarka lepiej się dźać zaczęło,

Mordner doczekał

się awansu i ożenił się z Julcią, a że był człowiekiem zdolnym i pożytecznym;

więc gdy domowe założył ognisko, dobry byt i szczęście zaczęło przemieszkiwać w

jego rodzinie.

Kasperek tylko jak dawniej tak i teraz siedzi pod wschodami w teatrze, pani

Cezaryna chciała mu dać utrzymanie, pan Rafał kilka razy chodził w tej mierze do niego, ale on był zanadto dumnym, aby przyjąć cokolwiek z rąk kobiety, którą uwielbiał i dla której poświęcił swą zemstę i strzegł tajemnicy; Kasperek odpowiedział, że nagrodą dla niego będzie, jeżeli Cezaryna odpowie na jego ukłon, gdy się spotkają na ulicy. Mieczysław jednak chcąc przecież przyjść w pomoc biedakowi, wyrobił mu objad zadarmo w kasynowej kuchni i nie omieszkał przechodząc później koło niego, ofiarować mu dobre cygaro, za które Kasperek zwykłym swym grzecznym dziękował ukłonem.